

Waldemar Stefan Wawrzecki

NASZ ŚLAD

Moja rodzina, moje miasto, wspomnienia

Wydanie drugie poprawione i uzupełnione

Do wydania drugiego.

Cieszy mnie fakt że „Nasz Ślad”, stał się impulsem do gromadzenia wiedzy o rodzinie przez krewnych i kuzynów a także znajomych. Bardzo dobrze że tak się dzieje, wiedza o rodzinie, wydarzeniach jest cennym przekazem dla naszych dzieci, wnuków o przeszłości rodziny. Spotkałem się także z objawami niezadowolenia że ktoś został wymieniony jako członek rodziny. Pojawiły się u tych osób nieuzasadnione obawy że zaistnienie w internecie spowoduje jakieś bliżej nieokreślone katastrofalne skutki dla nich. Myślę że wynika to z nieznaności realiów dzisiejszego dnia, zdominowanego elektroniką i cyfryzacją wszystkich możliwych dziedzin życia. W większości przypadków osoby te nie korzystając pewnie nigdy z komputera i internetu, nie wiedziały nawet że oni sami, ich bliscy i krewni już dawno, jeszcze przed ukazaniem się opracowania „Nasz ślad” funkcjonowali w sieci internetowej z różnych powodów, prowadzenia firm itp. działań. Ale po to by nie zostali zlokalizowani i namierzeni usunąłem takie możliwości.

Zamieściłem także wiele nowych informacji, uzupełnień i zmian poprzez wstawki nowego tekstu w poprzednią treść.

Hrubieszów, listopad 2013r.

WSTĘP

Wielu z nas w pewnym okresie swojego życia zaczyna interesować się przeszłością rodziny. Grzebiemy w pamięci nie tylko własnej, przeglądamy stare fotografie, odwiedzamy cmentarze. Szukamy zostawionych śladów. Uznymyśmy sobie, że rodzina, to nie tylko dziadkowie, rodzice, rodzeństwo i dzieci. Im dalej sięgamy wstecz, tym więcej pojawia się krewnych i powinowatych.

Odkrywamy rodzinę w ludziach z którymi kiedyś mijaliśmy się na ulicy, nie zdając sobie sprawy że to nasi krewni. Zaczyna się fascynacja przeszłością. Szukamy tych z rodziny których możemy jeszcze zapytać o przeszłość, przeglądamy dokumenty, internet, zaczynamy utrwalać historię rodziny. Jestem zwolennikiem poszukiwań w kręgu rodziny zarówno bliskiej jak dalszej, po pierwsze, to żywa historia, chociaż czasami leciutko ubarwiona, upiękaszona a po wtóre poznajemy rodzinę niekiedy bardzo daleką ale genetycznie bliską. Efekty poszukiwań są ciekawe a niejednokrotnie zaskakujące. Wiele wskazówek i informacji o rodzinie przekazał mi kuzyn mojej matki mieszkający w Krakowie Józef Łaszkiewicz, pasjonat starych książek, szperacz ciekawostek w antykwariatach krakowskich, wieloletni aktywny członek Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego. Od lat zainteresowany historią rodziny Szumiaków, utrwalał ją także na papierze, to od niego dostałem pierwsze konkretne zapiski o Szumiatach z Wołajowic i Sławęcina.

Historia rodziny to historia wielu rodzin połączonych więzami krwi czy też powinowactwem. Historia mojej rodziny to historia z jednej strony rodzin ze strony matki a więc rodzin: Hapońskich, Szumiaków, Lebedowiczów, Łaszkiewiczów, Kicunów, Ciesielczuków, Jędruszczaków, Franke i rodzin ze strony ojca a więc Lempertów, Wrzosów, Wawrzeckich. I historia najnowsza już nasza a więc rodzin Techmańskich, Rutkowskich, Barańskich i innych które weszły do rodziny po przez związki małżeńskie. Najważniejsze nazwiska będące jakby opoką na której pączkowały kolejne rodziny wzajemnie powiązane to Szumiakowie, Lebedowiczowie ze strony matki i Lempertowie, Wawrzeccy ze strony ojca. Historie tych rodzin są dosyć pasjonujące, zaskakujące, ciekawe. Na tyle na ile pozwala mi posiadana wiedza, spróbuję zebrać i opisać historie niektórych rodzin, powiązania i zasłyszane ciekawostki. Oczywiście nie może to mieć charakteru dokumentu dokładnie i ściśle opisującego czas, ludzi i zdarzenia. Głównie opieram się na historii rodziny przekazywanej z pokolenia na pokolenie, korzystam także z różnych opracowań, dotyczących szczególnie moich prapradziadów, Antoniego Hapońskiego i Józefa Lebedowicza czy też historii dzielnicy mojego dzieciństwa Podgórze. W ustalaniu historii rodziny Lempertów posiłkowałem się fundamentalnym opracowaniem Ludwiga Schneidera „Das Kolonisationswert Jozefs II. in Galizien”, będącym kompendium wiedzy o osadnictwie kolonistów niemieckich na ziemiach Polskich. Kolonizacja zwana „józefińską” lub „tereziańską” od imion cesarza i jego matki była bardzo ekspansywna z końcem XVIII w. Często w trakcie pisania, już po zakończeniu tematu, nagle okazywało się, że są nowe informacje czasami odmienne i temat należało gruntownie przerabiać. Także doskonałym weryfikatorem była kuzynka Helenka Bojarczuk świetnie zorientowana w skomplikowanych związkach rodzinnych. Jak pamiętam moja zmarła ciotka Stanisława Lebedowicz była porównywalnym ekspertem z Heleną. Ubolewam, że nie udało się pozyskać więcej informacji od rodziny mojego ojca, podejmowane próby kontaktów, kończyły się fiaskiem. Moimi rodzicami są Stefania z Lebedowiczów Wawrzecka córka Jana Lebedowicza i Agnieszki z Szumiaków i Jan Wawrzecki syn Jana Wawrzeckiego i Karoliny z Lempertów - córki kolonisty niemieckiego Piotra Lemperta.

W dzisiejszych trudnych z różnych względów czasach pojęcie rodziny zawęziło się do bardzo skromnych wymiarów. Prawie zniknęły wielopokoleniowe rodziny żyjące pod jednym dachem, które stanowiły naturalny łańcuch pokoleń i gdzie informacje o dziadkach, pradiadkach i pobocznych liniach rodzinnych przekazywane były z pokolenia na pokolenie. Dzisiaj żyjemy szybko, zaabsorbowani własnymi sprawami, sprawami swojej rodziny często ograniczonej do dzieci i dzieci dzieci. Ciotki, wujkowie i te pojęcia już prawie nie funkcjonujące jak stryjek i stryjenka to gremia spotykające się zazwyczaj z okazji ważnych wydarzeń rodzinnych. Nic więc dziwnego że związki rodzinne rwą się i pamięć o dalszych członkach rodziny staje się ulotna. Procesy migracyjne powojenne i późniejsze, również osłabiły więzi rodzinne. Kiedyś do związków rodzinnych poczuwały się osoby nie tylko krewne ale także powinowate i powinowaci powinowatych. Były to bardzo szerokie związki wystarczy przypomnieć jak powinowactwo wywiódł imię Zagłoba z Rochem Kowalskim w „Potopie”. Przynależność do rodziny zobowiązywała do lojalności, przychylności i wzajemnej pomocy w nieszczęściach. Najogólniej rodzinę można określić jako małą, obejmującą rodziców i dzieci oraz wielką obejmującą minimum trzy pokolenia. Oczywiście jest to podział bardzo prosty bo nie uwzględnia związków rodowych, ale to jest całkowicie odmienna kwestia.

Zygmunt Gloger w „Encyklopedii Staropolskiej” /Wiedza Powszechna, Warszawa 1985, hasło: Pokrewieństwa, str. 63-66 tak pisze, cytuję -” *Polacy mieli nader obfity rodzinny słownik nazw, określających stopień pokrewieństwa, pozostawiający daleko w tyle niemiecki, więc i pożyczek mieli mało. Mieli oni zwyczaj rozpamiętywać najdalsze pokrewieństwa rodzinne, a starsze niewiasty przekazywały młodszym pokoleniom całe dzieje pokrewieństwa w swych okolicach i województwach.*”

W te samej encyklopedii i tej samej stronie Zygmunt Gloger w hasle: Pokrewieństwa pisze, cytuję:”*Pokrewni są ci, którzy od jednej osoby ród swój wiodą, powinowaci zaś są krewni męża względem krewnych żony i odwrotnie. W jakim stopniu zachodzi pokrewieństwo jednego z małżonków, w tymże stopniu jest i dla drugiego powinowactwem.*”

Przodkowie nasi przywiązywali wielką wagę do utrzymywania więzi pomiędzy szeroko pojętą rodziną. Nietaktem było nie znać powiązań rodzinnych. W wielu domach ciotki miały obowiązek tak jak pisze Gloger, pielęgnować pamięć o związkach i przekazywać potomnym. Dzisiaj w wielu rodzinach znajomość ta kończy się na najbliższej rodzinie, siostra, brat i ich dzieci. Jest to niedobry objaw, traci się pamięć o przodkach. Modne jest tworzenie drzew genealogicznych, szukanie korzeni ale nie przekłada się to na przywrócenie dawniejszych tradycyjnych więzi. Owszem są jeszcze rodziny, które je podtrzymują, chociażby poprzez urządzane co jakiś czas zjazdy rodzinne. Jest to bardzo fajna forma podtrzymywania znajomości a zapewne ma i szersze praktyczne znaczenie. W rodzinie czy rodzinach o których chcę pisać nie ma takiego zwyczaju a dobrze by było aby powstał, mam nadzieję że tak będzie.

Opowieść swoją zacznę od Szumiatów, przodków mojej babki Agnieszki, zwanej przez jej krewnych Gienią.

SZUMIATOWIE - Jaćwingowie?

Udokumentowana historia rodziny zaczyna się około 1700 roku. Protoplasta rodziny Wojciech miał dwóch synów, Jakóba /pisownia oryginalna /i Teodora. Od tych dwóch synów idą dwie linie Szumiatów uwidocznione na poniższym zestawieniu:

Wojciech Szumiata ok.1700 r / Szumiato/

I pokolenie

Jakób Szumiata ok.1735r

Teodor Szumiata ok.1730r

II pokolenie

Wojciech Szumiata 1775r

Michał Szumiata 1765

III pokolenie

Marcin Szumiata 1816 r

Paweł Szumiata 1799 r

IV pokolenie

Wojciech Szumiata 1838 r

Ignacy Szumiata 1848 r

V pokolenie

Aleksander Szumiata 1869 r**Zofia Szumiata 1877 r**

Zofia Szumiata z Wołajowic i Aleksander Szumiata ze Sławęcina, kuzynowie w piątym pokoleniu mający wspólnego przodka pokochali się i nie bacząc na pokrewieństwo choć bardzo odległe chcieli się pobrać. Rodzice świadomi koneksji rodzinnych zwrócili się do kościoła o wykładnię i ewentualną zgodę na małżeństwo.

Kościół wywiódł legitymacje tej rodziny i stwierdził, że są „zupełnie wolni od indultu”- cytata z oryginalnego dokumentu wydanego 7 maja 1898 r przez ks. A. Kwiatkowskiego z parafii hrubieszowskiej na prośbę proboszcza parafii w Moniatyczach księdza Józefa Słapczyńskiego, wuja matki Zofii.

Indult to w kościele katolickim zezwolenie wydawane przez papieża lub innego przedstawiciela władzy duchownej (np. biskupa) na odstąpienie od obowiązujących w prawie kanonicznym przepisów. Może dotyczyć m. in. sposobu odprawiania Mszy lub zawierania związku małżeńskiego czy innych sakramentów. - /Wikipedia/

Zanim przejdę do małżeństwa Aleksandra i Zofii przedstawię zasłyszana historię rodziny Szumiatów. Opowiadał mi to kuzyn mojej babki Agnieszki, Robert Longin Szumiata mieszkający w Szpikołosach. Rodzina Szumiatów przywędrowała na teren hrubieszowszczyzny z Litwy i ród wywodzi z plemienia Jaćwingów, ludu z pogranicza Litwy i Podlasia.

Rzeczywiście, spotkałem w literaturze nazwisko Szumiata/o/ w XVII wieku występujące w okolicach Lidy – Szumiato herbu Nieczuja w randze porucznika, drobny szlachetka.

Potwierdza to również zapis - Fedor Szumiata w 1570 roku jako właściciel wsi Hłuchy wnosi opłatę od 11 posiadanych dymów./Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, Tom XV cz I, str 561, hasło Hłuchy, wieś na terenie powiatu dubieńskiego.

Matka Zofii pochodziła ze Słapczyńskich. Opowiadała mi moja matka jak będąc dzieckiem, często razem z matką i młodszą siostrą Janiną jeździły do Wołajowic do pradziadka Słapczyńskiego. Wspominała jak w rozmowach z nimi mówił, „w Wołajowicach jest dziedzic ale co to za dziedzic który nie ma herbu tak jak my”.

Słapczyńscy herbu Słepowron –usłyszałem od Roberta Longina Szumiaty. Z jego przekazu a także na podstawie istniejącego nagrobka na cmentarzu w Moniatyczach, wiem że brat prapradziadka Słapczyńskiego był do 1905 roku proboszczem w parafii w Moniatyczach.

Napisy na obelisku nagrobnym mówią o pochowanych tam krewnych i powinowatych. Spoczywają tam Słapczyńscy i Skorupkowie. Robert twierdzi, że Słapczyńscy byli spowinowaceni z Komorowskimi co prawda przez mezalians. Jeden ze Słapczyńskich ożenił się z Komorowską a że był niemajątny rodzina Komorowskich wydziedziczyła jego żonę.

Tuż przed pierwszą wojną światową siostrzenica Słapczyńskich, wyjechała do Ameryki, jak wówczas mówiono. Zamieszkała w Pittsburgu, początkowo zamierzała po kilku latach powrócić. Los jednak zdecydował inaczej, poznała oficera białogwardyjskiego Fiodorowa, który po upadku imperium rosyjskiego wyemigrował do Ameryki. Pobrali się i zamieszkali w Pittsburgu. Mieli dwóch synów, z młodszym kuzyn mój Józef Łaszkiwicz z Krakowa przez dłuższy czas utrzymywał kontakt listowny. Starszy niedawno brał udział w zjeździe

potomków oficerów carskich w Moskwie. Pamiętam paczki z lekami /penicylina/ w pierwszych latach powojennych, jakie przysyłała kuzynka. Przysłała również dwa olejne obrazy, jeden zaginął podczas przeprowadzek jakich doświadczyła rodzina natomiast drugi niewielki pejzaż jest w moim domu. Kuzynka w latach 70tych ubiegłego wieku wraz z synem odwiedziła Hrubieszów i Kraków, gdzie gościła u Józefa Łaszkiwicza i stąd późniejsze kontakty jej syna z Józefem.

Szumiatowie brali udział w powstaniu styczniowym w 1863 roku. Spokrewnieni są z rodziną ks. Ignacego Skorupki, znanego z bitwy warszawskiej z bolszewikami w 1920 roku. Nazwisko Witolda Szumiaty z Hrubieszowa s. Józefa bratanka Zofii urodzonego w 1907r pojawia się również na katyńskiej liście zamordowanych oficerów. To tylko kilka ważnych dla rodziny faktów. Dziadek Słapczyński pasjonował się kolekcjonerstwem, malarstwem, posiadał bardzo dużą bibliotekę. W okresie międzywojennym przekazał swoje książki do biblioteki narodowej, taką informację przekazała mi moja matka.

Informacja ta musi być prawdziwa ponieważ matka powtarzała to przy różnych okazjach. Ostatnio daleki kuzyn Lebedowicz Jan z ul. Żeromskiego którego żona pochodzi z Wołajwic powiedział mi że jeden z obrazów malowanych przez dziadka Słapczyńskiego jest w posiadaniu znajomych jego żony. Czyniłem starania o odkupienie obrazu. Okazało się, że obraz trafił w ręce handlarza szukającego po wioskach antyków.

Wracając do Aleksandra i Zofii. O Aleksandrze wiem nie wiele, więcej wiem o mojej prababce Zofii. Była jedynaczką, miała czterech braci, Franciszka, Jana, Pawła i Piotra. Brat Jan miał dwóch synów. Antoniego, który wyjechał i osiedlił się w Krasnymstawie oraz Roberta Longina mieszkającego w Szpikołosach, ma on obecnie około 90 lat i jest ostatnim źródłem pamiętającym historyczne już dzisiaj informacje o rodzinie Szumiatów. Rodzina Aleksandra mieszkała w Hrubieszowie na samym początku Sławęcina przy obecnej ulicy Grothusów. Natomiast rodzina Zofii mieszkała w Wołajowicach, nadal stoi dom z nr 14 w którym się urodziła, mieszka w nim potomek Szumiatów. Pradziadkowie moi, Aleksander i Zofia Szumiatowie, pobrali się po uzyskaniu zgody kościoła w 1898 roku. W tym roku urodziła się moja babka Agnieszka jako pierwotne dziecko. Wiem od kuzyna że Zofia szła do ślubu w stanie błogosławionym. Pradziadkowie Szumiatowie mieli pięcioro dzieci, trzy córki i dwóch synów:

AGNIESZKA /GIENIA/ SZUMIATA córka Zofii i Aleksandra, najstarsze dziecko.
Moja babka, żona Jana Lebedowicza, szerzej w części poświęconej Lebedowiczom.

ANTONINA SZUMIATA córka Zofii i Aleksandra

Antonina wyszła za mąż za Antoniego Łaszkiwicza, jej synem jest właśnie Józef Łaszkiwicz mieszkający w Krakowie, córka Franciszka była żoną Edwarda Fedorczuka. Frania i jej mąż pracowali w hrubieszowskich szkołach jako nauczyciele zawodu. Nie żyje już Mieczysław, synowie jego mieszkają i pracują w Szwecji. Nie żyje też Stanisław, zmarł tragicznie po niefortunnym skoku do rzeki podczas kąpieli.

Najlepsze kontakty utrzymuję z Józefem Łaszkiwiczem, mieszkającym w Krakowie. Wspólnie wyprawiliśmy się do Wołajowic kolebki Zofii, babki Józefa i mojej prababki. Józef który wcześniej bywał w Wołajowicach pokazał mi dom w którym się urodziła, mieszka tam teraz krewny Szumiatów. Rozmawialiśmy także ze spotkanym krewniakiem mieszkającym w Wołajowicach na temat rodziny, pokrewieństw, umawialiśmy się nawet na jakieś bliższe spotkania, ale entuzjazmu w tym nie było i tak skończył się kontakt. Nie ukrywam że wiązałem z tym nawet duże nadzieje na rozszerzenie wiedzy o rodzinie ale wyszło jak wyszło.

Aktywny członek Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego, pasjonat historii i namiętny tropiciel błędów historycznych. Od lat usiłuje udowodnić posiłkując się dowodami

historycznymi że nazwa Hrubieszowa nigdy nie brzmiała Rubieszów. Pozwolę sobie na przytoczenie argumentacji jaką zawarł w tej sprawie w jednym z listów do mnie. Mam nadzieję że nie poczyna mi tego za złe.-cytuję fragment listu dotyczący sprawy nazewnictwa. *„A ja jeszcze chciałbym wszystkim udowodnić odnośnie nazwy Hrubieszowa , a nie Rubieszowa jak wielu niby naukowców twierdzi , co jest nieprawdą bo w wielu dokumentach występuje nazwa właściwa , zależy kto robił dokument i kto podał jaką nazwę. Nazwy miasta występują w dwóch formach nagłoskowych „h” a przecież nikt by nie wymyślił wtedy nazwy aby do Rub. pisać z literą „H”. Raczej obecnie opuszcza się np. była nazwa „Harmata” obecnie armata, „harbuz”obecnie arbuz itd.itp.Ponadto w wielu językach pisze się „H” a nie czyta tak zwane nieme”h”,w rosyjskim w ogóle nie ma „h” „g” i to może być że pisało bez „H” opuszczając i pisząc od razu od „R”. To jeszcze potrzeba rozpracować przeglądając o przekształceniach językowych które występowały przez wieki. Ja już kiedyś przed kilkunastu laty tym się zajmowałem , a później zaniechałem , ale niedawno sam powróciłem do tego tematu , bo widzę że pomimo ogromu wiedzy historycznej nadal spotykam twierdzenie o niewłaściwym pochodzeniu pierwotnej nazwy miasta. Postaram się Tobie kiedyś w przyszłości przedstawić swoje te skromne wypociny – ponieważ jest to poważne zagadnienie uzasadniające właściwa nazwę . Nie mam takich dogodnych warunków ja bym to dawno już zrobił. W aktach Synodów Diecezji Chełmskiej Obrządku Łacińskiego z XVI - XVIII wieku i ich statuty w opracowaniu Jakuba Sawickiego , które ukazały się p.t. *CONCILIA POLONIAE* , nie istnieje inna nazwa tylko właściwa przez H czyli Hrubieszów, nie znalazłem żadnej pracy o wcześniejszych aktach Kurii. Ponadto w wielu aktach różnie występuje często na przemian a nawet w jednym akcie spotkałem występujące obie nazwy Hrubieszów a następnie Rubieszów. Wnioski mogą być różne.- koniec cytowanego fragmentu. Trzeba wiele wytrwałości, uporu aby dowieść swoich racji. Ale tak tworzy się prawda. *Per aspera ad astra* .Życzę powodzenia na tej drodze .*

STANISŁAWA SZUMIATA córka Zofii i Aleksandra

Druza siostra babki , Stanisława wyszła za Kicuna , jej córki Janina Łęczyńska i Maria Turek mieszkają w Hrubieszowie. Niedawno zmarł mąż Janiny, Tomasz Łęczyński. Łęczyńscy mają trzy córki , z jedną z nich Halinką Daciuk pracowałem w Urzędzie Miasta. Z Janiną Łęczyńską bardzo dobre stosunki utrzymywała moja zmarła ciotka Janina Jędruszczak z Lebedowiczów- siostra mojej matki. Teraz z powodzeniem kontynuuje to jej córka , Zosia Kowalska z Jędruszczaków.

JÓZEF SZUMIATA syn Zofii i Aleksandra

Brat Józef mieszkał w Hrubieszowie miał dwóch synów i córkę. Syn Waław nie żyje, Tadeusz mieszka na Sławęcinie. Waław, Tadeusz i Czesława to wujeczne rodzeństwo mojej matki. Artur, kierownik ciepłowni miejskiej syn Waława i ja jesteśmy kuzynami w trzecim pokoleniu. Pamiętam wesele Waława na którym byłem razem z siostrą. Wesele było w pod hrubieszowskiej wsi i później wracając do Hrubieszowa, wstępowaliśmy po drodze do kogoś z rodziny pod Moniatyczami. Córka Czesława wyszła za mąż za Kazimierza Ciesielczuka zwanego „Garko” i ona i jej mąż nie żyją.

WŁADYSŁAW SZUMIATA syn Zofii i Aleksandra

Najmłodszy brat mojej babki , Władysław również hrubieszowianin, zmarł w 2003 roku, Miał troje dzieci, córka Teresa, najstarsza z rodzeństwa była żoną Ignacego Kucharskiego, oboje już nie żyją , synowie starszy Jan , jest funkcjonariuszem policji drogowej w Hrubieszowie, młodszy syn Stanisław , żyje i mieszka również w Hrubieszowie. Ciekawe spotkanie miałem ze Stanisławem było to przed zaduszkami w 2012r, spotkaliśmy się przy grobie Aleksandra Szumiaty, podczas rozmowy Stanisław powiedział że zmarły ojciec do śmierci poszukiwał grobu matki -Zofii. Powiedziałem że Zofia spoczywa razem z Aleksan-

drem w jednym grobie. Po pogrzebie opłacono grabarzowi wykonanie stosownego napisu na nagrobku informującego że pochowana tutaj jest również Zofia. Grabarz pomimo opłacenia, zlecenia nie wykonał, z czasem przeszło to w zapomnienie. O tym że tam jest pochowana Zofia, powiedziała mi moja śp.ciotka Maria Franke z Lebiedowiczów wnuczka Zofii.



Część posesji i domu z nr 14 w Wołajowicach , miejsce urodzin Zofii Szumiata

ANTONI HAPÓŃSKI – DONATOR /syn Antoniego i Heleny z Łęczyńskich/

Dziadek, ojciec mojej matki Jan Lebedowicz był wnukiem Antoniego Hapońskiego, unity fundatora dzwonnicy i kruchty w cerkwi unickiej w Hrubieszowie w latach 1868-69. Unicy w XIX wieku stanowili jedną z liczniejszych grup wyznaniowych społeczności ziemi hrubieszowskiej. Kim byli Unicy wyjaśnia przejrzyste cytowana *Wikipedia*.

Unia brzeska- połączenie Cerkwi prawosławnej z Kościołem łacińskim w Rzeczypospolitej Obojga Narodów, dokonane w Brześciu Litewskim w 1596 roku. Część duchownych prawosławnych i wyznawców prawosławia uznała papieża za głowę Kościoła i przyjęła dogmaty katolickie, zachowując bizantyjski ryt liturgiczny. Następstwem unii brzeskiej był podział społeczności prawosławnej na zwolenników unii – unitów i przeciwników – dyzunitów. - /Wikipedia-Unia brzeska/

Antoni miał najładniejszy dom-dworek na Sławęcinnie . Siostra mojej matki ciotka Stanisława opowiadała ,że w domu Antoniego były jedyne na Sławęcinnie okna tzw weneckie. Żoną Antoniego była Franciszka Kozicka.

O Antonim wspomina Gustaw Grotthus w opracowaniu pod tytułem „Hrubieszów , Zarys Historii Miasta”.Wydane w 1936 roku w ramach Biblioteka „Wiadomości Hrubieszowskich”- jest to przedruk ze Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich wydawanego w latach 1880-1914 w 15 tomach, **cytuję oryginalny zapis** „,Cerkwi prawosławnych jest dwie, jedna dawna unicka św. Mikołaja wymurowana w 1808 roku przez parafian za współudziałem dziedzica, a zrestaurowana i pokryta blachą dzwonnica przy tej cerkwi jest wymurowana i pokryta blachą w 1870r: kosztem mieszczanina hrubieszowskiego Antoniego Hajwińskiego/?/.” - Jest to ewidentna pomyłka i nazwiska i daty, prawdopodobnie błędne odczytanie odręcznego zapisu nazwiska **Hapoński** w języku rosyjskim. Przykro, że autorzy Dziejów Hrubieszowa -praca zbiorowa wydana w 2006 roku z okazji 600 lecia miasta Hrubieszowa, bezkrytycznie przedrukowali ów błędny zapis do opracowywanej monografii miasta nie dokonując weryfikacji z innymi źródłami i błędnie podają nazwisko mojego prapradziadka, dobroczyńcy cerkwi unickiej.

Ten błąd co do nazwiska i działań donacyjnych przewija się w różnych opracowaniach dotyczących historii mojego miasta. Unika tego błędu Danuta R. Kawałko w opracowaniu pt. Cmentarz w Hrubieszowie , wydanym w 2006 roku przez Społeczny Komitet Ratowania Zabytków Cmentarza w Hrubieszowie . Na stronie siedemnastej , ostatni wiersz na dole zamieszcza cytat z opracowania Antoniego Wiatrowskiego „Dzieje Hrubieszowa w świetle źródeł , dokumentów i zabytków historycznych , Hrubieszów 1957”,**cytuję** -
”*Tę murowaną cerkiew budowano w latach 1795-1829.*

I pierwszy akapit na następnej stronie „*W 1870r. starosta cerkiewny Antoni Hapoński wystawił nową dzwonnice murowaną, naprzeciw frontowej elewacji świątyni.*

Dotychczasowa stała między cerkwią a Huczwą. [Jadcak S.,Kościół Wschodni w Hrubieszowie w: Rocznik Hrubieszowski,t.2/2002,Lublin-Hrubieszów2002] Po likwidacji chełmskiej diecezji unickiej (1875r.) cerkiew św. Mikołaja została zmieniona na prawosławną. W 1918 r. rekuncyliowano świątynię na kościół św. Stanisława Kostki , który od 2001 r. jest siedzibą parafii zakonnej ojców bernardynów , zaś od 2002 r . sanktuarium Matki Bożej Sokalskiej”-koniec cytatu. W opracowaniu Dzieje Hrubieszowa tom I „Od pradziejów do 1918 roku „ - praca zbiorowa historyków UMCS w Lublinie pod redakcją Ryszarda Szczygła w rozdziale X , opracowanym przez Bronisława Mikulca pt.„Od powstania styczniowego do końca I wojny światowej” na stronie 258 , drugi akapit od góry jest wzmianka o społeczności unickiej w Hrubieszowie i błędny nie zweryfikowany z innymi źródłami zapis nazwiska ,zamiast Antoni Hapoński , pojawia się Antoni Hajwinski, **cytuję**; „*Na przełomie lat 60. i 70. XIX w. w okresie administrowania parafią przez księdza Seweryna Śmigielskiego , cerkiew została odrestaurowana i pokryta blachą. Mieszczanin*

Antoni Hajwiński /?/ w 1868r.z własnych środków wybudował murowaną dzwonnice ,a w1869r. kruchtę. Koszt prac budowlanych i ogrodzenia cerkwi wyniósł 3875 rb i 93 kóp. Kolejnym administratorem parafii unickiej był Sagrin Lewicki. - koniec cytatu.

Dla uzmysłwienia wielkości poniesionych nakładów podam , że w tym czasie roczny dochód z przeciętnej wielkości folwarku wynosił około 650 rubli , jest to więc bardzo znacząca kwota.



Dzwonnica przy cerkwi unickiej , ufundowana przez mojego prapradziadka Antoniego Hapońskiego w 1868r – obecnie sanktuarium Matki Boskiej Sokalskiej



Kruchta przy cerkwi unickiej ,ufundowana przez mojego prapradziadka Antoniego Hapońskiego w 1869 roku- obecnie sanktuarium Matki Boskiej Sokalskiej

Antoni i Franciszka Hapońscy, mieli dwoje dzieci.

Córkę Pelagię, która została żoną Ignacego Lebedowicza i syna Antoniego -juniora. Wg przekazów rodzinnych, Antoni był żonaty dwukrotnie. Druga żona, pewnie młodsza, nie była wzorem wierności małżeńskiej. Bardzo duży majątek wymagał rąk do pracy. zatrudniano więc parobków i w jednym z nich podkochiwała się żona Antoniego. Romans ten odkrył syn, Antoni – junior. Wpadł we wściekłość, niszczył wszystko co było pod ręką. Chciał ze sobą coś zrobić. Wzburzony odkrytą sytuacją która w bardzo niekorzystnym świetle stawiała ojca, pod wpływem emocji postanowił zaciągnąć się do carskiego wojska. Podpisał kontrakt na 20 lat służby. Służył na Krymie i terenach Persji, dzisiejszy Iran. Fakt pobytu na tych terenach stwierdził kilka lat temu, Tymoteusz-Tycjan syn Zofii Mosiądz, artystki-malarki mieszkającej w Paryżu, również praprawnuczki Antoniego. Finansowany przez wuja, hrubieszowskiego notariusza Stanisława Mielniczuka, wybrał się w tamte rejony i dotarł do dokumentów potwierdzających pobyt. Tak relacjonowała mi tę sprawę Helena Bojarczuk.

Wspólnie z prawnuczką Antoniego Lucyną Mosiądz i praprawnuczką Heleną Bojarczuk, będącą spokrewnioną z Antonim w takim samym stopniu jak ja, prawdopodobnie odkryliśmy powód donacji na rzecz cerkwi unickiej. Otóż Antoni – junior, był jedynym synem. Dwudziestoletni pobyt w wojsku to zbyt długi okres wyczekiwania na przekazanie gospodarki. Antoni w ciągu dwóch lat wybudował finansując z własnej kieszeni trzy obiekty przy cerkiewne, dzwonnice, kruchtę i ogrodzenie. Było to, tak domniemy, działanie intencyjne, mające w zamyśle pomóc w sprowadzeniu syna z wojska do domu. Kolejnym działaniem było wystosowanie do cara prośby o zgodę na skrócenie służby wojskowej syna.

Donacje, musiały być bardzo mocnym argumentem. Faktem jest że Antoni został zaproszony na rozmowę z carem w Moskwie. Podróż trwała dwa tygodnie i według przekazów rodzinnych, doszło do spotkania, i pomyślnego załatwienia sprawy. Syn wrócił do domu, był więc sukces. Ojciec polecił by się ożenił z prawosławną. Syn wbrew woli ojca pojął za żonę katoliczkę Annę Kozielowicz. Niezadowolony ojciec ukarał syna ograniczeniem przekazanego majątku o połowę. Antoni-junior miał trzy córki, Stanisławę, została żoną Włodzimierza Sołowieja, Franciszkę żona Wiktora Migasa i Władysławę która została żoną Romana Kuczmary. Lucyna córka Stanisławy i Włodzimierza Sołowiejów, wyszła za mąż za Mieczysława Mosiądza. Z tego związku urodziły się dwie córki, Zofia -Grażyna artystka malarka od lat mieszkająca i tworząca w Paryżu oraz Maryla-Stanisława, lekarz, żona hrubieszowskiego notariusza Stanisława Mielniczuka.

Bardzo dużo o Antonim Hapońskim donatorze, pisał w swoich pamiętnikach Antoni Wiatrowski, dzisiaj do tych pamiętników jest utrudniony dostęp. Według przekazów pamiętnik został spisany w trzech egzemplarzach, jeden egzemplarz został przekazany parafii hrubieszowskiej a dwa zaufanym osobom. Lucyna Mosiądz miała dostęp do pamiętnika i potwierdza fakt obszernych zapisów o Antonim Hapońskim.- Te informacje usłyszałem od niej kiedy wspólnie ustalaliśmy wzajemne relacje rodzinne.

Coraz częściej wraca się do tematu unitów hrubieszowskich, nie tak dawno na lokalnym portalu zamieszczono rys historyczny wraz z filmikiem o cerkwi unickiej na ziemi hrubieszowskiej i ludziach z nią związanych. Taką wybitną postacią określaną mianem opornego unity był Antoni Wiatrowski, nauczyciel, historyk, dożgonny unita. W roku 2011, Jan Kalisz, regionalista, wydał opracowanie poświęcone żyjącemu w latach 1889-1957 Antoniemu Wiatrowskiemu, hrubieszowianinowi z urodzenia, wyborcu i zaciekłemu unicy.

JÓZEF LEBIEDOWICZ - ZESŁANIEC ZA WIARĘ

Rodzice mojego dziadka macecznego to Ignacy Lebedowicz syn Józefa i Pelagia z Hapońskich córka Antoniego. Fakt ożenku córki Antoniego Hapońskiego, unity z Ignacym Lebedowiczem synem Józefa, świadczy że Ignacy również był jeżeli nie unitą to potomkiem unity. Antoni Wiatrowski w swoich wspomnieniach pt „Z pamiętnika opornego unity” str. 18 pisze cytuję :

*„Z serc hrubieszowskich unitów nie wydarto wiary ojców. Cerkiewne mury opustoszały. Lud skupił się w ciasnym kościółku poklasztornym. Nie pomogły żadne środki, nawet okrucieństwa. kilku gospodarzy zesłano do Rosji , a mianowicie Szymona Ciesielczuka , Pawła Danilczuka ,**Józefa Lebedowicza** i Teodora Olechwira. Ten ostatni nie wrócił z Rosji.*

Po 13 V 1875 roku ukazem carskim unicy wcieleni zostali do cerkwi prawosławnej , dopiero w 1905 roku car ukazem tolerancyjnym zezwolił na swobodny wybór wiary przez unitów. Fakt zsyłki do Rosji za upór i trwanie w wierze ojców jest ewenementem w historii Hrubieszowa jest czymś o czym powinniśmy pamiętać i być z tego dumni.

Uważam , że my potomkowie unitów winni jesteśmy tym czterem opornym, którzy poszli na zsyłkę za wiarę tablicę upamiętniającą ten fakt i umieszczoną na murach lub w murach ich dawnej świątyni. Tak samo winniśmy upamiętnić gest Antoniego Hapońskiego, dzwonnica i kruchta stoją do dzisiaj i służą wiernym.

Józef Lebedowicz / zesłaniec/ ,ojciec Ignacego ,mój drugi prapradziadek ze strony matki około 1840 roku przekazał na potrzeby cmentarza część swoich gruntów przy obecnej ulicy Kolejowej. Według ustaleń z parafią pochówki członków rodziny miały być bezpłatne.

I pewnie tak na początku było. W 1965 roku kiedy zmarł wnuk darczyńcy mój dziadek Jan Lebedowicz i córki jego powołały się na te ustalenia, usłyszały że nic w tej sprawie nie jest wiadome parafii. Myślę że była to prawda. Bo dokumentów należało szukać w nieistniejącej już parafii unickiej. Więcej piszę o tym w dalszej części.



Na ofiarowanym terenie ,w 1860r Korytyńscy pobudowali kaplicę cmentarną .

Informację o oddaniu ziemi na potrzeby cmentarza przekazała mi moja ciotka Maria Franke z Lebedowiczów, pamiętam jak powiedziała, groby dziadków i pradiadków są na naszej ziemi, leżą u siebie. Fakt ten, przekazanie ziemi również potwierdza Danuta R. Kawalko w swojej pracy o cmentarzu hrubieszowskim /strona 25/.

LEBIEDOWICZOWIE

Lebiedowiczowie byli dosyć zamożną rodziną . Tylko na Pogórze ziemia szerokim pasem ciągnęła się od dzisiejszej ulicy Piłsudskiego aż pod Kozodawy. Celowo używam nazwy Pogórze. Na starych mapach z XVIII wieku ta dzielnica Hrubieszowa obejmująca dzisiejszą ulicę Piłsudskiego nosiła nazwę POGÓRZE. Takiej nazwy używali mieszkańcy jeszcze w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Nowa władza, nowi ludzie nie związani niczym z Hrubieszowem zaczęli używać nazwy Podgórze. Spotkałem się nawet z mapką sporządzoną przez magistrackiego urzędnika który Podgórzem nazwał Antonówkę i Michałówkę – to już zupełne nieporozumienie.

Niedowiarkowie niech sięgną do opracowań historycznych. W dalszej części powołuję się na opracowanie Henryka Gmiterka pt. „Hrubieszów w czasach staropolskich” z pracy zbiorowej „Dzieje Hrubieszowa”, przytacza tam zapisy starych dokumentów w których do tej dzielnicy używano nazwy początkowo Pohurze a następnie Pogórze. Również Konstanty M. Stecki -lekarz ,w swoich pamiętnikach w części I pt Hrubieszów w latach 1892-1900 w odniesieniu do tej części miasta używa nazwy Pogórze.



stoją od lewej , Jan Lebiedowicz/syn/ , Ignacy Lebiedowicz /ojciec/, zięć Piotr Bojarczuk , córka Stanisława , siedzą od lewej Agnieszka Lebiedowicz-żona Jana, trzyma na kolanach córkę Stefanię/po mężu Wawrzecka/- moja matka, Pelagia Lebiedowicz z Hapońskich /córka Anoniego Hapońskiego/ ,córka Paulina -żona Piotra, stoja dzieci Zofia , Jan , Stanisław, Józef Bojarczukowie

Pradziadkowie moi Ignacy Lebiedowicz syn Józefa i jego żona Pelagia córka Antoniego Hapońskiego mieli pięcioro dzieci , cztery córki , Mariannę, Paulinę , Annę , Stanisławę i syna Jana mojego dziadka.

**MARIANNA LEBIEDOWICZ /1886-1936/
córka Ignacego i Pelagii z Hapońskich**

Marianna , siostra mojego dziadka córka Ignacego i Pelagii, wybrała życie duchowne. Była zakonnicą w zakonie Sacre` Coeur w Petersburgu .Zdjęcie rodzinne Lebiedowiczów zamieszczone wyżej , wykonane było dla Marianny. Po rewolucji bolszewickiej zakon został zlikwidowany i Marianna poprzez Francję wróciła do Hrubieszowa. Bolszewicy grabieżami cerkwi , kościołów , klasztorów , procesami sądowymi kapłanów zniszczyli i prawie zlikwidowali w Rosji takie ośrodki wiary. Po powrocie Marianna mieszkała razem z rodziną mojego dziadka. Ulubienicą Marianny a także wychowanicą była siostra mojej matki Stanisława. Stanisława także dziedziczyła po Mariannie. Opowiadała mi matka jak zazdrościły siostrze , tylko ona brana była przez Mariannę gdy szła odwiedzić rodzinę na Sławęcinie. Pewnie dlatego najwięcej informacji o prapradziadku Antonim Hapońskim i jego domu ona mi przekazała.

**PAULINA BOJARCZUK Z LEBIEDOWICZÓW /1889-1954/
córka Ignacego i Pelagii z Hapońskich**

Córka Paulina wyszła za mąż za Piotra Bojarczuka. Bojarczukowie mieli czterech synów i córkę. Syn Stanisław /1916-1949/, we wrześniu 1939 roku jako obsługa kolumny rządowej udającej się na wychodźstwo, wyjechał do Rumunii, Francji a następnie Anglii. Był w armii generała Andersa. Po powrocie z zachodu zaszczyty przez bezpieczeństwo popełnił samobójstwo. Rodzina jest przekonana że był to mord polityczny. Najstarszy syn Józef urodzony w 1911 zmarł w 1976r. Jak często teraz bywa , dzieci Józefa w większości znalazły swoje miejsce do życia poza Hrubieszowem, tylko jedno z dzieci pozostało wiernie ojcowiźnie. Najmłodszy syn Leon /1923-1990/ ożenił się z Zofią z Borsukiewiczów ze Sławęcina, mieli czwórke dzieci-córki. Najstarsza Helena, obecnie na emeryturze, przez długie lata pracowała jako dyrektor hrubieszowskiego muzeum. Społecznik, kiedyś radna wojewódzkiej rady w Zamościu. Aktywny od lat członek Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego. Felietonistka miejscowego Radia Staszic, gdzie wygłasza cykliczne felietony poświęcone znanym postaciom ziemi hrubieszowskiej czy też dziejom miejscowości tej ziemi. Ma także swój czynny udział w wydanej monografii cmentarza hrubieszowskiego autorstwa Jana Podkowika, hrubieszowianina, absolwenta prawa KULu. Przeglądając monografię nie znalazłem w wykazie zmarłych rodziców mojego szwagra Juliusza Barańskiego, Wiktorię i Anatoliusza, nauczycieli z okolic Hrubieszowa, spoczywających na tym cmentarzu. Podobne braki dotyczące także innych osób występują również w monografii Danuty R. Kawałko, nie podejrzewam że są to umyślne pominięcia.

Jan Bojarczuk miał trzy córki.

Zofia zd. Bojarczuk /1914- 1963/ i Paweł Panasiewiczowie mieli czworo dzieci ,dwie córki i dwóch synów. Wszyscy mieszkają w Hrubieszowie.

Groby Bojarczuków i Ciesielczuków postawione są na ziemnych grobach Józefa, Mikołaja, Ignacego, Pelagii i Marianny Lebiedowiczów.

**ANNA PIROGOWICZ z LEBIEDOWICZÓW /1893-1958/
córka Ignacego i Pelagii z Hapońskich**

Anna wyszła za mąż za Pirogowicza. Spory o majątek poróżniły rodzeństwo. Urwały się kontakty, uraza trwała aż do śmierci. Rodziny jakby odsunęły się od siebie. Zabrakło bliskich częstych kontaktów. Dziadek mój jako jedyny syn otrzymał największy dział majątkowy i to był główny powód nieporozumień rodzinnych. Anna Pirogowicz miała trójkę dzieci, dwie córki i syna. Syn Stanisław ożenił się z Janiną Panasiewicz z Teptiukowa, mieszkają na Sławęcinie. Sztafeta pokoleniowa wspomaganie kościoła donacjami trwa. Stanisław Pirogowicz wzorem swoich przodków sfinansował jeden z witraży z wizerunkiem św. Stanisława w swoim kościele parafialnym p.w. Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Hrubieszowie. Wnukowie Anny mieszkają w Hrubieszowie. W czasie kiedy pracowałem w zakładach ceramiki mieszkająca obok Różańska z domu Ciesielczuk wnuczka Anny, w czasie rozmowy powołała się na nasze związki rodzinne. Na Sławęcinie mieszkała córka Anny, żona Bienia. W tym czasie kiedy ja pracowałem w Urzędzie Miasta, pracowała tam także córka Bieniów, Urszula wnuczka Anny.

**STANISŁAWA CIESIELCZUK z LEBIEDOWICZÓW /1907-1976/
córka Ignacego i Pelagii z Hapońskich**

Pogórze, tak nazywała najmłodsza siostra mojego dziadka Stanisława po mężu Ciesielczuk, dzielnicę gdzie mieszkał jej brat i gdzie było ich gniazdo rodowe. Mąż jej Paweł Ciesielczuk/1902-1966/, zwany „Pawluszką” mieszkał na Sławęcinie. Ciotka a dla mnie cioteczna babka mieszkała w rynku na pięterku w domu z zajazdem. Razem z babką mieszkała jej córka Maria Krawczyk z dziećmi. Była to najstarsza córka. Średnia córka Jadwiga Żołędowska i jej mąż Kazimierz mieszkali na Nowym Osiedlu. Ich synowie Leszek i Marek z rodzinami mieszkają pod Poznaniem. Żołędowscy sprzedali dom na Nowym Osiedlu i wyjechali pod Poznań do synów. Umawiałem się z ciotką Jadwigą Żołędowską na pogadanie o rodzinie, dziadkach, pradziadkach i zabrakło czasu. Mąż ciotki chorował, wyjazdy do lekarzy i jakoś ten czas tak zleciał że nie spotkaliśmy się. I pewnie już ze względu na wyjazd do spotkania nie dojdzie i być może sprawy i wydarzenia o których tylko ona wie a jest jedną z ostatnich pamiętających jeszcze dziadków i pradziadków naszych odejdą w niepamięć. */po kilku miesiącach od wyjazdu zmarł mąż ciotki Kazimierz Żołędowski, również ciotka Jadwiga rozchorowała się, stan jej zdrowia wymagał stałej opieki, któryś z synów, prawdopodobnie Leszek przejął opiekę nad matką/.*

Najmłodsza córka Helena Kamińska i jej mąż Piotr nie żyją. Córki Heleny i Piotra mieszkają, w Hrubieszowie – Marysia Kicała i we Wrocławiu dokąd się ostatnio przenieśli ze względu na mieszkającą tam córkę, Asia Bobińska. Babka Ciesielczukowa miała także syna Jana, który po niefortunnym małżeństwie z Janiną K. wyjechał na Śląsk i sporadycznie odwiedzał Hrubieszów. Syn Jan miał troje dzieci, najstarsza Teresa w latach sześćdziesiątych wyjechała na wybrzeże i mieszka dzisiaj w Koszalinie, młodsza Bogumiła zmarła nagle na początku lat siedemdziesiątych /26 05 1973r/ubiegłego wieku a syn Janusz mieszka w Hrubieszowie. Córki nie żyjącej już Marii Krawczyk mieszkają, Grażyna w Krakowie a Basia Baran w Hrubieszowie. Pamiętam jak miałem 5 lub 6 lat, ciotki moje w święto Trzech Króli wymalowały mnie, przystroiliły w koronę i wysłały właśnie do babki Ciesielczukowej. Z Podgórza do Rynku poszedłem piechotą. Wszedłem na górę do mieszkania, potraktowali mnie bardzo poważnie nie dali poznać że to komedia. Ugościli wsadzili do dorożki i wysłali do domu.

Wyobrażam sobie jaki ubaw miały moje ciotki, rodzina babki i przypadkowi przechodnie

widząc mnie siedzącego w dorożce z bardzo poważną miną z koroną na głowie. Jak sobie przypominam dorożkarz jadąc wykrzykiwał coś tam do przechodniów.

JAN LEBIEDOWICZ /1893-1965/ SYN IGNACEGO I PELAGII Z HAPOŃSKICH

Moi dziadkowie Jan Lebedowicz syn Ignacego i Pelagii z Hapońskich i Agnieszka Szumiata, córka Aleksandra Szumiaty i Zofii z Szumiatów, zawarli związek małżeński w 1922r. Jan i Agnieszka mieli pięcioro dzieci, cztery córki i syna. Moja matka Stefania była najstarszym dzieckiem, potem w kolejności rodziły się Janina, Stanisława, Maria i najmłodszy syn Józef. Otrzymał to imię po pradziadku unicie, fundatorze ziemi pod cmentarz i zęślańcu wraz z grupą opornych unitów do Rosji po 1875 roku.

Moja babka Agnieszka zmarła dosyć wcześnie w 1944 roku, mając 46 lat. Dziadek, Jan Lebedowicz zmarł w 1965 roku, przeżył swoją żonę o 21 lat. Po śmierci dziadka jego córki podczas załatwiania w kancelarii parafialnej pogrzebu, upomniały się o ustalenia jakie poczynił niegdyś ich dziadek Józef przekazując swoją ziemię na potrzeby cmentarza. Ustalenia były takie, że pochówki członków rodziny darczyńcy beda bezpłatne. Niestety poinformowano je że brak jest takiego zapisu, spowodowało to niepotrzebne napięcia i zaważyło na stosunku do urzędników kościelnych. Pamiętam pogrzeb dziadka w maju 1965 roku, byłem wówczas swojw szkole w Lublinie. Dostałem z domu telegram o treści bardzo lakonicznej, „przyjeżdżaj na pogrzeb”, nie pamiętałem kto był w podpisie albo nie zwróciłem uwagi. Pamiętam tylko to że całą drogę myślałem na czyj pogrzeb jadę.

Jestem uczuciowy, bardzo popłakałem się przy trumnie dziadka. Chciałbym w tym miejscu opisać bardzo dziwny przypadek jaki mnie spotkał. Miałem chyba 10 lub 12 lat i któregoś razu spałem u ciotki i wydawało mi się że ktoś mnie zbudził, otworzyłem oczy i naprzeciwko wezłowania łóżka, patrząc na mnie stała niewysoka kobieta.

Patrzyła milcząco przez chwilę i zniknęła. Rano opisałem postać i powiedziano mi, że to była babka Agnieszka, pewnie przyszła zobaczyć wnuka. Babka Agnieszka zmarła w 1944 roku, a więc rok przed moim urodzeniem.

POGÓRZE

Dziadek mój mieszkał na Podgórzu. W okresie mojego dzieciństwa używano nazwy Pogórze. Ulica 1 Maja, centrum Pogorza, ulica moich lat dzieciennych w zderzeniu z dzisiejszą ulicą Piłsudskiego bo taka nazwę teraz nosi ta ulica to dwa różne światy.

Dawna 1 Maja to ulica gęsto zabudowana z jednej i drugiej strony domami mieszkalnymi oraz zabudowaniami gospodarczymi, bo większość mieszkających to rolnicy. Nazwiska dawnych mieszkańców tej ulicy bez trudu znajdziecie w herbarzach drobnej szlachty, zresztą nie tylko. Niektórzy z nich /np. adwokat Zderkiewicz/ mieli świadomość, że mieszkańcy Podgórza /dawniej Pohurza -Pogorza/ to właśnie potomkowie szlachty. O tym epizodzie mówił mi Jasio Zderkiewicz, adwokat Zderkiewicz był jego stryjem, pokazał mu stary herbarz z nazwiskiem Zderkiewiczów z dumą podkreślając herbowe pochodzenie.

W powoływanym już wcześniej opracowaniu zbiorowym monografia Hrubieszowa pod redakcją Ryszarda Szczygła w rozdziale VII pt W czasach Staropolskich (XVI-XVIII wieku) opracowanym przez Henryka Gmitemka, na stronie 123, drugi akapit od góry napisano, cytuję: *„Integralną część miasta stanowiły przedmieścia, których Hrubieszów posiadał od XVI w. trzy: Pohurze i Pobereżany na południe oraz Sławęcín na północny zachód od właściwego miasta. Pobereżany stanowiły przy tym w istocie rzeczy odrębną wieś, liczącą w 1564 r. 5 kmieci. Za przedmieście zaczęły uchodzić od początku XVIIw., gdy*

coraz bardziej ruchliwy szlak zamojski znalazł tu swoje zakończenie wjazdem do miasta. Dodatkowo wieś tę związano wówczas ściśle z posługami na rzecz zamku hrubieszowskiego i od tej pory zaczęto ją nazywać „wsią albo Przedmieściem Pobrzeżany. Jako przedmieście Pobereżany traktowane było już w 1616 r.; zamieszkiwało je wówczas 4 kmieci i 3 zagrodników płacących czynsz na rzecz zamku.

Pohurze z kolei, jak wynika z akt miejskich, stało się w początkach XVII w. atrakcyjnym miejscem do osiedlania się tam szlachty i zakładania przez nią niewielkich folwarków. Jak wynika na przykład z inwentarza sporządzonego w 1618r. Po śmierci szlachcica Stanisława Bętkowskiego, miał on „na przedmieściu Pohorzu” dom z ogrodem, gumno, stodołę, brogi jęczmienia.” Koniec cytatu. Jak widać wygląd tych folwarczków – gospodarstw nie zmienił się do połowy XX wieku w tej dzielnicy zwanej dzisiaj Podgórzem.

Większość gospodarstw-folwarczków była zagospodarowana właśnie tak jak opisano. Dom mieszkalny w pobliżu ulicy, tuż za domem piwniczka i w pewnej odległości zabudowania gospodarcze dla zwierząt a jeszcze dalej rozdzielone ogrodem lub sadem olbrzymie dwu tokowe stodoły.

Dzisiaj ci ludzie czy też potomkowie tych ludzi którzy tutaj mieszkali, nie mają świadomości swojego pochodzenia. Wspomnę tylko kilka nazwisk Rzątkowski, Patkowski, Kuźmiński, Zderkiewicz, Panasiewicz, Tański, Mszanecki, Lebedowicz, Chrzanowski, Danilewicz, Koziński, Kraszkiewicz, Zaklekta, Hapoński, Tymecki. Gospodarstwa te za stodołami miały również ogrody i sady, buszowaliśmy tam świetnie wiedząc gdzie są najlepsze śliwki, gdzie jabłka a gdzie wczesne szczepione czereśnie.

Latem a bywały wówczas upalne, skwarne i burzliwe okupowaliśmy łąkę Polaczka gdzie zażywał kąpiele Hrubieszów. Kąpielisk na rzeczce przylegającej do łąki było kilka.

Kąpielisko na rogu głębokie z niebezpiecznymi palami pod wodą, tam się skakało na główkę i było to kąpielisko dla odważnych. Dalej było mniejsze płytsze zwane kolano skąd płynęło się na róg. Na kolanie chlapali się i młodszy i starsi ale tacy którzy nie bali się głębszej wody. Kolejne to babski dołek, płycizna, stale zmacona bo kotłowało się w tej wodzie od maluchów po starszych chcących bezpiecznie się zamoczyć. Było jeszcze kąpielisko przy wiatraku ale to nie był nasze miejsce, tam nie chodziliśmy się kąpać. To było kąpielisko dla chłopaków z ulicy Wodnej, Ludnej, Targowej. W spokojne chłodne dni miejsca te obsiadali wędkarze a wędkowali prawie wszyscy.

Pamiętam bardzo charakterystyczną postać wędkującego Pana Zambelę /Piłsudczyka/. Wąsasty w obszernej zielonej pelerynie wędkował zawsze na rogu łąki. My łowiliśmy ryby nie tylko na wędkę, brodziliśmy w kanale z koszem nie raz kalecząc nogi o bezmyślnie wrzucane do wody szkło i butelki. W miejscu łączenia się rzeki Huczwy i kanału Ulgi, było dosyć szerokie rozlewisko. Mniej więcej w połowie rozlewisko przegradzała wiklinowa tama. Było to fajne miejsce do wybierania niesionych nurtem ryb, które utkwily w wiklinowych prętach i nie mogły się wydostać. Z jednej i drugiej strony tamy były wysepki. Pierwsza mniejsza i prawie zawsze zajęta przez domowe ptactwo wodne, kaczki i gęsi które swobodnie korzystały i z rzeki i z wysepki. Natomiast druga wysepka zawłaszczana była przez nas. Tam można było spokojnie z dala od innych opalać się i kąpać. Było to również doskonałe miejsce do wędkowania. Jednak najlepsze kąpieliska były na małym i dużym Ostrowie, ale tam to już były całe wyprawy. Tam też były najlepsze miejsca do wędkowania. Świat ten bezpowrotnie odszedł.

Na miejscowym parafialnym cmentarzu w pobliżu kaplicy na ziemi niegdyś należącej do Józefa Lebedowicza prapradziadka, i ofiarowanej parafii unickiej w 1840 roku na potrzeby cmentarza, prawie w jednym miejscu zgrupowane są groby rodzinne. Jest grób moich rodziców Jana i Stefani z Lebedowiczów Wawrzeckich oraz ich syna a mojego brata Zenona, obok pochowani są rodzice mojej matki Jan i Agnieszka z Szumiatów Lebedowiczowie. Wraz z nimi pochowana jest moja ciotka a ich córka Stanisława. Tuż obok rodzice babki

Agnieszki, Aleksander i Zofia z Szumiaków Szumiakowie i ojciec Aleksandra, Wojciech Szumiaka. Kilka grobów dalej są groby rodziny Ciesielczuków Pawła i Stanisławy, Anny Pirogowicz, Heleny i Piotra Kamińskich. Postawione są na grobach ziemnych Józefa, Mikołaja, Ignacego i Pelagii z Hapońskich Lebedowiczów i ich córki Marianny a więc dziadków, rodziców i siostry dziadka Jana Lebedowicza.

Te rodziny chowały się od wieków na tym cmentarzu. Kwatera przy kaplicy cmentarnej jest miejscem pochówku mieszkańców Podgórze i Sławęcina, widać to dokładnie po nazwiskach umieszczonych na nagrobkach, Lebedowicze, Szumiakowie, Pirogowicze, Kozielowicze, Ciesielczuki, Kuźmińscy. Spoczyły obok siebie nie tylko rodziny ale również sąsiedzi, krewni i znajomi.

W dzieciństwie często razem z mamą w niedzielne popołudnie wybieraliśmy się na spacer po hrubieszowskim cmentarzu. Mieszkaliśmy mniej więcej w połowie dawnej ulicy 1 Maja, a więc było to stosunkowo blisko. Ulica Nowa łączyła się z ulicą Kolejową i 1 Maja w miejscu gdzie dzisiaj jest chodnik, ograniczający parking od strony ul. Kolejowej. Z prawej strony na niewielkim wyniesieniu usadowiła się przepiękna aleja kasztanowa, dochodziła do domu grabarza Szydłowskiego. Dzisiaj po tej alei pozostała smętne fragmenty, tylko w tym roku wycięto trzy przepiękne kasztanowce. Jakoś tak w naszym mieście bardzo lekceważąco podchodzi się do ochrony przyrody, tak niefrasobliwie wycięto chronioną dąb w parku na terenie dawnego folwarku Antoniówka, również chronione prawem jesiony rosnące przy urzędzie skazano na unicestwienie, jeden to pewnie z tego powodu że siadały na nim ptaki i fajdały na urzędnicze samochody. Ze zgrozą czekam, czy komuś nie zaczną nagle przeszkadzać stare kasztanowce rosnące na placu po dawnej resursie przy ul. 3 Maja.

Wracając do cmentarza, mnóstwo drzew i krzewów, oaza ciszy i spokoju. Zdecydowana większość grobów w tamtym czasie, a były to lata pięćdziesiąte ubiegłego wieku, to groby ziemne. Stare grobowce znajdowały się w alejkach tuż za główną bramą cmentarną. Początkowały je groby Kuleszów i Bojarskich, w tamtym czasie były jeszcze doskonale utrzymane, dzisiaj to kompletna ruina. Zły stan dotyczył właściwie wszystkie stare groby, zarówno rodziny Ostrorogów jak i inne zlokalizowane w tej części cmentarza. Sporo starych grobowców było w tak fatalnym stanie, że w niektórych przez rozwalone płyty widać było resztki zbutwiałych trumien i kości zmarłych. Pamiętam jak siostra mojego dziadka po śmierci kogoś z rodziny, weszła do grobowca przygotować miejsce na nową trumnę i przy okazji zajrzała do stojącej tam trumny kogoś zmarłego wcześniej. Opowiadała później w jakim doskonałym stanie była odzież zmarłej osoby. Opowiadał żona jak chodziła do przedszkola na ulicy Nowej i z przedszkola wracała do domu przez cmentarz. Przechodziła obok takiego rozwalonego grobowca. Któregoś razu przestraszyła się jakiegoś człowieka który ją zaczepił na cmentarzu, uciekła i schowała się do tego rozwalonego grobowca. Siedziała tam dosyć długo i wyszła dopiero wtedy jak usłyszała głos szukających jej osób.

Cmentarz od strony wschodniej graniczył ze szkółką drzewną. Cmentarz zwany „nowym” powstał za cmentarzem wojskowym. Z jednej strony ten nowy cmentarz ograniczał właśnie cmentarz wojskowy a z drugiej od południa zabudowania Migasów do których dojeżdżało się drogą usytuowaną wzdłuż południowej strony cmentarza wojskowego. Ten nowy cmentarz zapełniał się dosyć szybko i został wchłonięty przez stary cmentarz a miano nowego cmentarza zyskał teren dawnej szkółki drzewnej. I on dzisiaj jest już prawie zapełniony. Komunalny cmentarz przy ul. Nowej mimo tego że został oddany do użytku i poświęcony przez biskupa prawie 20 lat temu, nie odnotował jeszcze żadnego pochówku.

Tak jak już pisałem większość grobów to były groby ziemne. Czasami groby te obramowywano betonowymi nagrobkami wewnątrz których na pozostawionej tam ziemi sadzono kwiaty. Bardzo często ziemne groby okładano płacami darni wycinanej na łąkach Ostrowa Dużego lub Małego. Widywano później na łąkach olbrzymie kwadraty i prostokąty pozbawione trawy. Przed zaduszkami groby przystrajono gałązkami świerkowymi, chryzantemy pojawiały się początkowo bardzo sporadycznie i były dosyć drogie. Nie było tak powszech-

nych jak dzisiaj ohydnych plastikowych wyrobów imitujących kwiaty. Plastik dzisiaj dominuje na cmentarzach, kilka lat temu któryś z księży podczas mszy na cmentarzu apelował o zaniechanie lub ograniczenie stosowania tych ozdób, ale jak widać nie odniosła to żadnego skutku. Tak jak pisałem głównie strojono groby świerkiem, ale spotykało się tworzone na płytach nagrobnych kompozycje. Na cienkiej warstwie piasku z pociętych gałązek świerkowych, liści itp. elementów tworzone przepiękne kompozycje. Szczególnie utkwił mi w pamięci grób dwóch osób, które zginęły w 1944 roku, na płycie nagrobnej co roku wykonywana była inna kompozycja, pamiętam że ludzie celowo chodzili pod ten grób oglądać co też w tym roku wykonano. Nie było takiej różnorodności lampek-zniczy nagrobnych, zapalano wtedy małe lampki takie jak podgrzewacze do kominków zapachowych i świece nazywane dzisiaj stołowym stawiane bezpośrednio w ziemi lub płycie nagrobkowej. Domowymi sposobami wykonywano w puszkach po konserwach i innych tego typu pojemnikach większe lampiony, owszem dawały one lepszy efekt ale też śmierdziały i kopały okropnie. Używano do ich sporządzania różnych specyfików, jakieś stare tłuszcze, łój i tym podobne ingrediencje. Ówczesne znicze wykonywane z innych jak dzisiaj surowców dawały owszem dużo więcej światła, luna nad cmentarzem wieczorem widoczna była z daleka, ale też kopały i śmierdziały okropnie. Odwiedzało się wszystkie groby zmarłych bliskich, obowiązkowo odwiedzano cmentarz wojskowy, zapalając lampkę na którymś bezimiennym grobie, tak samo odwiedzano długi rząd grobów pomordowanych przez bandy upowskie na stacji kolejowej w Gozdowie. Wieczorem w dzień zaduszny z dorosłymi szliśmy na cmentarz spacerując alejkami cmentarnymi, opawiano różne historie związane ze zmarłymi. Pamiętam jak któraś z ciotek opowiadała taka historię, w noc zaduszkową, dusze zmarłych udają się z cmentarza do kościoła na odprawianą przez dusze zmarłych księży mszę. W tym celu w kościele pozostawiany jest na noc na ołtarzu mszał i wszystko to co jest potrzebne do sprawowania liturgii. Ktoś z żyjących chyba córka bardzo opłakiwała zmarłą matkę i chciała ją koniecznie zobaczyć właśnie w tę noc zaduszkową kiedy dusze udają się do kościoła. W tym celu schowała się w kościele za drzwiami i oczekiwała. O północy pojawiły się dusze i zobaczyła swoją matkę jak idzie i dźwiga dwa pełne wiadra, wybiegła, chciała pomóc, matka powstrzymała ją słowami, widzisz co muszę dźwigać, to są twoje łzy które wypłakujesz po mojej śmierci. O cmentarzu i duchach ciągle ktoś opowiadał i straszył. Kiedyś w dobrych czasach kiedy jeszcze do Hrubieszowa docierała kolej jeden z pociągów osobowych przyjeżdżał na dworzec około godziny 3.00 rano. Ówczesna ulica Kolejowa to było kilka domów i zabudowania kończyły się przed zarządem drogowym/dzisiejszy bazar/. Dalej aż do drewnianego domku Lenarda /początek ulicy Kolejowej/po lewej stronie rosły drzewa i chaszcze a po prawej stronie ulicy był cmentarz. Pociągiem o tej porze przyjeżdżało zazwyczaj kilka osób a czasami wręcz jedna. Do miasta można było się dostać tylko ulicą Kolejową i dawną 1Maja. Transportu samochodowego nie było i trzeba było liczyć na własne nogi. Opowiadano taką historię, ktoś tam przyjechał i samotnie szedł ulicą do miasta, przed cmentarzem wojskowym dogoniła go jakaś osoba i już we dwójkę raźniej było iść. Wywiązała się rozmowa na temat związany z duchami i ta pierwsza osoba miała mówić że się trochę bała tak samotnie iść nocą drogą obok cmentarza i że idąc z kimś takich obaw już nie ma. Doszli tak razem do miejsca gdzie kończy się cmentarz i ta druga osoba skracając w stronę cmentarza miała powiedzieć „jak żyłem to też się bałem”. W czasach kiedy nie było telewizji o komputerach jeszcze nikt nie słyszał takie opowiadki wypełniały długie jesienne wieczory, pamiętam że po takich opowieściach, problemem stawało się wyjście do innego ciemnego pomieszczenia. Hrubieszowski cmentarz tak bardzo oddziaływał na wyobraźnię, że pamiętam jak przerabiałem w szkole średniej „Dziady” Mickiewicza, to nieodmiennie części druga z guślarzem kojarzyła mi się z hrubieszowską kaplicą cmentarną.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia komunistyczne władze Hrubieszowa wywłaszczyły rodzinę z najlepszych działek przy ulicy Polnej , Nowej , Piłsudskiego za groszowym odszkodowaniem. Na zabranej ziemi Lebedowiczów stoją bloki mieszkalne 65 i 63 na ul. Piłsudskiego, pierwsze spółdzielcze bloki na ul. Polnej 13 ,14, 16, 4 , bloki „Energetyka”, „Słoneczko”, dawna baza STW , Zakład Energetyczny, baza Przedsiębiorstwa Budownictwa Rolniczego a na ul. Nowej baza PKS i część LHSu. Na ziemi Mikołaja Lebedowicza ,brata Ignacego stoi część dzisiejszego tzw. hrubieszowskiego „Manhattanu”. Ziemię tę w spadku otrzymała moja matka. Zastraszając matkę , uzyskano jej rzekomą zgodę na sprzedaż i wypłacono groszowe odszkodowanie. Aby wpłacić wymagany wkład na kawalerkę do spółdzielni mieszkaniowej , prezydium miejskiej rady narodowej w 1975 roku dopłaciło łaskawie brakujące pieniądze. Polska Ludowa w wykonaniu hrubieszowskiej władzy, za 16 arów działkę na której pobudowano hrubieszowski „Manhattan” wypłaciła odszkodowanie, które wystarczyło na jedno koło i kierownicę do roweru. Pisząc o tym wcale nie przesadzam, posiadam stosowne dokumenty, podpisane przez ówczesną władzę, nie podaję nazwiska niech dalej żyje w błogim przeświadczeniu o swojej nieskazitelności. Po obaleniu komuny chcieliśmy odzyskać część ziemi nie zagospodarowanej. Prawo stanowiło że taka ziemia podlega zwrotowi właścicielowi lub spadkobiercom i okazało się , że najzwyczajszą ludzką przypadłość jaką jest zawiść wzbudziła niezdrowe emocje i sprawa zakończyło się odmową. Bulwersuje brak systemowych rozwiązań do naprawy krzywd wyrządzonych ludziom w tamtych latach.

Była też ziemia na obecnej ulicy Nowej , na tzw „Duchach” , na Łotoszynach , przy chełmskiej drodze , łąki na ul. Koszarowej obecnie Dwernickiego na ul. Kolejowej .

I tak w drodze działów rodzinnych a później zawłaszczenia za symbolicznym odszkodowaniem przez komunę zostały niewielkie kawałki ziemi. Dawna ulica 1 Maja /powojenna/, to dzisiaj ulica Piłsudskiego a więc powrót do nazwy sprzed wojny .W czasie okupacji niemieckiej ulica nosiła nazwę Bahnhofstrasse . Dzisiaj ta strona ulicy po której mieszkaliśmy , od ulicy Sokalskiej aż do domu Ludwika Ciesielczuka stojącego na górze przy Rondzie Żółkiewskiego w niczym nie przypomina ulicy moich lat dziecińczych.

Na tej ulicy gdzie dorastałem zmieniło się prawie wszystko. Zmieniła się ulica z wąskiej wybrukowanej klinkierem z chodnikiem po jednej stronie na szeroką asfaltową ulicę z okalającymi ją blokowiskami i kończącą się rondem im. Stefana Żółkiewskiego. Zmienił się ludzie, sporo szczególnie młodzieży wchłonął inny szeroki i wielki świat. Procesy migracyjne lat 60 i 70 ubiegłego wieku wymieniły ludność miasteczka. Jeszcze tylko mieszkańcy Sławęcina, Gródeckiej to starzy zasiedzieli autochtoni. Oczywiście są enklawy i na ulicy Zamojskiej, Żeromskiego czy Dwernickiego. Osiedla mieszkaniowe to w zdecydowanej większości ludność napływowa. Piszę zdecydowanej, ponieważ i tutaj również mieszka część dawnych mieszkańców, którzy zostali w czasach komuny usunięci ze swoich domów w związku z wywłaszczeniem i przeznaczeniem ich ojcowizn pod budownictwo wielorodzinne. Rzadko widuje się dawnych znajomych czy kolegów szkolnych. Czasem ich twarze migną w świątecznym tłumie zaduszek, Bożego Narodzenia czy Wielkanocy, ale też już coraz rzadziej, bo ci do których przyjeżdżają odchodzą do świata pozbawionego trosk i zmartwień.

I tak idąc od skrzyżowania ulicy Sokalskiej z ulicą Piłsudskiego w miejsce długiego drewnianego domu gdzie mieszkało wiele rodzin, Wątróbkowie, Wierzbicy, Szelestowscy i inni, stoi dzisiaj duży dom lecarskiej rodziny Gałęckich. Tuż za tym domem na wzgórku ścianą szczytową do ulicy stał domek w którym pamiętam mieszkało dwóch braci , młodszy ożenił się z Basią Perelmuter ,siostrą mojego dobrego znajomego i kolegi Henia. Tuż za tym domkiem stał na tym samym wzgórku tajemniczy dom. Nigdy nikogo przy tym domku nie

widziałem a może nie miałem szczęścia widzieć. W każdym razie do dzisiaj dom ten chociaż już dawno nie istnieje jest dla mnie tajemnicą. Za tym domkiem stał duży drewniany dom, pomalowany na szaro z gankiem i dosyć wysokimi betonowymi schodkami. W domu tym mieszkało kilka rodzin, między innymi Stasiukowie. Romek starszy ode mnie, mieszkał później w tym samym budynku na „popówce” co my. Od kilku lat już niestety świętej pamięci. Drugą żoną Romka była siostra Zygmunta Franke, Jadwiga. Z Jadzią trzymałem do chrztu syna Zygmunta, Jarka. Siostra Romka, Krystyna była w jednej klasie z moją żoną, pracowała tak jak ja w PBRolu. Tuż za ich domem w żółto brązowym drewnianym domku mieszkali Szymańscy. Pamiętam ich małego syna, chyba w moim wieku, bardzo chorowity, zawsze na wózku wożony przez matkę, zmarł. Był to wielki cios dla matki, którą jak pamiętam widywało się bardzo przygnębioną i smutną. Ojciec chłopca prowadził biuro pisania próśb i podań i był stałym bywalcem tak popularnych kiedyś sodówek, gdzie widziało się go praktycznie przez cały dzień z kuflem piwa w ręku.

Myślę że to był jego sposób na tragizm który ich dosięgnął. W tym samym podwórzu, tyle że w głębi za domem Szymańskich mieszkali Magnuszewscy, ich córka była szkolną koleżanką mojej żony. Każdy dom oddzielony był od sąsiada drogą dojazdową do swojej posesji i do zabudowań gospodarczych, które zazwyczaj znajdowały się w głębi podwórza. Właśnie kolejną posesją oddzieloną taką drogą, były zabudowania Widławskich. Ich dom stał ścianą szczytową do ulicy. Był to dom z szerokich drewnianych bali w węglach na zakład, pobielony kontrastował z zielenią drzew rosnących przed domem. Za tym domem w takim samym układzie stał domek parterowy obity papą. Był to dom Hapońskich. W domku tym mieszkali znajomi mojego ojca Ptaszkowie i Hapońscy. Rządkowscy, Witold i Józefa z Kowalskich mieszkali w części domu stojącego w podwórzu. Dom nosił wyraźne ślady wojny. Witold był żołnierzem AK pracował na PKP „Wąska”. A jego brat również żołnierz AK był jubilerem i sadownikiem. Prowadził obok lodziarni Duławskich na ulicy Staszica, mały zakładzik z tymi usługami. Po likwidacji w tym zakładzie było modniarstwo Ludmiły Ostrowskiej. Następna posesja, to posesja Kryszczuków. Dom z gankiem stał szczytem do ulicy, szalowany, w brunatnym kolorze. Ganek to nieodłączny element wielu a właściwie wszystkich domów. Przy samej ulicy stał niewielki murowany domek. Ówczesna władza zawłaszczyła ten domek na sklep a właściciele File mieszkali z tyłu w niewielkiej drewnianej przybudówce. Przez krótki czas w tym sklepie pracował mój ojciec. Następny dom, to dom w którym mieszkały dwie rodziny, Klimowicze i Diabinowie. Posesja ta graniczyła z działką mojej matki, którą dostała w spadku od Mikołaja Lebedowicza, brata Ignacego. Stojący tam dom, drewniany szalowany, we wrześniu 1939 roku został zburzony podczas niemieckiego nalotu. Wtedy też zginęła koleżanka mojej matki, Żydówka. W czasie tego nalotu zburzony został sąsiedni dom Ciesielczuków i poważnie uszkodzony następny. Posesje Ciesielczuków i mojej matki rozdzielała wąska droga dojazdowa do posesji Filów. Dom Filów i zabudowania gospodarcze usytuowane w głębi, ogrodzone były wysokim szczelnym parkanem. Pamiętam, że zawsze ciekawiło nas dzieciaków, co kryło się za tą ścianą. Tuż za posesją Filów, oddzielony ścieżką „zagumienkową” stał dom Sekulskich graniczący od zachodu z posesją Walikowskich. Stasio Sekulski w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, sprzedał dom i wyjechał do Sulejówka. Może ktoś jeszcze pamięta kaszarnię Walikowskich w nieistniejącym już budynku na rogu ulic Targowej i Placu Staszica. Walikowscy to rodzina mojego dobrego znajomego z Wrocławia, Jurka Grycyka. Jurek to również rodzina naszych dawnych sąsiadów Tutkajów. W czasie kiedy Tutkajowie mieszkali w Hrubieszowie, Jurek i jego młodszy brat Wiesiek, spędzali wakacje u swojej ciotki Tutkajowej. Przez wakacyjne miesiące wspólnie buszowaliśmy w naszym sadzie i ogrodzie. Za posesją Ciesielczuków stał w połowie zburzony w czasie wojny dom. Pamiętam jeszcze w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia dom ten zamieszkały był tylko w połowie. Druga połowa nie remontowana straszyla pustymi oknami i zapadniętym dachem. W domu tym mieszkał Lipek, kolega moich ciotek i wujka. Mieszkała tam także

Antosia, wynajmowana do prania po domach. Co jakiś czas matka zamawiała praczkę i było to wydarzenie ,bo zakłócało normalny rytm domu. Rozstawiana była na podwórzu balia , grzano duże ilości wody, wstawiano do bali tarę, takie urządzenie z karbowanej blachy i praczka po namydleniu prania, energicznie przesuwała tym po tarze w górę i w dół. Rytuał prania trwał z reguły cały dzień. Pranie rozwieszano albo na podwórzu albo na strychu jeżeli była niepogoda. Do dzisiaj widzę spracowane, sprane ręce Antosi, kiedy siadała do posiłku i brała chleb w białe pomarszczone przez wodę dłonie. Kolejny dom to dosyć spora kamienica z czerwonej cegły. Mieszkali w niej przybyli z Wołynia Kosteccy. Mieli trzy córki, jedna z nich wyszła za Wilczyńskiego druga za Buczaka a trzecia za Krzysztofowicza.

W głębi podwórza stał drewniany dom, mieszkali w nim Krauzowie. W kamienicy od frontu było mieszkanie gdzie spragnieni mocnych trunków mogli o każdej porze dnia i nocy otrzymać wsparcie.

Duży drewniany dom z gankiem , obrośnięty dzikim winem, emanujący dziwną tajemnicą zamieszkiwali Lenikowie, kuzyni Kuźmińskich mieszkających parę domów dalej.

Na tej samej posesji w głębi podwórza stał dom Ciesielczuków w którym mieszka rodzina Kuciów i nasz kolega Helmek/zm.w 2005r/, ten który doniósł szwagrowi ubekowi o moich i Witka Panasiewicza napisach na ścianie stodoły/o czym dalej/. Klaudiusz Lenik jest dzisiaj profesorem politechniki lubelskiej, a siostra Barbara jest ekonomistką, mieszkają w Lublinie. Za wjazdem stał pobielony dom Teodora Kraszkiewicza ożenionego z Marią z Lebedowiczów z Michałówki. Teodor Kraszkiewicz dosyć majątny, w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku uznawany był przez władze za kulaka i tak był traktowany. Przez pewien czas w domu tym podnajmowali mieszkanie Bajurkowie, przyjaciele moich teściów. Dom Kraszkiewicza sąsiadował z domem mojego chrzestnego ojca Władysława Zaklekty. W części tego domu mieszkał i miał zakład krawiecki Adolf Bednarek. Pamiętam szyty przez niego dwurzędowy garniturek dla mnie na pierwszą komunię mojej siostry Elżbiety. Do dzisiaj nie rozumiem dlaczego do tego garnituru uszyto mi krótkie spodnie. Ówczesny burmistrz a później przewodniczący miejskiej rady Stanisław Nowakowski bezprawnie zajął dom nie należący do niego. Dom był własnością Lebedowiczów z Wygonu. Ale władza komunistyczna sama była prawem. W jednej części domu mieszkał Nowakowski a w drugiej części nasi kuzynowie Ciesielczukowie. Po 1956 roku dawni właściciele odzyskali dom a Nowakowscy przenieśli się do wybudowanego domu na Nowym Osiedlu. Z Nowakowskimi mieszkała ich wnuczka Jola Pastor. Ojciec jej tuż po wojnie był funkcjonariuszem aparatu bezpieczeństwa. Książeczka z serii tygrysa z roku 1966 autorstwa Ryszarda Zgóreckiego pt „Atak nastąpi o północy”strony 90-91 opisują atak polskiego patriotycznego podziemia na budynek bezpieki i ucieczkę Pastora przez okno do pobliskiego ogrodu. Pewnie za ten wyczyn został przeniesiony do Warszawy. Jola została z dziadkami. Pastor czasami przyjeżdżał elegancką czarną limuzyną z szoferem w odwiedziny do teściów i córki. Następna posesja to dawna kamienica Kraszkiewiczów w której teraz mieszkali Tutkajowie. Z ich córką Jadzią chodziłem do szkoły. Dalej w głębi był sad Antoniny Kraszkiewiczowej z Hapońskich. Posesje te przylegały do posesji mojego pradziadka Ignacego Lebedowicza i jego żony Pelagii z Hapońskich. Te dwie posesje jakby się uzupełniały i tworzyły jedną, zachodziły na siebie w kształcie stylizowanej litery S, kiedyś tworzyły całość. Pan Tutkaj był piekarzem , miał własną piekarnię w Rynku. W czasach komuny piekarnię upaństwowiono i Tutkaj był zatrudniony jako piekarz we własnej piekarni. Jak wracał z nocnej zmiany, przynosił ciepłe bułeczki i rogaliki. Wspaniale smakowały ze świeżym mlekiem. Moja matka przyjaźniła się z Tutkajową, często rano część świeżego pieczywa łądowała na naszym stole. Następny dom, to nasz dom. Niewielki i stary, bo jak matka mówiła wybudowany ponad 100 lat temu, środkiem sień i po pokoju z kuchnią z każdej strony. Sień kończyła się rodzajem składziku, rupieciarni, zwanej komorą. Okazuje się, że ta komora została wybudowana jako pomieszczenie mieszkalne dla Marianny, która po kasacie

zakonu w Petersburgu wróciła do Hrubieszowa i zamieszkała z bratem. Jak mówiono było to królestwo ciotki Marianny. Po Jej śmierci dobudówka przekształcona została na podręczną komorę-składzik.

Buszowałem po strychu, gdzie było wiele ciekawych starych rzeczy. Duża w drewnie rzeźbiona ikona przełamana wzdłuż, w dużym pudle stojącym w kącie strychu poskładano stare listy, karty pocztowe, prześmieszne okolicznościowe karty z pieskami, kotkami przyozdobionymi kokardkami. Sterty starych butów, przeróżnego kształtu butelki i wielkie pudła z ozdobami choinkowymi, znoszonymi z pietyzmem w grudniu i przeglądane przed zdobieniem choinki. Przez dłuższy czas już w naszym domu były jeszcze resztki ocalałych przedwojennych szklanych baniek i metalowych lichtarzyków do świec. W części strychu był olbrzymi gołębnik należący do mojego ojca, był wielkim miłośnikiem tych ptaków. Nie wiem dlaczego ale ciągle były utarczki z matką o te ptaki. Dach był kryty drewnianym gontem przyjaznym gołębom. W podwórzu była piwnica, głębokie, ciemne i chłodne pomieszczenie wymurowane z czerwonej cegły. W wejściu do piwnicy na takim jakby półpiętrze były dwie nisze przeznaczone do podręcznego przechowywania, dopiero zejście niżej wprowadzało nas do właściwego pomieszczenia. Półkoliste sklepienie z otworem wentylacyjnym, ściany z czerwonej cegły po latach obrosły białym nalotem. Ziemiaki od innych ziemioplodów oddzielały drewniane przegrody z regulowaną wysokością. W największe upały w piwnicy panował przyjemny chłód. Piwnice były nieodłącznym elementem każdego gospodarstwa domowego. Nie przypominam sobie by u któregoś z sąsiadów nie było piwniczki a raczej locha, bo tak to nazywano. Trzymano tam jak pisałem ziemniaki i warzywa, stały beczki z kwaszoną kapustą i kwaszonymi ogórkami, trzymano tam również w kamiennych garnkach obłożone świeżymi pokrzywami mięso. Tak je wówczas zabezpieczano, oczywiście nie na długi czas. W czasie wojny piwnice pełniły rolę schronu i to dosyć skutecznego. Dalej był olbrzymi ogród połączony z sadem. Z jabłek pamiętam węgierki małe zielone jabłka, dobre dopiero zimą, podobne do nich grochówki, papierówki, renety, ale najwięcej było śliw różnego rodzaju. Białe duże śliwki przypominające wielkością węgierki, małe ciemne i słodkie zwane srajkami, bardzo słodkie lubachy.

Były dwie śliwy rodzące bardzo duże smaczne owoce ale tylu było amatorów, że nigdy nie dojrzewały bo wcześniej je zrywano. No i oczywiście wiśnie, nie jakieś tam szklanki i inne nowoczesne odmiany ale wysokie, dające niewielkie prawie czarne owoce o niezwykle esencjonalnym soku. I smak i zapach tych wiśni to niezapomniane wrażenia, dzisiaj takich wiśni nie spotyka się nigdzie, no może gdzieś w starych sadach. Bardzo dużo było malin, lubiłem buszować w lecie w ich gąszczu, urządzać kryjówki, były to niezapomniane bez troskie dziecięce lata. Z opowiadań wiem, że siostra dziadka, zakonnica Marianna po powrocie z zakonu zajmowała się ziołolecznictwem oraz uprawą malin. Żona wuja Józefa powołując się na swoją matkę opowiadała, że Marianna wynajmowała ludzi do zbioru malin, między innymi także jej matkę. Z drugiej strony sąsiadowali z nami, Warchulscy i Panasiewiczze. Paulina Warchulska była moją chrześną matką, zmarła bardzo wcześnie, miałem wówczas pięć lat. Z jej synem Wieśkiem i jego kuzynem z tego samego domu Andrzejem Panasiewiczem na zabawach spędzaliśmy całe dni. Pamiętam Wiesiek urządził mini ogród zoologiczny. W jamkach wygrzebanych w ziemi i przykrytych kawałkami szkła poumieszczał różne małe żyjątka, muchy, motyle, dżdżownice i co tam można było złapać. Za wstęp do tego ogrodu trzeba było jak pamiętam zapłacić jakimś owocem. Na drugi dzień awantura, ktoś ukradł eksponaty, norki były puste. Dochodzenie prowadził Andrzej, wielu z nas było podejrzanych, w końcu stwierdził autorytatywnie że to nikt inny nie ukradł tylko Janusz sąsiad z naprzeciwka, bo Andrzej nie lubił Janusza. Posesja Warchulskich, Panasiewiczów sąsiadowała z posesją ich kuzyna również Panasiewicza, ojca braci Witka i Waldka. Ich ojciec Jan był bratem Władysława ojca Andrzeja i Grażyny oraz bratem Pauliny Warchulskiej z Panasiewicz, matki Wieśka i Zbyszka. Blisko ulicy, nieopodal starej żeliwnej pompy stał drewniany dom. Połowa domu od strony wschodniej należała do ojca Witka i Waldka

Panasiewiczów. W jednej ćwiartce domu mieszkali rodzice, Jan i Katarzyna Panasiewiczowie wraz z najmłodszymi dziećmi, Witkiem i Waldkiem. W drugiej ćwiartce domu mieszkała ich córka Lusja, żona Janka Podlewskiego. Najstarszy syn Panasiewiczów Czesław, po ukończeniu szkoły w Nysie, chyba tą samą szkołę tyle że później ukończył Wiesiek Warchulski, podjął prace w Zakładzie Energetycznym w Zamościu. Tam założył rodzinę i zamieszkał. Pamiętam był to chyba rok 1962 lub '63, byłem w szkole w Lublinie, kiedy do Lublina przyjechali, Witek i jego szwagier Podlewski.

Przyjechali kupić telewizor, wspólnie sfinansowany, bo Witek i Waldek już pracowali. Była to nowość, bardzo droga i bardzo magiczna, dzieciarnia i starsi byli zauroczeni magiczną skrzynką pokazującą obrazy. To cudo techniki dodawało nie tylko splendoru domowi ale również sprawiało właścicielom nie lada kłopot. Nikt z sąsiadów poza Najami mieszkającymi w dużym drewnianym domu koło „Proboju” nie miał telewizora. Wieczorami schodzili się sąsiedzi, okoliczna dzieciarnia i oglądano wszystko jak leci. Ojciec Witka, posiadał niewielki warsztat stolarski. Zazdrościłem i Witkowi i Waldkowi umiejętności posługiwania się narzędziami stolarskimi.

Na sąsiednim podwórzu Buszkiewiczów, stały ponemieckie samochody ich kuzyna Nieczyporowskiego. Cała okoliczna dzieciarnia bawiła się w tych niezabezpieczonych samochodach i sukcesywnie je rozmontowywała z drobnego atrakcyjnego z punktu widzenia dzieciarni wyposażenia. Po jakimś czasie została kabina, goły silnik, felgi i skrzynia. Pewnie duża zasługa była w tym również właściciela, który nie przejawiał zbytniego zainteresowania stanem swojej własności. Po latach, będąc w Sitańcu koło Zamościa a właściwie na sitanickim cmentarzu, gdzie fotografowałem stare nagrobki kolonistów niemieckich, spotkałem niespodziewanie również spacerującego po cmentarzu Czesława Panasiewicza, najstarszego brata Witka i Waldka. Poznałem go, on właściwie mnie nie znał wyjechał z Hrubieszowa kiedy ja miałem kilka lat, więc nie mógł mnie pamiętać. Podszedłem, przedstawiłem się i zaczęły się wspominki. Doskonale pamiętał moją matkę, ciotki a szczególnie ciotkę Jankę która po ślubie zamieszkała w Korytynie. Wymieniliśmy się adresami i telefonami. Kiedyś usłyszałem od Witka, niesamowitą historię jego ojca Panasiewicza Jana.

Historia ma swój początek 2 listopada 1900 roku, jest to data urodzin Panasiewicza Jana z Podgórza. Kilka dni wcześniej 26 października tego samego roku urodził się Jan Panasiewicz z Pobereżan. Jan Panasiewicz z Pobereżan poszedł do wojska i zginął w czasie I wojny światowej. Omyłkowo wystawiono akt zgonu na Jana Panasiewicza z Podgórza. Po jakimś czasie wystawiający dostrzegł pomyłkę i żeby nie komplikować sobie zbytnio spraw urzędowych, przy życiu zostawił Jana Panasiewicza urodzonego 26 października 1900 roku i taką metryką urodzin kazał posługiwać się Janowi Panasiewiczowi urodzonemu 2 listopada 1900r. Przez całe swoje długie życie był tym który od czasu pierwszej wojny światowej spoczywał w grobie.

Drugą połowę domu dzielili między siebie, ojciec Andrzeja Panasiewicza i matka Wieśka Warchulskiego. W części Warchulskich, od strony północnej mieszkali Kamińscy.

Kamińscy byli przesiedleńcami zza Bugu z Uściługa. Po 1945 roku wielu Polaków tam mieszkających musiało opuścić rodzinne strony i przenieść się na drugą stronę Bugu do Polski. Część przesiedleńców zwanych przez autochtonów „zabuźniakami” osiedlała się jak najbliżej swoich dawnych miejsc zamieszkania a część wyjeżdżała na zachód, na ziemie odzyskane jak wówczas mówiono. Feliks Kamiński korpulentny zawsze wesoły, zawodowo zajmował się łowieniem ryb na Bugu. Pamiętam, wiszące na kołkach na płocie przy ich domu olbrzymie sumy rezultat połowów. Złowione ryby można było kupić w rybnym sklepie prowadzonym przez miejscowy PSS. Młodszy brat Feliksa Kamińskiego, Piotr, był mężem mojej kuzynki Heleny Ciesielczuk. Helena była córką najmłodszej siostry mojego dziadka Jana Lebedowicza, Stanisławy.

Ogrody tych posesji zdominowane były zagonami malin i rosnącymi w nich orzechami.

Były to doskonale miejsca do zabaw. Babka Andrzeja Panasiewicza, Konstancja Wróblew-

ska była żoną rządcy z majątku w Modryńcu. Z tego majątku po 1945 roku w domu Pana-siewiczów zamieszkała żona i córka kucharza dworskiego Tybel i w sąsiednim domu małżeństwo fornali, Sobczukowie. W tym samym domu z Sobczukami mieszkali przybysze z za Buga, Buszkiewiczowie. Wcześniej mieszkał tam wysiedlony na ziemie zachodnie ukrajiniec Ostapiszyn. Opowiadała moja matka, jak córka Ostapiszyna przed wojną nigdy nie chciała w kręgu koleżanek i kolegów rozmawiać w języku ukraińskim mówiąc że to taki „wołowy język”. Jak zaczęła się okupacja niemiecka, ta sama Ostapiszyn na dźwięk polskiej mowy reagowała słowami w języku ukraińskim „nie rozumiem”. Wiekowe zgodne współżycie Polaków i Ukraińców stawało się przeszłością i miało zaowocować bolesnymi wydarzeniami szczególnie na Wołyniu. Władysław Buszkiewicz przez wiele lat dyktorował hrubieszowskim PZZetom. Mają trójkę dzieci, najstarsza Hanka, młodsza Urszula i najmłodszy Janusz.

Janusz był fanem koni. Potrafił cały dzień spędzić z moim dziadkiem i wujem nie schodząc z wozu, umiał fachowo obchodzić się z tymi zwierzętami, po prostu uwielbiał konie.

Tuż za domem w którym mieszkali, stał równie stary jak nasz dom, dom Patkowskich.

Patkowscy mieli czwórkę dzieci. Syn ich Jasio Patkowski był dyrektorem szkoły rolniczej.

Po przejściu na emeryturę kupili kawał ziemi ze starą chałupą w Ślipczu.

Wyburzyli chałupę i na wysokiej nadbużańskiej skarpie postawili nowy dom dla siebie i letników, amatorów wędkarstwa. Sam gospodarz Jasio Patkowski to również wielki amator łowienia ryb na Bugu. W ostatnich wyborach 2010 r, został radnym rady gminy w Hrubieszowie. Żona Barbara aktywnie udziela się w Kole Gospodyń Wiejskich w Ślipczu. Utrzymują przyjacielskie kontakty z moja teściową, Reginą Techmańską. Patkowscy sąsiedowali z Kuźmińskimi, mieli wspólny wjazd do swoich posesji. Jasio Kuźmiński, zwany przez nas Siupajem, był towarzyszem naszych zabaw. Miał niezwykły talent łowienia ryb. Razem chodziliśmy na ryby, łowiliśmy na taką samą przynętę, Siupaj łowił a nam nie zawsze to wychodziło.

Starszy brat Jasia, Staszek był sportowcem. Ukończył w Poznaniu AWF i tam na tej uczelni pracował. Brał udział w wielu międzynarodowych zawodach lekkoatletycznych. Zmarł nagle w bardzo młodym wieku. Trzecim dzieckiem Kuźmińskich była Marysia. Wyszła za mąż za mojego szkolnego kolegę Rysia Śliwę. Jak tworzono w 1975 r nowe karłowate województwa, jedno utworzono w Zamościu i duża część hrubieszowskich urzędników z różnych instytucji przeszła tam do pracy. Również Marysia otrzymała pracę w nowo formującym się urzędzie wojewódzkim i przeniosła się do Zamościa. Za ich domem w głębi podwórza na wzgórkach stał dom Tańskich. Syn Tańskich Franek był kolegą wujka Ziutka. Była to dosyć liczna rodzina, Franek miał kilka siostr. Bliżej nie znałem tej rodziny. Franek Tański zmarł tragicznie. Podczas pracy przy młóceniu maszyną u Kuźmińskich został uderzony kołkiem w głowę przez Olesia, co skończyło się dla niego przedwczesną śmiercią.

Uderzenie było efektem zaczepek i naigrywania się z Olesia przez Franka. Oleś był właścicielem sadu przy kryłowskiej drodze, tak się kiedyś nazywała ulica Nowa. Spory sad z mnogością drzew owocowych. Często wyprawialiśmy się do sadu Olesia na owoce. Ale zawsze towarzyszyła nam obawa, co będzie jak Oleś któregoś z nas złapie. Lekko upośledzony Oleś Ciesielczuk był kuzynem Kuźmińskich, stąd ta obecność i pomoc przy młóceniu.

Dalej była spora działka, chyba z resztką fundamentów po wyburzonym domu. A za nią stał duży drewniany piętrowy dom, zamieszkały przez wiele rodzin, między innymi, Brochackich, Kopczyńskich, Baczewskich, Szawurskich. Był to dom komunalny, zasiedlony z przydziału miejskiej rady. Miał kilka wejść, od frontu i od podwórza, obok domu była ścieżka którą można było dojść do szerokiej zagumienkowej ścieżki. Za nimi mieszkali Wasilewscy, prowadzący kuźnię, zajmowali się też naprawą pomp miejskich. Obok w domu stojącym w sąsiedztwie kapliczki świętego Antoniego mieszkała Janina Nowosad z Pietrusiewiczów. Miała dwóch synów, mniej więcej w naszym wieku, jak potoczyły się ich dalsze losy nie wiem. Za kapliczką był staw pełen wody na wiosnę po roztopach a później cuchnące bajoro

pełne kijanek i żab. Obok kapliczki stała trochę w innym miejscu jak obecnie figura upamiętniająca pielgrzymkę do ziemi świętej w 1909r. Andrzeja i Michaliny Kozickich. Była tam także studnia z kręgów betonowych, woda z niej nie nadawała się do spożycia. Do celów konspiracyjnych korzystano z wody z pomp przy cmentarzu i przy naszym domu.

Nazwisko Kozickich na Podgórzu pojawia się w różnych miejscach. Właśnie ta figura przy Kapliczce św. Antoniego i figura na skrzyżowaniu ulic przy dawnym PZMocie, upamiętniają pielgrzymkę Kozickich do Ziemi Świętej. Moja praprababka żona mojego prapradziadka Antoniego Hapońskiego to Franciszka z Kozickich.

Dalej mieszkali z rodzinami Adela Józwiak i Stanisława Imbir, córki Kozickich.

Obok mieszkał Podkownik z siostrą nauczycielką. Uczyła nas w trzeciej klasie, wysoka, niezbyt urodziwa, robiliśmy jej różne psikusy. Lucyna, córka Podkownika była szkolną koleżanką mojej żony. Po śmierci Podkownika jego żona, matka Lucyny, wyjechała do Kanady. Lucyna odwiedzała ją tam. Podczas odwiedzin w 2011 roku matka zmarła i Lucyna przywiozła jej prochy do Polski by pochować matkę na hrubieszowskim cmentarzu. Za ich posesją zaczynała się wyraźna górka. Domy górowały nad jezdnią i chodnikiem. W pierwszy domku na wzgórku mieszkali Łaskiewiczowie, dalej Chomiccy. Tuż za nimi Hanowie. Józef Han był moim nauczycielem. Uczestniczyłem w rajdzie pieszym Częstochowa – Kraków, jaki zorganizował dla młodzieży klas siódmych szkoły podstawowej. Siostra Józefa Hana, Maria jest żoną mojego kuzyna z Krakowa, Józefa Łaskiewicza.

Za nimi mieszkała dosyć liczna rodzina Stolarczyków i Piątakowie. Rodzina Wincentego Piąta – regionalisty, założyciela Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego. Tuż za nimi mieszkali Kwaśniewscy. Było tam dwóch chłopców w naszym wieku ale nie darzyliśmy się wzajemną sympatią. Ostatnie zabudowania to stojący na wzgórku dom Teodora Ciesielczuka ojca Ludwika i Jana. Ludwik czuł się spowinowacony z Lebedowiczami, bo bardzo często odwiedzał mojego dziadka Lebedowicza i przegadywali całe wieczory. Stojąca na samym łuku ulicy sodówka którą prowadził Serafin, zawsze pełna smakoszków piwa i wina. Ostatni sklepik przed wyjazdem z miasta wygodny dla zapominalskich. Dalej była kuźnia i dom Lenardów, tych od lemoniady, ale to już była ulica, Kolejowa. Druga strona naszej ulicy od skrzyżowania przy poczcie aż do dawnego domu Heflichów, praktycznie nie została dotknięta zabudową blokową. Pojawiło się parę nowych domów, budynek Praktycznej Pani i to wszystko. Zmieniali się właściciele ale budynki trwały. Za ogrodem Stasiuków, Chwiejczakowie pobudowali w ówczesnym stylu ze schodkowym dachem dom. Dom ten w późniejszych latach odkupili Bazylewiczowie, rozbudowali część mieszkalną i część gdzie produkowano i sprzedawano lody. Obok straszyły fundamenty i strop nad częścią piwniczną zburzonego podczas wojny domu.

Ta część w późniejszych latach również została zagospodarowana przez Bazylewiczów.

Dalej był domek zamieszkały przez samotną kobietę z córką, dzisiaj nazwiska już nie pamiętam. Za tym domkiem stał zakład wulkanizatorski Ziarki, graniczył z dużym piętrowym, drewnianym domem państwa Najów zamieszkałym przez kilka rodzin. Najowie z córką i zięciem Leonem Szumiata, Stolarczykowie. Stolarczykowie prowadzili zakład krawiecki, syn ich Piotr lekarz chirurg, wyjechał z rodziną do Łukowa tam pracował i tam też zmarł. Od podwórza mieszkali Kornelukowie, od ulicy Wdowiakowie. Dalej była duża posesja z budynkiem magazynowym. Ten budynek ma ciekawą historię. W okresie wojennym mieściła się tam kooperatywa ukraińska zwana *Probojem*. Po wojnie na piętterku tego budynku mieszkali dwie rodziny, Paluchowie i Grabowscy. Zygmunt, najstarszy syn Paluchów w młodości był aktywnym piłkarzem Unii Hrubieszów. W latach późniejszych pełnił szereg funkcji publicznych, między innymi Przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej, szefa PGKiM i jako Naczelnik Miasta. Po 1989 roku już w nowej politycznej rzeczywistości, został radnym miejskim drugiej i trzeciej kadencji. Zmarł po wylewie w 2011 roku a rok wcześniej zmarła jego żona. Syn Grabowskich zajmował się zarobkowym przewożeniem ludzi. Był jak się dzisiaj mówi taryfiarzem. Kiedyś został wynajęty na kurs do Horodła i tuż

przed Horodłem razem ze swoim kolegą Lipskim zostali zastrzeleni i spaleni przez niezrównoważonego psychicznie wojskowego. Był to rok 1959. Pamiętam jaki wielki szok w mieście wywołało to zdarzenie, spekulowano różnie zanim nie wykryto sprawcy. Ryszard Grabowski zostawił młodą żonę i dwójkę malutkich dzieci. Lipski był kawalerem. Na parterze budynku znajdował się magazyn zbożowy, obok był skup drobiu a w piwnicy skup szmat, złomu i makulatury. Teraz w budynku tym tradycyjnie na pietrze są mieszkania a w dolnej części magazynowej po przeróbkach jest dom modlitwy .

Tuż za tym domem za przejściem do mostku na kanale Huczwy, łączącym dzisiejszą ulicę Piłsudskiego z ulicą Kruczą jest dom Kopczyńskich. W tamtych latach mieszkało tam kilka rodzin. Od podwórza właściciele i rodzina Franke .Od ulicy córka Kopczyńskich , po mężu Zdzenicka a na piętrze mieszkali Adugalscy z dziećmi. Starszy Zdzich w moim wieku i jego siostra Urszula. Idąc dalej był duży dom, w jednej części zachodniej od podwórza mieszkali Piekarczowie, wyprowadzili się później do własnego domu na Nowym Osiedlu. W tej samej części ale od ulicy mieszkali dziadkowie Adugalscy z córką i zięciem.

Staruszek Adugalski prowadził niewielki warsztat szewski.

W większej, wschodniej części tego domu mieszkali na parterze od strony ulicy Szadowscy. Pamiętam że dziadek używał Szadowskim miejsca na swoim podwórza do wybudowania piwniczki na przetrzymywanie ziemniaków i innych ziemiołódów. Tam gdzie mieszkali nie było takich możliwości. Młodzi Szadowscy to Jurek o patriotycznych poglądach .Siostra Halina, późniejszy lekarz i najmłodszy Włodzimierz. Jurek w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku za udział w nielegalnej organizacji młodzieżowej wraz z innymi młodymi ludźmi aresztowany i skazany na wieloletnie więzienie. Ogólnopolska organizacja Polska Młodzież Walcząca w latach 1948-50 w Hrubieszowie skupiała między innymi Jerzego Wachowskiego ps „Jurek”, Józefa Młodzianowskiego ps „Wątroba”, Jerzego Szadowskiego ps „Szyna”, Tadeusza Zebrańskiego ps „Zebda” czy żyjącego jeszcze Ryszarda Płonkowskiego. Najmłodszy Włodzimierz, pedagog, wieloletni dyrektor szkoły ekonomicznej i liceum im. Tadeusza Kościuszki. Po jego śmierci dyrektorowanie zespołem szkół przejął syn Dariusz Szadowski. Młodszy syn Włodzimierza Bogdan przez szereg lat wraz z żoną pracował w Londynie. Nasza najmłodsza córka Patrycja właśnie w Londynie poznała Szadowskich i zaprzyjaźniła się z nimi. Na parterze od podwórza mieszkali Józwiakowie.

Piętro w tym domu zajmowali Wróblewscy, kuzynowie Konstancji Wróblewskiej która była teściową naszego sąsiada Władysława Panasiewicza. Synem Konstancji Wróblewskiej z Jowdiuków był Kazimierz Wróblewski ps „Maryśka”. Żołnierz, pułkownik Armii Krajowej. Ożenił się z Janiną Rudnicką córką właściciela majątku Ornatowice koło Grabowca. Jak mówił mi siostrzeniec Kazimierza Wróblewskiego, Andrzej Panasiewicz , w rodzinie przetrwało nie tyle humorystyczne co może bardziej zatroskane powiedzenie starszej Pani Rudnickiej do córki na wieść o zamierzonym ślubie. „Madziula , i ty wychodzisz za mąż za Pana z lasu”. Człowiek z lasu wielce zasłużony dla tej ziemi żołnierz Armii Krajowej. Po parcelacji majątków po 1945 roku zamieszkali w okolicach Warszawy w Komorowie. Po śmierci i on i jego żona spoczęli w rodzinnym grobowcu Rudnickich na cmentarzu w Grabowcu k/Hrubieszowa. Z Rudnickimi po przez Hildebrandów spokrewnieni są mieszkający na Antonówce Kernowie. Jak opowiadała mi Pani Marta Jączek – córka Kernów, Mijakowscy jej pradziadkowie pochodzili z Mijakowa na Wołyniu. Kupili pod Hrubieszowem folwark Antoniówka, gdzie osiedlili się. Jedna z córek Mijakowskich, Irena wyszła za Kerna a Maria za Hildebrandta i stąd powiązania z Rudnickimi. Krewny pradziadek Pani Marty, Ludwik Mijakowski mieszkał na Wołyniu w Zajeczycach. Z tej samej miejscowości, Zajęczyce pochodzi moja teściowa Regina z Rutkowskich Techmańska. Właśnie teściowa opowiadała jak przed 1939 rokiem zapraszany był jej dziadek na herbatkę do Pani Mijakowskiej na którą zabierał ze sobą wnuczkę. Na tę okazję Pani Mijakowska posyłała po gości bryczkę. Kernowie nadal mieszkają na terenie dawnego folwarku, gdzie ostały się jeszcze resztki starego parku z cennymi okazami drzew, podczas budowy południowej obwodnicy

miasta bezlitośnie wycięto jedyny szypułkowy dąb w mieście, dąb paradoksalnie był pod ochroną co niestety nie miało żadnego wpływu na jego ochronę. Z domem zamieszkałym przez Wróblewskich i innych, graniczy stojący do dzisiaj niewielki dom. Połowa tego domu użytkowana była przez rodzinę Krauze, później kupili to Wilczyńscy. Od Wilczyńskich dom kupili Gancarze, rodzice Ani Dąbrowskiej dziennikarki z telewizji Lublin. A po nich ktoś z poza Hrubieszowa. W początkach lat 50 ubiegłego wieku w tej połowie domu mieszkała rodzina o nazwisku Dziwa. Starsza od nas dziewczynka nosiła imię Mirosława a jej brat Ryszard. Mieszkali tylko z babcią ojciec mieszkał w Zamościu. Wkrótce wyprowadzili się do Otwocka. Brat Mirki Ryszard ukończył szkołę morską w Gdańsku i został zawodowym marynarzem, zmienił nazwisko na Dziwiński. Część drugiej połowy domu, od ulicy wynajmował szewc Jarzabek a właściciele domu mieszkali od strony podwórza. W latach sześćdziesiątych tę połowę kupili Rusieccy i zajęli już całość, nawet nadbudowali poddasze. Sąsiadowali z nimi Panasiewiczze. Duży rozłożysty dom z przybudówkami zamieszkały był i przez właścicieli i przez lokatorów. W domu tym od strony zachodniej wynajmowała mieszkanie rodzina Respondków. Wcześniej w części tego mieszkania, od frontu mieszkała nauczycielka Wróblewska. W tej chwili nie jestem pewny, ale była to prawdopodobnie krewna męża wspomnianej wyżej Konstancji Wróblewskiej. Pani Respondek z Bajów była rodzoną siostrą Nowakowskiej, żony ówczesnego przewodniczącego miejskiej rady narodowej. Pan Respondek był pracownikiem poczty i amatorsko zajmował się naprawą popularnych wówczas tzw. toczek, głośników transmitujących z urzędu pocztowego audycje radiowe. Pan Respondek drobny chudy w zasadzie milczek, był charakterologicznym przeciwnictwem swojej żony. Zmarł dosyć wcześnie w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Państwo Respondkowie byli rodzicami dwóch córek. Starszej Danuty która została żoną Henryka Worobjowa, pracownika zakładu energetycznego. W latach 70 wyjechali pod Warszawę. Młodsza córka Iza o kruczoczarnych włosach, wyszła za nauczyciela Mizurę, mieszkali w Hrubieszowie. W tamtych latach dosyć często nauczycieli z racji wykształcenia i prestiżu społecznego powoływano do pracy w organach partii. Tak też się stało z Panem Januszem Mizurą. Ale z jakichś powodów po krótkim okresie pracy w organach partyjnych, przeniesiono go do pracy w Chełmie w spółdzielczości ogrodniczej. Dzisiaj nie żyje już Pani Respondek, nie żyje mąż Pani Danusi Worobjow nie żyje Pan Janusz Mizura. Wszyscy pochowani są na cmentarzu hrubieszowskim. Pozostałą część domu zajmowali właściciele Panasiewiczze. Pan Leon był żołnierz przedwojennego 2PSK grał w orkiestrze pułkowej. Pierwsza żona Leona z rodziny Gajewskich pochodziła z Bohorodcy /Brodzica/. Teraz mieszkał z drugą żoną i córką Krystyną którą nazywaliśmy Niuńka. Niuńka wyszła za mąż za Tadzia Migasa swojego sąsiada z za rzeki. Migas był jednym z pierwszych taksówkarzy w Hrubieszowie. Po jakimś czasie porzucił ten fach i podjął pracę jako kierowca w hrubieszowskim peberolu. W domu tym mieszkała również najstarsza córka Leona, Irena, żona Edwarda Dumy. W przybudówce mieszkał syn, Rysio Panasiewicz z żoną. Z dzieci Leona nikt już w tej chwili nie żyje, Irena zmarła w 2005r, Krystyna w 2010 i w 2012r zmarł Ryszard. Za tym domem w głębi podwórza stał mały drewniany domek. Połowę domku od strony północnej zajmowała rodzina Romanów spokrewniona z Panasiewiczami. Matka i trzy córki, Helena, Zofia i Jadwiga, najstarsza Janina wyszła za Sarafina i zamieszkała na ulicy Kolejowej. Mąż i ojciec córek mieszkał w Ełku. Córki zwłaszcza najmłodsza Jadzia jeździła do ojca i później opowiadała nam dzieciakom wieści ze świata. Jej siostra Zosia, wyszła za mąż za Kopczyńskiego. Helena koleżanka moich ciotek, razem z córeczką Asią wyjechała z Hrubieszowa do Ełku. Tam też chyba zamieszkała Jadwiga po ukończeniu szkoły średniej. Hrubieszowa po wyjeździe nie odwiedzały, ja przynajmniej nie przypominam sobie takiego faktu.

Druga połowa domu była wynajmowana, mieszkała tam jakiś czas rodzina Chabrów a po nich moja ciotka Maria Franke z mężem i dziećmi. Dalej był stary z dziwnymi przybudówkami dom w którym mieszkało kiedyś bardzo dużo rodzin. Heflichowie, Wiśniewscy,

Koryccy, Sawińcowie i Morgan - krewny Heflichów, przedwojenny zarządca w majątkach ziemskich. Przyjaźniliśmy się ze starszym od nas Januszem Heflichem, który po studiach podjął pracę w Skarżysku i tam zamieszkał. Sporo starszy od nas Mirek pracował w telekomunikacji, tam również pracowała jego żona. Mirek ożenił się z córką Bondarewicza, tego który prowadził mały sklepik obok domu Patkowskich.

Za tym domem od ulicy odchodziła rozwidlająca się droga wjazdowa. W prawo skręcała do zabudowań Rządzkowskich w lewo do Podkowików. Duży drewniany dom z obszernym gankiem zajmowała rodzina Rządzkowskich. W jednej połowie mieszkał samotnie Pan Julian Rządzkowski, stary kawaler, ekscentryk, wychodzący nocą na spacer. Ubrany w kapelusz i pelerynę środkiem ulicy podążał w stronę śródmieścia. Okoliczna dzieciarnia dokuczała Panu Julianowi a i kawalerce zdarzały się psikusy urządzone starszemu Panu. Pan Julian wymawiał „r” z francuska grasejując co było powodem złośliwych zaczepek nie tylko dzieci. W sadzie Pana Juliana rosły wczesne śliwki renklody były one celem corocznych wypraw. Przy domu rosły porzeczki, agrest i maliny, były również obiektem naszych zainteresowań. Dzisiaj myślę że powodem tych eskapad nie były owoce. Gromada dzieciaków oczekiwała na interwencję właściciela, bo wtedy zaczynały się emocje. Julian Rządzkowski po śmierci pochowany został w starym grobowcu rejenta Kozielkiewicza spokrewnionego z Rządzkowskimi. W drugiej połowie domu, mieszkał brat Pana Juliana, Wiktor z rodziną. Było tam troje dzieci, Jadzia, Irena i Piotr ale nie uczestniczyły one w naszych zabawach.

Obecnie córki mieszkają w Lublinie a syn Piotr w Warszawie.

Idąc w lewo, mijało się dom Rządzkowskich w głębi za rozłożystym kasztanem widoczne były zabudowania Podkowików. O mieszkających tam, mówiono że mieszkają w kącie. Zabudowania Podkowików wciśnięte były między rzeczkę a posesję Rządzkowskich. Pamiętam ich syna Zygmunta Podkowika wysoki, zajmował się sportem tak jak Staszek Kuźmiński. Zygmunt miał dwie siostry, starszą Halinę która wyjechała do Puław i młodsza Teresa która mieszka w Hrubieszowie. Właśnie jej syn jest autorem monografii cmentarza hrubieszowskiego. Jest prawnikiem i pracuje czy też pracował w kancelarii rzecznika praw obywatelskich. Posesja Rządzkowskich graniczyła z posesją Danilczuków, pamiętam mieszkających tam Izę, Fredka, Irka i najmłodszego Zbysia. Wspólna droga wjazdowa rozdzielała posesje Danilczuków i Mszaneckich. Ze Staszkiem Mszaneckim chodziłem do jednej klasy. Był jeszcze starszy Jurek, młodszy Waldek i najmłodsza dziewczynka Krysia. Pod koniec lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku Mszaneccy wyjechali całą rodziną do Trzemeszna koło Gniezna. Byli krewnymi Piotra Klimowicza z ulicy Polnej. Pamiętam po kilku latach od wyjazdu Hrubieszów odwiedziła Krysia, była tylko raz. Po za nią nikt z tej rodziny Hrubieszowa po wyjeździe nie odwiedził. Mijając dom Mszaneckich, dochodziło się do zabudowań Patkowskich. Przed domem przy ulicy stała mała budka handlowa, sklepik. Sprzedawał w nim Bondarewicz, ile ten człowiek wycierpiał od niesfornej dzieciarni, dzisiaj myślę o tym z zażenowaniem i przykrością.

Następny dom to dom Tymeckich. Ojciec był strażnikiem w banku. Najstarsza córka mieszka w Hrubieszowie, średnia po ukończeniu farmacji zamieszkała w Łodzi.

Zmarła nagle podczas wycieczki zagranicznej. Syn Bogdan, prawnik mieszka w Lublinie, jest także wykładowcą na wydziale prawa UMCS w Lublinie.

Sąsiadami Tymeckich byli Wiśniewscy. Dwoje staruszków i ich bardzo już dorosły syn.

Gienio miał bardzo wybujałe aspiracje, starał się elegancko wysławiać co nie zawsze mu wychodziło. Starał się podkreślać wysoką rangę towarzystwa w jakim się obracał, co oczywiście nie było prawdą. Genio miał przydomek „Soso”. Wzięło się to z pewnego powiedzenia Genio a mianowicie kiedyś w towarzystwie powiedział – „kiedy wracam późno do domu a sosy są zimne, biorę kawał kiełbasy i to jest moja kolacja”.

Gienio, stary kawaler, garnął się do dużo młodszych od siebie, pewnie w ten sposób cofał uciekający czas. Już w bardzo poważnym wieku ożenił się z młodą dziewczyną.

Syn jego chodził z naszą Agnieszką do szkoły podstawowej. Za nimi mieszkali Danilczuko-

wie. Dosyć liczna rodzina. Lucyna z którą chodziłem do jednej klasy, młodszy Jasiek i najmłodszy Niuniek . Było jeszcze starsze rodzeństwo , najstarsza siostra Lucyny, Irena Antoniuk-lekarz medycyny, Wiesława Gardyńska inżynier rolnik i brat Rysiek. Niuniek z którym kolegowałem się podczas nauki w Lublinie zginął w wypadku samochodowym. Lucyna po rusycystyce podjęła pracę w szkole odzieżowej. Później została dyrektorem tej szkoły i z niej odeszła na emeryturę. Wyszła za mąż za Włodzimierza Piątkowskiego nauczyciela z tej samej szkoły. Społecznik, lokalny polityk, w latach późniejszych długoletni dyrektor szkoły podstawowej nr 2. Po przejściu na emeryturę kontynuuje działalność społecznikowską, między innymi szefując Społecznemu Komitetowi odnowy zabytków cmentarza Hrubieszowskiego. Za nimi wysoko na szczycie zaczynającego się wzniesienia mieszkali Chrzanowscy. Młodzi Chrzanowscy byli pracownikami Urzędu Pocztowego w Hrubieszowie. Obok nich mieszkali Tomaszowie, ojciec był milicjantem. Ze Staszkiem Tomaszkiem chodziłem do szkoły. Staszek wyjechał z Hrubieszowa. Siostra jego Marysia, równolatka mojej siostry i koleżanka szkolna , również wyjechała z Hrubieszowa. Marysia już nie żyje, w Hrubieszowie mieszka ich młodsze rodzeństwo.

Między domami Tomaszów a Danielewicz, na wąskiej i dosyć stromej działce, tuż przy samej ulicy, stał skromny domek. Na poddaszu było niewielkie mieszkanie, natomiast na dole, najpierw we wczesnych latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku była mała jadłodajnia a później tak popularna w tamtych latach sodówka. W sklepiku tym sprzedawał bardzo wysoki Pan Błazucki z tej racji nazywany de`Goulem. Sodówka był to bardzo niewielki sklepik z artykułami pierwszej potrzeby. Niezbędnym towarem w takiej sodówce było piwo z beczki, napoje, oranżada, lemoniada i wszechobecny „patyk”. Patykiem zwano podłej jakości wino owocowe produkowane w pobliskiej Nielew. Zarówno piwo pompowane z beczki i sprzedawane w kufkach jak i wino patykiem pisane przyciągały niby magnes amatorów tych trunków. Na dawnej ulicy 1 Maja takich sklepików stałych a także otwieranych na krótko było dziewięć. Otwierała ją sodówka „U Piotra” usytuowana naprzeciwko domu Zaburdy, technika dentystycznego świadczącego dla znajomych także usługi dentystyczne. Po drugiej stronie przy skrzyżowaniu ulicy Sokalskiej z ulicą 1 Maja, stała budka Gila, początkowo jako domek mieszkalny a później sodówka. Gilowie pod koniec lat sześćdziesiątych wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych. Na posesji Kryszczyka stał kolejny sklepik również z takim samym zaopatrzeniem. Na posesji Filów graniczącej z Kryszczykami, stał mały budynek z czerwonej cegły zabrany Filom przez władze i przeznaczony na sklep, w sklepie tym krótko pracował mój ojciec. Dwie posesje dalej na działce mojej matki stała kolejna budka – sklepik z zaopatrzeniem nie różniącym się od poprzednich. Potem była dosyć długa przerwa i dopiero na posesji Czerkawskich a może Patkowskich stała miniaturowa budka handlowa w której sprzedawał Bondarewicz. Po drugiej stronie na posesji Nowosadów stał kolejny sklepik a naprzeciwko tego sklepu był opisywany wcześniej sklepik de`Goula. No i ostatnia sodówka na naszej ulicy, to sodówka na samym zakręcie tuż przy cmentarzu. W sklepiku tym sprzedaż prowadził Serafin. Sodówki od wczesnego ranka do późnych godzin wieczornych oblegane były przez amatorów napojów alkoholowych. Tuż za sodówką de`Goula był dom Danielewiczów. Mieszkał tam razem z matką starszą starszy trochę zdziwaczały Pan. Jak utworzono w Hrubieszowie Technikum Ekonomiczne został w nim nauczycielem stenografii. Nauki już dzisiaj zupełnie zapomnianej i praktycznie nie stosowanej. Danielewiczowie to kuzynowie mojego teścia Jerzego Techmańskiego. Na miejscowym cmentarzu jest symboliczny grób Romana Danielewicza pseudonim *Namor*; żołnierza 27 WDAK a także artysty malarza. Roman Danielewicz zginął z rąk ukraińców /1944r/ w czasie walk na Wołyniu i tam jest gdzieś pochowany. Danielewiczowie byli również spokrewnieni z rodziną matki Antoniego Wiatrowskiego. Posesja Danielewiczów graniczyła z posesją Zderkiewiczów. Oba domy rozdzielał wjazd głęboko wrzynający się we wzgórze na którym stały.

W domu tym mieszkało rodzeństwo Zderkiewiczów. Marysia Zderkiewicz, pielęgniarka,

znana nam dzieciakom z nieprzyjemnych okoliczności jakimi były zastrzyki. Zawsze wesoła, uśmiechnięta, z humorem. Mieszkała z matką, zajmowali zachodnią część domu. W drugiej połowie domu mieszkał jej brat z rodziną. W połowie lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, Marysia wyszła za mąż za Polaka o nazwisku Ochyra mieszkającego w Szkocji i tam wyjechała. Był to kuzyn nie żyjącego już Stasia Ochyry. Mieszkał tam również mój kolega Jasio Zderkiewicz i jego starszy brata Mieczysław. Jasio, pierwszy z naszej paczki ożenił się. Żoną Jasia została Urszula Hałas. Po ślubie zamieszkali u Jasia. Kiedy ruszyła zabudowa blokowa na ich terenie, Zderkiewiczowie pobudowali się na osiedlu Jagiellońskim zwanym przez złośliwych Hamburgiem. Dzisiaj Jasio jest tak jak ja emerytem z tym że Jasio pozostał wierny szkole i z niej odszedł na emeryturę. Po komplikacjach z kręgosłupem i operacji, zajął się tym co było jego pasją-kolarstwem. Ta forma rehabilitacji przyniosła mu sukcesy. Jasio został uznany i w kraju i za granicą bardzo aktywnym kolarzem-seniorem. Jestem pełen podziwu dla jego sportowej pasji i osiągnięć. Hrubieszów ma nie tylko Hamburg. Osiedle spółdzielni mieszkaniowej im. J. Piłsudskiego nosi nazwę Manhattanu, natomiast wspólnotowe budynki róg ulicy Targowej, Narutowicza i Partyzantów nazwano Brooklinem. A nie mające najlepszej sławy budynki komunalne na ul. Zamojskiej przy dawnej młeczarni to Palermo. Za Zderkiewiczami były jeszcze trzy posesje, mieszkał tam Czupryński, kiedyś pracownik telekomunikacji i rodzina Korneluków która wyjechała w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku do Stanów Zjednoczonych. Basia, córka Korneluków podkochiwała się w Andrzeju Panasiewiczu, była to miłość platoniczna, Andrzej o podkochiwaniu dowiedział się jak Basia wyjeżdżała.

W ostatnim, kończącym po tej stronie zabudowę, w domu Wisniewskiego-kombatanta wojen na Bałkanach mieszkał między innymi gromadzki pastuch krów na Ostrowie Bogdan.

W okresie zimowym w domu tym wynajmowano mieszkanie zimującym w mieście Cyganom. W późniejszych latach władza wprowadziła dla tych ludzi przymus stałego osiedlania się, ludziom przyzwyczajonym do odwiecznego letniego wędrowania przychodziło to z trudnością. Był chyba jeszcze gdzieś tak w połowie pustej przestrzeni pomiędzy domem Wisniewskiego i pierwszym domem przy dzisiejszym rondzie, domek zamieszkały przez rodzinę Kisielewskich ale nie jestem tego pewny.

No i słynne „Zagumienki”, szeroka ścieżka biegnąca za gumnami gospodarstw leżących po prawej stronie ulicy. Biegła wzdłuż posesji od ulicy Sokalskiej aż do ulicy Kolejowej. Przechodziła na początku pomiędzy sadami z prawej strony Rządzkowskiego, Ciesielczuka a z lewej między innymi Kraszkiewiczza, Zaklety, Hapońskich. Potem biegła przy posesjach Lebedowiczów, Panasiewiczów i Warchulskich, Buszkiewiczów, Kuźmińskich, Tańskich, mijiała dom Niźniakowskich, sad wiśniowy Klimowiczów i wchodziła między pola a łączkę za budynkami Kozickich i Podkowików. Trafiiała na rów z wodą wychodzący z bazy zarządu drogowego i przy posesji Lenardów dochodziła do ulicy Kolejowej tak jak wychodzi dzisiaj ulica Listopadowa.

Opowiadała mi matka, jak w drugiej połowie lat czterdziestych, chyba po zamachu na szefa UB Grodka, słychać było w nocy strzały na zagumienkach a rano znaleziono kilka ciał młodych ludzi. Mówi się że była to młodzież z AK zginęli w akcji odwetowej z rąk siepaczy ubeckich. Prawdopodobnie w zamachu nie zginął znenawidzony ubowiec. Taką wersję przedstawiła mi Lucyna Mosiądz która uczestniczyła w przygotowaniach do zamachu. W zamachu ucierpiał dom w którym kwaterował. Pęknięte ściany domu widoczne były jeszcze przez długie lata. Matka opowiadała mi o tym zamachu ale czy skutecznym, nie pamiętam. Rozmawiałem także z Czesławem Panasiewiczem hrubieszowianinem mieszkającym obecnie w Zamościu pamiętającym tamte wydarzenia. Otóż on twierdzi, że Grodek zginął w zamachu, że było to w pierwszy dzień świąt wielkanocnych w czasie rezurekcji, pamięta nawet pogrzeb. Później w domu tym usytuowanym przy ulicy Staszica przez dosyć długi okres mieszkali Najowie. Syn ich, nie żyjący już Witek był nauczycielem w-f w szkole mechanicznej, córka Iwona, żona Wróblewskiego niegdyś mieszkającego ma ul. Górnej, mieszka z rodziną

w Lublinie. Przy ścieżce „Zagumienki”, gdzieś tak mniej więcej w połowie, w domku wśród pól i ogrodów bez jakiegokolwiek dojazdu mieszkali Niźniakowscy, zwani powszechnie „Miechami”. Zawsze koło ich domu kręciło się kilka psów, sam dom nie wyglądał najlepiej a i mieszkańcy nie mieli najlepszej opinii. Przechodzenie obok tego domku zawsze napawało nas obawą i strachem. Dzisiaj w miejsce „Zagumienek”, identyczną trasą biegnie ulica Listopadowa. Zbieg ulic, dzisiejszej Piłsudskiego, Kolejowej, Nowej, Gródeckiej i Wyzwolenia zwieńczony był dużym brukowanym placem. Na środku placu królowała pompa, jakich wiele w tym czasie było w mieście. Z braku wodociągów były to jedyne źródła wody dla mieszkańców. Południową część placu zajmowała kuźnia kowala Malinowskiego z Wygonu. Druga kuźnia usytuowana była na pagórku obok domu Lenarda i była własnością Kwaśniewskich. Kuźnie, niezbędny warsztat, spełniały ważną rolę nie tylko dla rolników. Tutaj były dokonywane naprawy sprzętu domowego, zamawiano także narzędzia niezbędne do pracy w domu i ogrodzie. Obok kuźni prowadziła droga na cmentarz, na miejsce spoczynku pod kasztanami, ponieważ do bramy cmentarnej prowadziła szczątkowa już dzisiaj aleja kasztanowa. Oprócz tego stwierdzenia spoczynku pod kasztanami, funkcjonowało też powiedzenie że odprowadzą po śmierci na kryłowską drogę, bo cmentarz był przy trakcie kryłowskim. Obok bramy cmentarnej, mieszkał grabarz Szydłowski.

Znał wszystkich i jego znali wszyscy. Humorystycznie mówiono że Szydłowski każdego kiedyś klepnie łopatą po tyłku. Pamiętam dzień zaduszny w tamtych latach, miałem może pięć może sześć lat, od bramy po obu stronach alejki cmentarnej aż za groby Bojarskich siedzieli starzy ludzie zebrząc o datek. Dziady jak ich nazywano spotykani byli nie tylko na cmentarzu w dniu świątecznym, na co dzień można ich było spotkać przed drzwiami kościoła św. Mikołaja.

Dawni mieszkańcy Podgórza zapewne pamiętają Pana Metiuka, fotografa. Nie ma chyba rodziny z tej dzielnicy która nie korzystałaby z jego usług. Były to fotografie z uroczystości rodzinnych, okazjonalne, urzędowe. Fotograf przychodził do domu i zaczynała się ceremonia fotografowania, przebieranie, ustawianie i cała mistyka z tym związana. Po jakimś czasie Pan Metiuk, obok zakładu wulkanizacyjnego Pana Ziarko, otworzył stały zakład fotograficzny, ale to już nie było to. Pryśł cały urok, bo zamawianie fotografa do domu tworzyło niepowtarzalną atmosferę z otoczką tajemniczości i magii z celebrowaniem tego wydarzenia. A Feluś Stolarczyk, skrzypek, mieszkający na Złodziejówce. Nie stroniący od kieliszka, zawsze z nieodłącznymi skrzypcami po pachę, wygrywający na nich dla przypadkowych słuchaczy. Złośliwi robili mu wiele przykrości, niszczyli smyczek, smarując tłuszczem. Ci ludzie tworzyli klimat Podgórza, byli jego nieodłączną częścią. Doskonale wpisywali się w ten pejzaż trzej kominiarze Radziejewscy /Bomba/, ojciec i dwóch synów. Mieszkali w małym domku za dworcem kolejowym. Niewielki domek stał wśród łąk i pól na dzisiejszym zapleczu bazy PKS. Właśnie owi kominiarze wracając późnym popołudniem z pracy starali się zaliczyć każdą mijaną sodówkę. Często przy ostatniej sodówce na skutek braku sił zdarzał się odpoczynek na łonie natury. Ciekawe były konwersacje między synami a ojcem. Na początku bardzo uprzejme pełne wyszukanych słów, po opróżnieniu kilku kufli czy też butelek stawały się coraz mniej wykwintne aż przechodziły do słów zwanych potocznie rynsztokowymi. Opowiadał Jasio Zderkiewicz jak po śmierci ojca synowie w rocznicę jego śmierci, odwiedzili go na cmentarzu i odwiedziny uczcili wypiciem z nim wina w sposób symboliczny. Upili po łyku i butelkę z resztką wina gdzieś tam położyli przy grobie. Po tej ceremonii wyszli z cmentarza i się rozeszli, ale starszego coś tknęło, wrócił na cmentarz i zobaczył jak młodszy Lutek ciągnie wino z butelki przeznaczonej dla ojca no i skończyło się to wielką rodzinną awanturą.

Ulica Wygon dzisiejsza Gródecka zaczynała się figurą na wzgórku i nigdy nie wysychającym błotem. Dzisiaj figurka stoi pozbawiona kopca a szkoda bo kopiec coś upamiętniał.

Takie były kiedyś zwyczaje, ważne wydarzenie społeczne czy też rodzinne upamiętniano kopczykiem i świętą figurą. Komuś kopczyk burzył ład przestrzenny i zrobił porządek, czy

na pewno? Zniknęło również przepastne błoto. Równa asfaltowa droga biegnie aż do Gródka. Co roku w okresie letnim, burze z piorunami powodowały pożary, gdzieś tam na końcu Wygonu, tuż przed Gródkiem. I mówiono, znowu się pali u Reraka. Na dźwięk syreny wozu strażackiego pędziliśmy do pożaru. Od dzisiejszej ulicy Wyzwolenia odchodziła uliczka w dół w stronę rzeki. Była to ulica Ceglana inaczej zwana „złodziejówką”. Wśród mieszkańców zdarzali się i tacy których źródła dochodu nie zawsze były jasne i oczywiste. Ulicą Wyzwolenia gospodarze pędzili swoje krowy na wspólnotowe pastwisko jakim był mały i duży Ostrów. Ostrów był wspólnotą gruntową dzielnicy Podgórze. Na łąkach wspólnoty jej członkowie wypasali bydło i konie. Konie często pozostawiano na noc, by nie oddaliły się z Ostrowa pętano im przednie nogi. Dzisiaj również funkcjonuje ta wspólnota ale w bardzo zawężonym składzie udziałowców. Na Ostrów jeden i drugi wyprawialiśmy się na ryby i na kąpieliska. Ostrowem, idąc wzdłuż Huczwy można było dojść do Gródka, wcześniej mijając uroczysko Duchy. Od Gródka był już tylko krok do ujścia Huczwy do Bugu. Pamiętam razem z Andrzejem Panasiewiczem-wędrowniczkiem penetrowaliśmy jakieś jamy, groty w zboczu grodziska. Widzieliśmy tam kości i czaszki. Andrzej uwielbiał organizować w lecie piesze wypady. Drałowaliśmy polną drogą w spiekocie a to do Mienian innym razem do Kryłowa. Frajda była duża. Goniliśmy także torami a właściwie nasypem nad Bug do Gródka. Trochę posiedzieliśmy na górze patrząc na stronę ukraińską, potem moczyliśmy trampki w wodzie Bugu, zgadując wyschną w drodze do domu czy nie. Całe dni spędzaliśmy albo na łące Polaczka albo na Łozach, pełnych lei bombowych i mocno porośniętych łożą i dzikim bzem. Było to fantastyczne miejsce zabaw.

Pewnych wakacji, ktoś wpadł na pomysł zorganizowania „wojny”, dzisiaj nazwano by to ustawką. Część naszej ulicy 1 Maja tej z końca z drugą częścią ulicy 1 Maja tej z początku to znaczy od skrzyżowania z ul. Staszica a dawniej Mostową. Szykowaliśmy kołki, zaoszczędzone kije, jakieś pręty metalowe, dreszcze mnie dzisiaj przechodzą jak myślę o tym co mogło się stać, zresztą stało się. Na samym początku bitwy Waldek Mszanecki, chyba od kogoś z Kudryli dostał łagą w głowę, wywiązał się krwią, wiem że leczenie trwało dość długo, gdzieś tam z nim jeżdżono po lekarzach. Na szczęście ktoś wypaplał dorosłym o tej planowanej bitwie i zjawili się z milicją w porę kończąc ten nasz nie przemyślany wyczyn militarny. Przez kilka następnych dni uczestnicy tej „ustawki” siedzieli pod kancelarią kierownika szkoły, tłumacząc się ze swoich wyczynów. Przesłuchania prowadził oczywiście niezrównany Pan Jastrzębski, strasząc nas najgorszym, czyli domem poprawczym.

W tej chwili nie ma już Wieśka Warchulskiego, odszedł. Odeszła Hania Grodyńska, szybko i niespodziewanie, zawsze pełna życia i humoru, spoczywa razem z rodzicami i stryjem w jednym grobowcu. Zmarł Marian Kozielski – Repa. Człowiek instytucja, nie ma chyba osoby w Hrubieszowie, która nie znała by Mariana. Sportowiec, działacz sportowy, człowiek legenda. Dzisiaj szokująca wiadomość, Jasio Kuźmiński – Siupaj, nie żyje, zmarł tragicznie podczas wędkowania na Huczwie, zasłabł i wpadł do wody, kilka dni wcześniej wyszedł ze szpitala, miał dolegliwości sercowe. Bulwersuje trochę fakt że wpadł do wody na oczach ludzi, nikt nie pomógł. Nie chcę oceniać takich zachowań, ale jest to bulwersujące.

Coraz więcej znajomych jest po drugiej stronie. Byliśmy na pogrzebie Jasia, pochowany przy rodzicach blisko kaplicy cmentarnej. W czasie pogrzebu wydarzyło się coś niezwykłego. Byliśmy trochę wcześniej na cmentarzu, staliśmy przy grobach moich rodziców czekając na kondukt, groby Kuźmińskich są tuż obok, rośnie przy nich drzewo i w momencie wejścia konduktu na cmentarz, przyleciały i usiadły na drzewie trzy synagorlice. Po dojeździe konduktu do grobu dwie odleciały, jedna została i siedziała do końca uroczystości pogrzebowych. Nie wszystko da się racjonalnie wytłumaczyć.

Nasze zachowania i zwyczaje zmieniają się, pamiętam czasy, kiedy o żałobie świadczyła szeroka czarna opaska na rękawie powyżej łokcia. Później ta opaska zjechała na przedramię, jeszcze później na klapę marynarki.

Wąski czarny paseczek aksamitki miał świadczyć że właściciel aksamitki jest w żałobie po

kimś bliskim. Teraz tych symboli żałoby nie widać, jeszcze tylko kobiety kolorem stroju informują że są w żałobie. I jeszcze jedna refleksja z tego pogrzebu, wśród dosyć liczного grona żałobników brakowało większości dawnych sąsiadów i kolegów chociaż żyją i mieszkają w Hrubieszowie.

JANINA JĘDRUSZCZAK z LEBIEDOWICZÓW /1923-1986/ córka Jana i Agnieszki z Szumiatów

Janina w 1946 r wyszła za mąż za Stanisława Jędruszcza z Korytyny koło Trzeszczan. Pamiętam wspomnienia ciotki o trudach przystosowania się do życia w Korytynie. Miała żal że oddano ją tak daleko. Daleko to pojęcie względne, w tamtym czasie kiedy utwardzona droga prowadziła do Grabowca a od przystanku do Korytyny szło się polną drogą przez Ostrówek i las, wydawało się to bardzo daleko. Dzisiaj kiedy asfalt podchodzi pod drzwi domu Zosi – córki Janiny, świat się skurczył i wszędzie jest blisko.

Zosia a właściwie Stanisława to najstarsza córka Janiny i Stanisława Jędruszczków, żona Jasia Kowalskiego. Mieszka w Korytynie na ojcowiznie. Mają dwoje dzieci, córkę Aleksandrę mieszkającą i pracującą w Krakowie i syna Łukasza. Średni syn Janiny Tadzio vel Andrzej ożenił się z Elżbietą Misztal, mieszkają w Świdniku, mają córkę Joannę. Tadzio tak zawsze był nazywany, dopiero w późniejszym dorosłym okresie swojego życia zaczął używać tego pierwszego metrykalnego imienia Andrzej. Jak już pisałem, mieszka z rodziną w Świdniku, prowadzą jakiś biznes, prawdopodobnie hurtownię nabiału. Ma duszę artysty.

Pasjonuje go rzeźba, malarstwo. Miał kilka wystaw, w Suchoj Beskidzkiej, Tomaszowie Lubelskim. Również wystawiał w HDK w Hrubieszowie, pomagała mu w tym kuzynka Helenka Bojarczuk.

Najmłodszy Jacek, człowiek z fantazją, poczuciem humoru i pogodą życia mimo tragicznych doświadczeń. Mieszka w Suchoj Beskidzkiej. Pamiętam z jaką dumą ciotka Janina opowiadała jak Jacek przyjeżdżał na wakacje, siodłał konia i hasał po okolicznych, polach, łąkach i lasach, był bez wątpienia jej najukochańszym dzieckiem. W Jacku odezwała się szlachecka fantazja. Jacek i Bożena mają dwie córki, jedna z córek zmarła tragicznie, druga córka wyszła za mąż mieszka razem z nimi. Jacek i Bożena to już dziadek i babcia co nie przeszkadza im robić turystyczne wypady na spływy kajakowe na Mazurach. Wujek Stanisław Jędruszcza mąż Janiny był żołnierzem Armii Krajowej. Opowiadał jak w 1944 roku całym oddziałem maszerowali na pomoc walczącej Warszawie a na tych terenach już zaczynała się formować władza komunistyczna. Maszerujący oddział zatrzymano i cofnięto, jeszcze nie aresztując. Po rozformowaniu oddziału AK wujek w ogrodzie zakopał karabin, wydawało się że nikt nie wiedział. Nowa komunistyczna władza deprawowała ludzi różnymi obietnicami za donosicielstwo no i któryś z sąsiadów doniósł ubekom o zakopanej broni. Odkopali i zamknęli wujka najpierw na zamku w Lublinie a po procesie w dosyć ciężkim więzieniu w Sztumie. Pamiętam listy jakie przychodziły od niego, całe fragmenty wycięte nożyczkami lub zamazane czarnym tuszem.

Dopiero śmierć Stalina w 1953 roku i lekka polityczna odwilż jaka nastąpiła, pozwoliła rehabilitować ludzi i zwalniać z więzień. Do końca swojego życia nienawidził władzy komunistycznej a na wieść o jej upadku 4 czerwca 1989 roku płakał jak dziecko. Wieś powierzyła mu na wiele lat funkcję sołtysa Korytyny. Kochał swoją małą ojczyznę, ofiarował bezinteresownie kawałek własnej ziemi pod wiejski sklep. Wiedział że jest taka potrzeba i nie oglądał się na innych. Kiedy w nowej politycznej rzeczywistości gmina regulowała sprawy własności i zwróciła plac właścicielowi bo sklep przestał funkcjonować, społeczność wiejska potraktowała to z niezadowoleniem.

Wiosną 2011r odbył się wernisaz prac malarskich Tadzia Jędruszcza – Andrzeja. Hol Domu Kultury i sala kawiarniana tegoż domu zapelniły się sztalugami z eksponowanymi obrazami. Hol szczelnie wypełniali zaproszeni goście, dominowała rodzina a także miejsco-

wi twórcy. Wernisaż otworzył przyjaciel Tadzia, nauczyciel, grafik, mieszkający, pracujący i tworzący w Tomaszowie Lubelskim Pan Roman Mucha. Przedstawił drogę artystyczną, oraz dorobek nie tylko malarski, sporo rzeźby zwłaszcza sakralnej wykonanej przez Andrzeja znajduje się w wielu kościołach na terenie Polski.

Wernisaż był doskonałą okazją nie tylko do podziwiania dorobku artystycznego autora ale również okazją do spotkania dawno nie widzianej rodziny. Jak powiedziała kuzynka Tadzia mieszkająca w Zamościu, Wanda Krupa z Szewców z Ostrówka, oby takich okazji było więcej, bo najczęściej to rodziny spotykają się na smutnych uroczystościach jakimi są pogrzeby.

Wystawa prac malarskich dedykowana była pamięci matki autora, Janinie Jędruszczak z Lebedowiczów. Urodzonej i wychowanej w Hrubieszowie, prawnuczce donatora Antoniego Hapońskiego i zesłańca za wiarę Józefa Lebedowicza. Wśród zaproszonych gości była ostatnia żyjąca siostra matki Maria Franke. Żyjący najmłodszy z pośród rodzeństwa brat Józef nie przybył ze względów zdrowotnych. Lampka wina, ciastko, herbata, kawa sprzyjały rodzinnym rozmowom. We wspomnieniach wróciły dawno już odeszłe osoby z rodziny ale głównie dominowały rozmowy o dzisiaj o dzieciach i o szerokim świecie jaki stał się możliwy dla Polaków po przemianach dziejowych.

STANISŁAWA LEBIEDOWICZ /1928-1996/ córka Jana i Agnieszki z Szumiaków

Ciotka Stanisława, spędziła życie samotnie. Coś tam nie wyszło chociaż kawalerowie byli i tak już zostało. Ciotka była bardzo rodzinna, wędrowała z odwiedzinami po całej rodzinie, chętnie pomagała, była bardzo uczynna. Cechę tę pewnie odziedziczyła po ojcu. Jej ojciec a mój dziadek miał niezwykły charakter. Bolał nad każdą niedolą bliźniego, potrafił chyłkiem wynieść z domu jedzenie aby nakarmić głodnego, siedł z pomocą sąsiadowi odkładając swoje często takie same sprawy czy potrzeby na później. Był także konsekwentny religijnie, nie przesadzał ale w każdą niedzielę i święto o godzinie 6,00 był na mszy w kościele. Chyba to było w 1953 roku, dziadek czegoś tam nie oddał lub nie dodał w ramach obowiązkowych dostaw no i władza postanowiła zamknąć takiego niepokornego. Ciotki umyśliły dziadka przed władzą schować, po latach dowiedziałem się że dziadek przez jakiś czas ukrywał się u Kuźmińskich. W tamtym czasie była taka konspiracja że w domu przy dzieciach nie mówiło się o tym. Wtedy wielu ludzi za obowiązkowe dostawy a raczej za ich brak, władza komunistyczna w taki sposób karała. Konspiracyjnie słuchało się radia Wolna Europa. Ojciec mój pracował w PZGS i mógł kupić radio, pamiętam była to olbrzymia Aga na szwedzkiej licencji w drewnianej obudowie na lampach, które często trzeba było zmieniać. Radio w tamtych czasach było oknem na świat, telewizji nie było a taki odbiornik jaki mieliśmy nikt z sąsiadów naszych nie posiadał. Na słuchanie radia przychodzili sąsiedzi i znajomi. Przy zasłoniętych oknach, wyciszonym radioodbiorniku wysłuchiwali zakazanych wiadomości. Słuchało się radia prawie konspiracyjnie, ostrzegano się przed kapusiem sąsiadem mieszkającym kilka domów dalej. Człowiek ten nie był rdzennym mieszkańcem Podgórza, zjawiał się już po wojnie. Był szpiclem i donosicielem UB, tak przynajmniej mówiono i przestrzegano się przed tym Panem Ł. Właśnie w tym radio posłyszałem po raz pierwszy piosenkę „Czerwone maki”, i dowiedziałem się o bitwie pod Monte Casino. Pamiętam w latach pięćdziesiątych, chodził po centrum Hrubieszowa, człowiek z gitarą i śpiewał zachrypniętym głosem piosenkę „Czerwone maki”. Tym człowiekiem był uczestnik bitwy pod Monte Casino, pamiętam tylko jego imię, Bogdan. Często gościem wieczorami bywał mój chrzestny ojciec Władysław Zaklekta. Stary kawaler mieszkający ze staruszką matką o imieniu Symenicha. Strasznie baliśmy się tej babki, bardzo stara z trudem poruszająca się, chodziła podpierając się laską i właśnie tej laski baliśmy się bo często nią groziła dokuczającym dzieciakom.

Na takich wieczornych spotkaniach rozmawiano o różnych sprawach, polityka, gospodarka, plotki sąsiedzkie jakieś bajki o duchach, których słuchało się z wypiekami na twarzy. Szczególnie dziadek Lebedowicz bardzo lubił wieczorami opowiadać różne historie właśnie związane z duchami i diabłami. Opowieści te niesamowicie rozbudzały dziecięcą wyobraźnię, czasami puenty tych opowieści bywały zabawne. Pamiętam taką opowieść o grasujących na strychu jakiegoś domu duchach czy diabłach. Mieszkańcy słyszeli stukot coraz w innej części strychu. W końcu ktoś odważny postanowił to sprawdzić i okazało się że kot uwięził łapy w łupinach po orzechach i biegając po strychu napędzał strachu mieszkańców. Oczywiście opowieść trwała długo, groza była potęgowana i narastała. Inna opowieść którą pamiętam bo było to opowiadanie pełne grozy i tajemniczości. To przygoda jaką miał dziadek jadąc nocą przez uroczysko „Duchy”. Głęboką nocą nie wiem w jakim celu /być może dla samego bajania/ przejeżdżał przez uroczysko, nagle pojawiła się mgła, konie zaczęły chrapać i stanęły w miejscu. Przynaglone nie chciały iść do przodu. W pewnym momencie przy pyskach koni pojawiły się dwie niewielkiego wzrostu postacie w wysokich kapeluszach na głowach. Konie stały, poganiane, przynaglone, żegnane krzyżem nie ruszały z miejsca. Trwało to jakąś dłuższą chwilę, w końcu konie wyrwały się z tej mgły i pocwałowały prosto do domu. Zatrzymały się dopiero przed stajniami. Do dzisiaj pamiętam to bajanie dziadka, jako dziecko bardzo je przeżyłem i oczami wyobraźni wszystko to widziałem. Dziadek był niesamowity w opowiadaniu a jeszcze jak trafił się dobry słuchacz to opowieściom nie było końca. Potrafił słuchacza zagadać i ciotki musiały interweniować uciszając dziadka jakimś pretekstem.

Podobny dar zagadywania ludzi miała siostra dziadka, cioteczna babka Stanisława. Dom był zawsze pełen ludzi, znajomi, kuzyni, przychodzili do moich rodziców a do ciotek koleżanki i koledzy. Rozmowy na różne tematy, gra w karty, flirt towarzyski, taki rodzaj gry. Tak przeważnie wyglądały wieczory szczególnie te jesienne i zimowe.

W karnawale, ciotki chodziły na bale. Często bale urządzone były w Domu Strzelca. Po obudzeniu się rano biegłem zobaczyć jakie tym razem przyniosły kotyliony z balu.

W karnawale jak pamiętam zabaw w Hrubieszowie było bardzo dużo, ludzie bardzo chętnie na nie chodzili, była to najbardziej popularna rozrywka, owocowała kontaktami towarzyskimi, nowymi znajomościami.

Ciotka Stanisława obraziła się na księży za pewien incydent, jej pradziad o imieniu Józef, przekazał na rzecz kościoła z przeznaczeniem pod cmentarz kawałek ziemi. Ustalenia z parafią były takie że w zamian pochówki dla rodziny będą bezpłatne. W tej rodzinie donacje na rzecz kościoła były częste. Po śmierci swojego ojca ciotki poszły do kancelarii parafialnej i powołały się na wcześniejsze z parafią ustalenia. Niestety ksiądz odmówił, zasłaniając się brakiem stosownego dokumentu. To tak zraziło ciotkę że odtąd odwiedzała kościół bardzo sporadycznie i miała nie najlepsze zdanie o księżach, zdania tego nie zmieniła do śmierci. Tak jak wcześniej pisałem, uważam że było to nieporozumienie wynikające z braku wiedzy o ewaulowaniu wiary od unickiej do rzymsko katolickiej w rodzinie Lebedowiczów i Hapońskich. Dokumentów o przekazanej ziemi i o ustaleniach należało szukać w nie istniejącej już parafii unickiej. Darczyńca /1840r/ „Józef Lebedowicz był unitą.

Jak byłem dzieckiem, do moich ciotek i wuja, przychodziło mnóstwo kolegów i koleżanek. W sadzie urządzili pełnowymiarowe boisko do piłki siatkowej, całe lato były na podwórzu rozgrywane mecze siatkarskie. Było to jedyne boisko prywatne nie tylko na Podgórzu ale pewnie i w Hrubieszowie. Olbrzymie podwórze, sad i ogród pozwalały na jego utworzenie. Na boisku przy równie olbrzymiej dwutokowej stodole „Ignacha”/mojego pradziadka/ odbywały się także zebrania letnie „Dzielnicy Pogórze” zwoływane przez sołtysa Lewickiego z Wygonu. W zebraniach tych uczestniczył syn siostry dziadka, Pauliny, Leon.

My dzieciarnia w przerwach na tym boisku graliśmy w piłkę nożną albo w popularną wówczas grę w kiczkę, nie wiem czy dzisiaj ktoś wie na czym ta gra polega. Graliśmy również w piłkę i palanta tak to się nazywało a zasady tej gry nie

odbiegały tak jak się dzisiaj patrzę od zasad gry w palanta amerykańskiego.

W lecie w niedzielne popołudnia był pewien rytuał, ojciec mój, sąsiedzi, zbierali się i gdzieś w sadzie w chłodzie pod drzewkiem rozgrywany był poker. Nie na wielkie kwoty, raczej na grosze ot gra dla rozrywki. Ale myślę że głównym powodem zbierania się i grania był finał. Kończyło się to zawsze uczczeniem czyjejs wygranej i zakropieniem zwycięstwa alkoholem. Niedziela po spełnieniu religijnych obowiązków była dniem rodzinnych odwiedzin, sąsiedzkich spotkań. Bardzo lubiłem przysłuchiwać się rozmowom a tematy rozmów były przeróżne.

Dzisiaj po latach wygrzebuję z pamięci niektóre szczegóły z życia rodziny, sąsiadów, zasłyszane w dzieciństwie. Te okruchy dopasowywane do siebie pozwalają budować struktury powiązań rodzinnych, pokrewieństwa i pozycję rodziny. Tak jak powiedział mi Stanisław Szumiata syn Roberta Longina Szumiaty ze Szpikołos w tej rodzinie jest już chyba w genach dążenie do drażenia historii rodziny. Bo nie tylko ja to robię.

Wcześniej tym zajmował się Józef Łaskiewicz z Krakowa, a także syn Jana Szumiaty, lekarz, mieszkający w Krasnymstawie.

Oni często dzwonią do Roberta, seniora rodu o różne informacje. Pamiętam jak byłem u córki Roberta i rozmawialiśmy na tematy rodziny z wielką pasją przyłączył się do rozmowy jej kilkuletni syn, zaskoczyła mnie wiedza jaką posiadał.

On właśnie epatował się powiązaniem z Komorowskimi. Z dumą pokazywał mi jakieś stare dokumenty. Posiadają również oryginalny dokument kościelny z XIX wieku w sprawie zgody na ślub moich pradziadków Aleksandra i Zofii Szumiatów.

Ja zrobiłem tylko fotokopię tego dokumentu. Zofia która jest dla mnie prababką dla Roberta jest ciotką. Również Ola Kowalska, córka mojej kuzynki Zosi Kowalskiej z Korytyny z pasją tworzy drzewo rodzinne w programie MyHeritage.

MARIA FRANKE z LEBIEDOWICZÓW /1930-2013/ córka Jana i Agnieszki z Szumiatów

Ciotka Maria, Maryśka, najmłodsza z sióstr mojej matki. Pamiętam poranki filmowe w kinie dokąd mnie zabierała. Była najładniejszą z sióstr, zawsze miała sporo adoratorów.

Ciotka Maria wyszła za mąż za sąsiada Zygmunta Franke. Rodzina Franke pochodzi z Kryłowa. Wydaje mi się że są potomkami kolonistów niemieckich z XIX wieku. W

samym Kryłowie występuje sporo nazwisk niemieckich, Man, Mandebura, Krauz. To świadczyłoby o osadnictwie niemieckim na tych ziemiach. Szerzej o tym napiszę przy rodzinie Lempertów. Nazwisko Franke widnieje w spisie osadników niemieckich w Galicji.

Maria i Zygmunt mają dwoje dzieci, córkę Ewę Kusiak, mieszkającą z rodziną w Modlinie, oraz syna Jarosława, /mój chrześniak/. Jarek mieszka razem z rodzicami. Byłem bardzo zżyty z Ewą a szczególnie z Jarkiem. Był czas że Jarek ciągle był przy mnie. Ale jakoś to wszystko nagle się skończyło i właściwie nawet nie znam jego dzieci. Również nie znam dzieci Ewy. Wprawdzie była z dziećmi a nawet z przyszłym zięciem na weselu Ani Barańskiej w Lublinie ale w takich okolicznościach raczej trudno było porozmawiać i bliżej się poznać. A później nie było już ku temu okazji.

Rozmawiając z ciotką na temat Wołajowic, Słapczyńskiego i jego domu, ciotka potwierdziła to co mówiła moja matka. Wprawdzie dokładnie nie pamięta wszystkich zdarzeń z racji różnicy wieku ale dokładnie pamięta duże ciemne pomieszczenie, książki, oraz jakieś stare sprzęty w domu dziadka.

Będąc przy Kryłowie, chciałbym jeszcze wspomnieć mieszkającego przed 1939 rokiem po drugiej stronie Bugu w koloni Wołczek – dzisiaj w tym miejscu jest miasto Nowowołyńsk, kuzyna Władysława Kaszubę. Był on legionistą Piłsudskiego i osadnikiem jak wielu piłsudczyków. Przed 1939 rokiem, moja matka a także jej siostry udając się na odpust do Sokala po drodze wstępowały do Kaszuby. Był krewnym babki Agnieszki. Co się stało z

Władysławem po wojnie, nie wiem. Być może jak wielu osadników wojskowych został przez Sowietów wywieziony gdzieś na nieludzką ziemię i słuch o nim zaginął. Informację o nim, przekazała mi ciotka Maria Franke. Bardzo lubiłem i lubię ciotkę Maryskę, jest zawsze pogodna, uśmiechnięta. Nawet jak miała jakieś troski i zmartwienia nigdy tego nie pokazywała. Te cechy miały również jej siostry no może poza ciotką Janką, która czasami dzieliła się swoimi problemami. Teraz uzupełniając i rozszerzając ten tekst, muszę dopisać dwie smutne informacje, w 2012 roku zmarł mąż ciotki Marii, Zygmunt Franke, a w rok po nim w 2013 roku w pierwszych dniach września odeszła ciotka w wieku 84 lat. W sierpniu odwiedziliśmy ciotkę w jej domu, byliśmy tam z Grażyną, Agnieszką i moją siostrą Elżbietą, która w tym celu przyjechała z Lublina. Było to nasze ostatnie spotkanie z ciotką. Z czterech sióstr już nie żyje żadna, odchodziły w takiej kolejności jak się rodziły. Pierwsza zmarła moja matka w grudniu 1980 roku, potem ciotka Janina z Korytyny w maju 1986 roku, następnie ciotka Stanisława w styczniu 2006 roku i teraz we wrześniu 2013 roku ciotka Maria. Kończy się w rodzinie pewna epoka, odchodzą ludzie którzy mogli nam przekazać to co kiedyś usłyszeli od swoich ciotek, dziadków, trwał łańcuch pokoleń i trwa nadal. Przejmujemy pałeczkę by kiedyś przekazać ją młodszym by kontynuowali sztafetę pokoleń. Niech Ci którzy odeszli spoczywają w pokoju.

JÓZEF LEBIEDOWICZ syn Jana i Agnieszki z Szumiaków

Wuj Józef, najmłodsze dziecko Jana i Agnieszki, starszy ode mnie o 12 lat. Otrzymał imię po swoim pradziadku Józefie Lebedowiczu unicie zesłańcu za wiarę. Był jedynakiem, najmłodszym w rodzinie, miał cztery starsze siostry. Gdy zmarła jego matka a moja babka Agnieszka miał 11 lat. Opiekowały się nim starsze siostry. Ta rodzina była wyjątkowo zżyta ze sobą. Więzy zaczęły się rozluźniać po założeniu własnych rodzin. Moja matka jako najstarsza poczuwała się do obowiązku opieki nad rodzeństwem i czyniła to do ich pełnej samodzielności.

Pamiętam jego kolegów, Rysia Panasiewicza, Edka Pryła, Franka Tańskiego, Mietka Hajkiewicza, Serafina z Łaziennej, Jerzyka Hana, Lipka, a właściwie Madeja. Do dzisiaj nie wiem dlaczego był nazywany Lipkiem. Stanowili zgrana paczkę, wzajemnie się wspierającą. Józef ożenił się ze Stanisławą Kaniowską, jej matka jest z Bojarczuków, pewnie są jakieś powiązania rodzinne z rodziną Piotra Bojarczuka, zięcia Ignacego Lebedowicza. I ona i on pochodzą ze Sławęcina. Józef i Stanisława mają dwoje dzieci, syna Piotra, mojego chrześniaka i córkę Anię, żona Darka Bednarza. Piotrek rozstał się z żoną, ma dwie córki Agnieszkę i Katarzynę. Ania z Darkiem również mają dwie córki Martę i Agatkę. Wuj Józef, odziedziczył po swoim ojcu a moim dziadku gospodarstwo i tym się zajmował. Po zabraniu przez komunę ojcowizny na Podgórzu co równało się z likwidacją gospodarstwa, wuj wraz z rodziną zamieszkał w mieszkanku w bloku przy ulicy Polnej. Trudno jest zajmować się prowadzeniem gospodarstwa mieszkając w bloku. Była to powolna ale nieuchronna likwidacja. Ania wyszła za mąż, początkowo mieszkali razem z rodzicami, potem oddzielnie. W końcu młodzi podjęli decyzję o budowie domu na ziemi rodziców matki Ani. Józefy i Józefa Kaniowskich.

Zlikwidowali mieszkania, rodzice i Ania i wspólnie wybudowali dom. Mieszkają razem i tworzą tradycyjną chyba szczęśliwą wielopokoleniową rodzinę.

Ulica przy której mieszkaliśmy, była i jest bardzo ważną ulicą dla miasta. W tamtych latach każdy zmarły odprowadzany był konduktem pogrzebowym na cmentarz właśnie tą ulicą. Także tą ulicą ludzie spieszyli do pociągu i tą ulicą wywożono towar ze stacji kolejowej. Z racji tak „strategicznego” położenia ciągle byliśmy przez kogoś odwiedzani. Zresztą w tamtych latach wzajemne odwiedziny rodziny czy sąsiadów były rzeczą normalną i wręcz oczekiwano się odwiedzających. Tak strategicznie mieszkała babka Ciesielczukowa

w Rynku . Moja matka, ciotki, czy my dzieci , będąc w mieście często odwiedzaliśmy babkę. Razem z babką mieszkała jej najstarsza córka Maria z córkami starszą Niuską i młodszą Basią. W tym czasie sklepy i urzędy były tylko w centralnej części miasta. Odwiedzających trzeba było czymś ugościć, taki był zwyczaj. Pamiętam jak odwiedzały nas wracające z cmentarza siostry babki Agnieszki, Stanisława Kicunowa i Antonina Łaskiewiczowa, bardzo poważne i zasadnicze. Pamiętam charakterystyczne długie spódnice w jakich chodziły oraz sztywność i powagę w rozmowach. Kicunowa mieszkała na ul. Koszarowej, tak nazywała się dzisiejsza ulica Dwernickiego. Tam też chyba mieszkała Łaskiewiczowa .

Rodzina mojego ojca odwiedzała nas raczej rzadko. Jak przez mgłę pamiętam dziadka Wawrzeckiego, postawnego mężczyznę z dużymi wąsami. Zmarł w 1950 roku. Częściej odwiedzał nas Karol, najmłodszy brat ojca. Czasami jeździliśmy w odwiedziny do dziadka do Metelina. Frajdą była podróż pociągiem do stacji Metelin, całe 7 km a potem od stacji ścieżkami wśród pól szliśmy do Metelina. Jeździliśmy także do siostry ojca na Wolicę. Później jakoś te stosunki rodzinne się ochłodziły i zanikły. Odwiedziła nas w latach pięćdziesiątych kuzynka ojca Wawrzecka mieszkająca w Kamieniu Pomorskim. Ale jakie to były powiązania rodzinne nie wiem. Odezwał się także mieszkający na Ukrainie kuzyn o nazwisku Gliński. Pisał on także do Karola ale do spotkania nie doszło. W papierach ojca natknąłem się kiedyś na adres Glińskiego, teraz nie odnalazłem tego adresu. Dziadkowie moi Jan Wawrzecki i Karolina z Lempertów Wawrzecka pochowani są na Hrubieszowskim cmentarzu parafialnym. Obok nich spoczywa syn Wincenty zmarły w tragicznych okolicznościach w 1943 roku. Obecnie na grobach moich dziadków istnieje grób rodziny Hojdw. W grobie tym spoczywa obok rodziców Jana i Karoliny ich córka Kazimiera , żona Józefa Hojdy.

LEMPERTOWIE z EBENAU koło Lwowa

Protoplasta Lempertów na ziemi polskiej , to Johann Lempert, dziadek mojego pradziadka Piotra Lemperta. Przybył 5 VII 1784 roku w grupie 22 osób z Monzingen powiat Bad-Kreuznach -Nadrenia Palatynat i osiedlił się w miejscowości Stodółki w okolicach Gródka koło Lwowa. W grupie tej według spisu zamieszczonego przez Ludwiga Schneidera w Das Kolonisationswert Josef II in Galizien były osoby: Peter Janson, Nikolaus Schmid, Josef Senicki, Albert Schummer, Anton Zoft, Nikolaus Lauer, Fran Harnung, Georg Bilschoffer, Johan Holzfam, Franz Merian, Georg Merian, Adam Hoffmann, Johan Hoffmann, Josef Schnerch, Peter Dachs, Adam Kenius, Nikolaus Schuster, Albert Gabriel, Theobald Lorenz, Michel Kenius, Ludwig Grey.

Na pł.zach. od Stodółek powstała kolonia niemiecka Ebenau. W 1880r mieszkało tam 17 Niemców. Przeglądając skany parafialnych ksiąg metrykalnych archidiecezji lwowskiej z XIX wieku, Gródka k/Lwowa oraz założonych przez Niemców nowych miejscowości o nazwach brzmiących dla nich swojsko takich jak Ebenau, Brundorf, Burgthal czy Vorderberg, spotkałem tam prawie wszystkie wyżej wymienione nazwiska z adnotacją *colonista*. Np. Barbara Lempert urodziła się 24 marca 1844 roku z rodziców Petera Lemperta i Margareth Lempert w miejscowości Burgthal. Wpis dotyczący *patrini* czyli rodziców chrzestnych zawiera dwie pary rodziców, jedna to Adam Lempert i Anna Koblez druga to Nicolaus Schaffer i Marie Nagel. *Strona 192 księgi z 1844 roku dla miejscowości Burgthal*. Bywało że kolonistom z różnych względów nie odpowiadało miejsce osiedlenia. Zdarzały się przypadki powrotu lub przenoszenia do innych miejscowości na własną rękę bez wsparcia władz. Szukałem śladów Lempertów w parafii ewangelickiej w Ebenau k/Salzburga, ponieważ tylko taki adres udało się znaleźć i kojarzyłem to z miejscem gdzie mieszkali. Uprzejmy pastor przewertował księgi parafialne niestety nie odnalazł nazwiska. Nie oznaczało to jak powiedział że Lempertowie nie pochodzą z Ebenau, wystarczającym

dowodem są zapisy u Schneidera. Ponadto jak przypuszczał, Lempertowie mogli być katolikami i śladów należałoby szukać w aktach diecezji katolickiej w Salzburgu. To trochę przerastało moje możliwości. Jednak był to zły trop, prawidłowe odczytanie zapisów *schwabachą* u Schneidera wskazało na miejscowość Monzingen w Nadrenii Palatynacie. Było to, to miejsce skąd wyjechał mój przodek 5 lipca 1784 roku do Galicji. Nadal w tej miejscowości mieszkają ludzie o nazwisku Lempert i co najdziwniejsze pierwszy Lempert którego namierzyłem ma na imię Peter-Piotr. Właśnie to imię było powszechnie nadawane chłopcom z rodu Lempertów w Polsce. Ojciec mojej babci nazywał się Piotr Lempert. Nikt nie potrafił mi wytłumaczyć dlaczego tak było. Myślę że jest jakiś powód tego i być może dowiemy się dlaczego. Na razie jest to okryte tajemnicą.

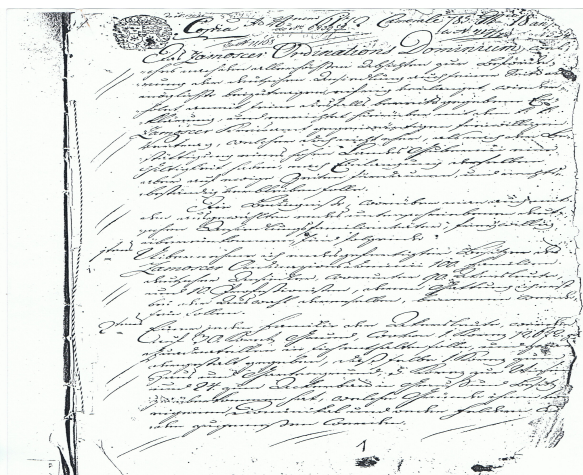
Z nieznanymi powodami Lempertowie przenoszą się w dobra ordynacji zamoyskich. Osiedlają się w Dorbozach koło Biłgoraja. Stamtąd dzieci poprzez związki małżeńskie osiedlają się w Horyszowie Polskim, Sitańcu i innych podzamojskich miejscowościach. Pradziad mój, Piotr Lempert przez ożenek z Rozalią Wrzosówną osiedlił się w miejscowości Hostynne. Przenosiny do Dorboz prawdopodobnie podyktowane były względami praktycznymi. W dobrach ordynacji zamoyskich zamieszkała bardzo duża grupa kolonistów niemieckich, około 100 rodzin. W takiej swojej społeczności łatwiej było żyć, zawierać związki małżeńskie, dbać o język. Mieli swój mały heimat. Jeszcze w początkach dwudziestego wieku w niektórych rodzinach dziadkowie używali języka niemieckiego. Pamiętam jak będąc dzieckiem pytałem ojca zaintrygowany obco brzmiącym nazwiskiem o szczegóły, odpowiedział mi że jego matka a moja babcia jest z kolonistów niemieckich. Ciekawostką jest, że etnografowie niemieccy przed 1939 rokiem prowadzili na tych terenach badania na ile potomkowie kolonistów zachowali tożsamość narodową i kulturową. Dzisiaj można z całą stanowczością stwierdzić że integracja i wtapianie się w polskość przebiegło dosyć szybko. Dowodem na to jest udział potomków kolonistów w walkach z Niemcami hitlerowskimi. Wielu z nich było w polskim wojsku w AK, BCH, ginęli w obozach koncentracyjnych i Katyniu. Dwóch synów mojej babki Karoliny a moich stryjów z tych powodów poniosło śmierć.

Ojciec mojej babki Piotr Lempert ożenił się z Rozalią Wrzosówną. Z tego związku w 1881r urodziła się Karolina Lempert matka mojego ojca. Miała prawdopodobnie brata, tylko tyle wiem. Charakterystyczne u Lempertów było nadawanie synom imienia Piotr, dlatego spotyka się bardzo dużo Lempertów z tym imieniem. Jak kontaktowałem się z Lempertami z okolic Zamościa celem ustalenia pokrewieństw powiedziano mi że prawie każdy Lempert to Piotr. Lempertowie powiązani są rodzinnie z Tukendorfami, Szpringerami również kolonistami niemieckimi. Karolina Lempert wyszła za mąż za Jana Wawrzeckiego mojego dziadka. W Galicji za czasów cesarza Józefa II a również w Ordynacji Zamoyskiej za ordynata Andrzeja Zamoyskiego odbywało się intensywne osadnictwo niemieckie. Niemcy przybywali na te tereny zachęceni przez cesarza zapewnieniami o urodzajnych ziemiach i przychylniej ludności. Ale z tym bywało różnie, miejscowi nie zbyt przyjaźnie byli nastawieni do lepiej zorganizowanych i bardziej gospodarnych Niemców. Dlatego też Niemcy zakładali osady o niemieckich nazwach i zamieszkałych początkowo tylko przez Niemców. Były konflikty, skargi, zatargi, ale czas i lata robiły swoje. Niemcy wrastali w nowe środowisko, wtapiali się w nie poprzez małżeństwa z miejscową ludnością. Główny ośrodek osadnictwa w ordynacji to Horyszów Polski. Byłem tam z żoną. Na cmentarzu spotkaliśmy dużo grobów z nazwiskami niemieckimi w tym okazały grobowiec Lempertów. W Horyszowie jest piękny kościół zbudowany w stylu niemieckim. Przenieśli kawałek *heimatu do Polski*.

W ostatnim okresie obserwuje się duże zainteresowanie integracją potomków kolonistów, ja sam utrzymuje kontakt z kilkoma, między innymi z Gdańską, Bydgoszczą. Wymieniamy się dokumentami i informacjami. Mam sygnały o chęci utworzenia stowarzyszenia potomków kolonistów niemieckich na ziemiach polskich.

Oprócz Horyszowa Polskiego, który był jakby matecznikiem kolonistów, spora ich grupa

zamieszkała w Sitańcu. Odwiedziliśmy cmentarz w Sitańcu, cmentarze są miejscem szczególnym. Tam pamięć o tych którzy odeszli trwa najdłużej. Są również historią ludzi, rodzin związanych z tą ziemią. Szukaliśmy korzeni rodziny Lempertów. Na sitanieckim cmentarzu jest bardzo dużo nagrobków, obelisków nagrobnych nie tylko z XX ale także z XIX wieku, oczywiście interesują mnie nagrobki z nazwiskami kolonistów niemieckich. Szczególnie dużo jest nagrobków z nazwiskiem Szpringer ale spotyka się także prawie wszystkie nazwiska występujące w kontrakcie zawartym w dniu 28 lutego 1785 roku pomiędzy Andrzejem Zamoyskim właścicielem Ordynacji Zamojskiej a 100 kolonistami niemieckimi którzy osiedlili się w jego dobrach. Mojego protoplasty Johana Lemperta nie było w tej grupie. Przybył on w innej grupie osadniczej w lipcu 1784 roku i jak już pisałem grupa ta osiedliła się w Gródku koło Lwowa. Ludwig Schneider w spisie „Das Kolonisationswert Jozefs II. in Galizien” na stronie 110 w wykazie niemieckich kolonistów z Monzingen w pozycji 7 zamieszcza nazwisko *Johann Lempert* z informacją że ta grupa kolonistów osiedliła się w Gródku koło Lwowa. Zapis w oryginale brzmi :*Kreis Lemberg, Kaale Grodek*. Na cmentarzu w Sitańcu natknęliśmy się również na grób rodziny Lempertów. Na granitowej płycie nagrobnej wyryto, Piotr Lempert ur. w 1910 roku zmarł 1965 i Julia Lempert 1912-2010. Z panią Julią rozmawiałem telefonicznie w 2009 roku, umówiłem się na rozmowę ale jakoś odkładałem wyjazd i przyszło to co przychodzi nieuchronnie, Pani Julia odeszła i zabrała ze sobą wiedzę, którą chciałem na temat rodziny od niej uzyskać. Podczas rozmowy telefonicznej na jej pytanie, a jak nazywał się ojciec mojej babki Karoliny powiedziałem, że Piotr Lempert. Odpowiedziała mi że w rodzinie Lempertów imię to było często nadawane chłopcom, jej mąż to również Piotr Lempert i tyle informacji uzyskałem od ostatniej już chyba nestorki która pamiętała lata mojej babci. Kontakt z Julią Lempert ze Szpringerów uzyskałem przez Leszka Tukendorfa z Zamościa, który zorganizował w Horyszowie Polskim pierwszy zjazd potomków kolonistów niemieckich z rodziny Tukendorf.



Wyżej; fotokopia strony tytułowej kontraktu zawartego pomiędzy Ordynatem Andrzejem Zamoyskim a 100 kolonistami niemieckimi w sprawie osadnictwa w ordynacji.

Relację z tego zjazdu zamieszczono w *Tygodniku Zamojskim* w dniu 7 września 2005 roku, autorem relacji była redaktor Jadwiga Hereta. Również ona relacjonowała ślub mojej córki Patrycji i Simona w tymże *Tygodniku Zamojskim*. O pozycji i randze Lempertów może świadczyć wypowiedź Zygmunta Tukendorfa jednego z uczestników zjazdu zamieszczona w tej relacji, cytuję:

„-Osadnicy zawsze trzymali się razem, wspólnie świętowali, a przede wszystkim dbali o to, aby żenić się między sobą. Chodziło o podtrzymanie więzów krwi niemieckiej, ale także o pomnażanie majątku – mówi Zygmunt Tukendorf, wnuk Jana Tukendorfa. Inni bardziej

*dosadnie określali sprawy małżeństwa. Powiadali, że „but powinien się żenić z butem, a chodak z chodakiem”. Mezalianse popelniano więc rzadko. Tak Tukendorfowie żenili się z Hilcherami, **Lempertami**, Benderami, przyjaźnili się z Thorami, Wajlandtami, Grynami, Szpringerami czy Rederami” - koniec cytatu.*

Dodam, że rodzinę Lempertów reprezentowała na tym zjeździe nie żyjąca już dzisiaj Pani Julia i 98 letnia Pani Marianna Lempert zd. Thor z Płoskiego k/Zamościa.

Podam jeszcze jako ciekawostkę, że swoje korzenie wśród kolonistów niemieckich ma profesor KUL Ryszard Bender oraz piosenkarz Witold Paszt członek grupy Vox.

Chyba ja, jako jedyny z potomków Lempertów z linii Piotra i jego córki Karoliny, matki mojego ojca i mojej babki, szukam korzeni i staram się to przybliżyć moim dzieciom i rodzinie. Czuję emocjonalną więź z moimi przodkami i wszystkim co się z tym wiąże, także kulturą i miejscem skąd pochodzą. Tak samo mocno identyfikuję się z Antonim Hapońskim, przodkiem moim ze strony matki. Unitą, donatorem cerkwi unickiej. Czy też prapradziadem Józefem Lebedowiczem darczyńcą części swojej ziemi na potrzeby cmentarza. Jestem dumny z ich wielkiego zaangażowania w sprawy wiary, czego dowodem jest jak już wcześniej pisałem sfinansowanie budowy dzwonnicy i kruchty w cerkwi unickiej, obecnie sanktuarium Matki Boskiej Sokalskiej w Hrubieszowie, czy darowanie ziemi pod cmentarz. Antoni Hapoński był także starostą cerkiewnym. Józef Lebedowicz jak wcześniej pisałem swoje trwanie przy kościele unickim opłacił zsyłką do Rosji.

WAWRZECCY

Z przekazów rodzinnych, tak usłyszałem od ojca a wiele lat później już po śmierci ojca to samo usłyszałem od Zosi Wawrzeckiej pochodzącej z Poraja a mieszkającej na stałe w Melbourne w Australii, że Wawrzeccy pochodzą z Jabłonnej z Mazowsza. Przodek o nieznanym imieniu przehulał majątek i musiał szukać szczęścia w świecie i tak znaleźli się najpierw w Gródku a później w Poraju. Wawrzeccy przywędrowali na ten teren z Polski centralnej. Nazwisko to występuje w starych zapisach dotyczących rodu Skrzetuskich z Gnieźnieńskiego. Niżej zamieszczam wycinek ze strony internetowej rodziny Skrzetuskich. „O Skrzetuszewskich z Skrzetuszewa w Gnieźnieńskim, spotyka się dość liczne wzmianki w aktach, Wskażę tu tylko na spisy elektorów Pietruskiego i Borkowskiego i na pracę ks. Kozierowskiego „Ród Porajów” s. 29, 30. Nadto znajdują się wzmianki o nich w aktach grodz. i ziem. poznań. i bełskich, ziemskich lwowskich, "Danationes" grodz. warszaw., Wyrokach Tryb. Lubel. i t. d. Byli Skrzetuszewscy h, Poraj i h. Rola (Ulanowski, Materiały do hist. prawa i herald. nr. 305, 356, Wiityg, Nieznana Szlachta 294). Ze Skrzetuszewa w pow. gnieźń. pochodziła również rodzina **Wawrzeckich**, której szlachectwo stwierdza w r.1511 szereg szlachciców wojew. kalis., m. in. kilku Skrzetuszewskich, nie podając jednak ich herbu (ks. Kozierowski, Nieznane zapiski herald: z Arch. poznań., Roczn. Tow. przyj nauk poznań. 43. s. 45). Wawrzeccy ci, osiedliwszy się na Litwie, przez parę wieków piszą się z Skrzetuszewa (Elektorowie Pietruskiego i Barkowskiego; Słownik geogr. Król. Pol. XV . 228). Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Niesiecki mylnie ich zaliczył do Ślepowrońców a tym razem Duńczewski napisał jednak prawdę, dając im herb Rolę oczywiście na podstawie informacji, jaką otrzymał od rodziny. Skrzetuszewskich nie zna Niesiecki, ani też Żernicki, który natomiast stworzył kilka rodzin Skrzetuskich, które w rzeczywistości wcale nie istniały.” -koniec wycinka.

Interesujący jest również protokół obrony szlachectwa Wawrzeckiego Samuela, spisany w Skrzetuszewie w związku z zarzutem Marcina Pradzewskiego jakoby Wawrzecki był człowiekiem prostego stanu a nie szlachcicem. W związku z oryginalnym, ciekawym słownictwem przytaczam w całości ten dokument zamieszczony w tomie XLIII Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego/Poznań 1915r, strona 46/.

„*My szlachta , rycerstwo , obywatele wojewodztwa Kalyskiego , ktorzi wowdzie w okolicznosci maiętnosci starožitny ichmośców Skrzetuszewskich w wojewodztwie Kalyskim , w powiecie Gnieznienkim leżący mieszkmąy , czynięm wyadomo tym naszym listęm , ysz owdzie przyezdzal do nas brat nasz pąn **Samuel Wawrzecky**, dziedzic starožitny maiętnosci Skrzetuszewa , powinni nasz ,pokazując przed namy pozew , ktorim go nieiaki Marcin Pradzewsky na tribunal Wielkiego Xięstwa Litewskiego do Wilna na rok tysiączni szescsetny iedenasti przipozwal , zadaiąc mu to , iakoby on miał bidz nieslarchicęm , prostego stanu człowiekiem , potrzebuiąc tego po nas , abismi onym y o przodkow iego urodzeniu swiadcetwo dali. Mi wiedząc rzecz przistoyną , ysz nie tilko o niego samego idzie ale y onas samich, ktorzi z tego domu zacnego, starožitnego wedle was idziemy, daięm onym taką wiadomosc , ysz ichmosc panowie Skrzetuszewscy , ktorich ociec pana **Samuela Wawrzeckiego** niebos-cik pan **Jan Wawrzecky** po mieczu zrodzony iest , iakosmy tego dobrze swiadomy , są staro-žitną szlachtą , nie przichodniowye z obcego narodu , ale sinowie koronny , dziedzicamy maiętnosci Skrzetuszewa , ktore to swiadcetwo nasze czynięm pod przysięgamy, yako nąm sumnienie mieli y to swiadcetwo nasze rękamy podpisalismy i pieczęciami naszymi zapie-czętowalismi. Dąn w Skrzetuszewie roku tysiącznego szescsetnego iedenastego , xiężica Lutego , dziewiętego dnia . Franciscus Rosa plebanus Sławnensis et parochus villae Skrze-tuszewa mpp, Jąn Jankowsky , Ulixes Obodzinsky ,Piotr Kędziersky , Jąn Płaczkowski , Wociech Swiniarsky ręką własną , Walenti Klenocki , Gerzi Gwiazdowsky, Stanisław Skrze-tuszewski , Wociech Smielinsky , Barthosz Gwiazdowky, Adam Skrzetuszewsky , Simon Kołaczkowski ,Jacob Płaczkowski , Jacob Kędziersky mpp.,Pawel Piotrowky , Błaży Skrzetuszewski , Wociech Goslinsky .*

Ex actis capitanealibus districtus Gnesnensis extractum. Ingrossatio similium pro parte Skrzetuszewsky.”

Jako ciekawostkę podam, że Bronisław Komorowski Prezydent RP jest potomkiem w szóstym pokoleniu Michała Wawrzeckiego i Katarzyny Łopacińskiej. Michał Wawrzecki żył w XVIII wieku na Litwie. Dziadek mój Jan Wawrzecki, urodził się w Poraju koło Horodła. Feliks, jego ojciec, a mój pradziad był oficjalistą w majątku Wieniawskich w Wieniawce również koło Horodła. Dziadek miał dwóch braci. Jeden z braci został w Poraju , drugi osiedlił się w Hrubieszowie .Mój dziadek osiedlił się w Wolicy koło Hrubieszowa; ożenił się z Karoliną Lempert, córką kolonisty niemieckiego. Z Wolicy przenieśli się do Metelina, gdzie dziadek był rządcą w majątku ziemskim Milowicza.Najstarszym dzieckiem Karoliny i Jana była córka Kazimiera, miała pięciu braci, Stanisława, Jana/mój ojciec/, Władysława, Wincetego i najmłodszego Karola. 15 sierpnia 1933 roku zmarła matka. Najmłodszy Karol był małym dzieckiem. Ojciec ożenił się po raz wtóry, do domu przyszła kobieta nie dbająca o dzieci a szczególnie o najmniejszego Karola. Rodzeństwo zajęło się wychowaniem brata. Sami są już w takim wieku że radzą sobie. Przychodzi 1939 rok i wojna.Władysław, 23 lata, partyzant, zginął w bitwie pod Osuchami w lasach Solskich w czerwcu 1944 roku. Połączone oddziały AK i BCH przeprowadziły tam największą bitwę partyzancką podczas II wojny światowej. Pochowany jest również na największym partyzanckim cmentarzu w Europie. Rodzina przez lata nie знаła miejsca spoczynku Władysława, dopiero po 1989 roku, kiedy można było bez obaw mówić o AK i BCH poznaliśmy to miejsce. Byliśmy w Osuchach całą rodziną włącznie z wnukiem. Na cmentarzu jest część grobów imienna ale w większości to bezimienne mogiły, po latach doczekał się i modlitwy i znicza pamięci od najbliższych, przyznam że coś ścisnęło mnie za serce i łza zakręciła się w oku.On 23 latek potomek kolonistów niemieckich z Monzingen potwierdzał że Polska jest to jego ojczyzna. Proszę tego stwierdzenia nie traktować w kategoriach bogoojczyźnianych. Do 1939 roku, potomkowie kolonistów niemieckich mogli bez problemu uzyskiwać obywatelstwo niemieckie i osiedlać się w kraju przodków. Walka oddziału w którym walczył opisana jest w książce „Paprocie zakwitły krwią party-

zantów” autorstwa J. Markiewicza. Drugi syn Wincenty w wieku 21 lat zmarł w wyniku powikłań jakie wywiązały się z próbą uniknięcia wyjazdu na roboty do Niemiec był to rok 1943. Opowiadał mi ojciec że w okresie przed 1939 rokiem często przyjeżdżał do nich do Metelina z wizytą kuzyn z Warszawy o nazwisku Glinka. Glinka – imienia nie znam. Był pracownikiem ministerstwa, ale szczegółów nie znam. Z opowieści ojca jak pamiętam wyłaniała się dosyć prężna działalność oświatowo kulturalna młodzieży w Metelinie a właściwie kolonii Metelin. Opowiadał nie tylko o urządzanych w wiejskiej świetlicy zabawach. Młodzież prowadziła amatorski teatr, pamiętam z jaką dumą mówił o wystawianej przez nich sztuce Ilfa i Pietrowa „Dwanaście krzeseł”. Siostra Kazimiera wyszła za mąż za Józefa Hojdy i osiedliła się w Wolicy. Jej dzieci i wnukowie mieszkają w Wolicy i Hrubieszowie. Tomek Hojda wnuk ciotki Kazimiery jest nauczycielem historii, Andrzej jest katechetą. Córka Jadzia mieszka w Lublinie. Brat ojca Stanisław, jego pierwsza żona zmarła, ożenił się po raz drugi. Mieszkali przy ul. Zamojskiej w Hrubieszowie, później przenieśli się do Moroczyna /stamtąd pochodzi jego żona/. Syn Stanisława, Janek mieszka w Moroczynie. Próbowałem nawiązać kontakt z synem Janka, ale jakoś nie wyszło, szkoda. Brat Karol, ożenił się z Cieplińską z Metelina mieli trzech synów; Zygmunta, Grześka, Darka i córkę Marzenę. Marzena po ślubie wyjechała do Bełżca. Zygmunt ożenił się z Alicją Pruszyńską. W 1987r zginął w wypadku podczas pracy. Zostawił dwoje małych dzieci, chłopców. Ich wychowaniem zajęła się Alicja. Grzesiek ożenił się z dziewczyną z okolic Mircza, osiedlił się w Metelinie, pracuje w Hrubieszowie. Najmłodszy Darek, rozpadło się jego małżeństwo, stracił pracę w szkole, pracował dorywczo. Zginął w niewyjaśnionych do dzisiaj okolicznościach. Darek, był bardzo rodzinny, chyba najbardziej z całej rodziny stryja Karola. Szkoda, że małżeństwo nie przyniosło mu szczęścia. Myślę że to niepowodzenie przełożyło się na późniejsze losy Darka. Bardzo mi żal, że Darka nie ma już wśród nas. Tworząc drzewo genealogiczne w programie MyHeritage próbowałem nawiązać kontakty z wnukami stryja Stanisława i ciotki Kazimiery niestety skończyło się na próbach.

MOJA RODZINA , LUDZIE , MIASTO

Jan Wawrzecki mój ojciec, zawarł związek małżeński w 1942 r ze Stefanią Lebedowicz, prawnuczką Antoniego Hapońskiego, Józefa Lebedowicza, Jana Słapczyńskiego, Wojciecha Szumiaty. Zamieszkali w Hrubieszowie, w domu Lebedowiczów. W 1943 roku urodziło się pierwsze dziecko, syn Zenon. Po kilku miesiącach zmarł, wojna brak leków. Kolejne dziecko urodziło się 9 marca 1945 roku i otrzymało imię Waldemar Stefan /to właśnie ja/. Moimi rodzicami chrzestnymi byli; koleżanka matki Paulina Warchulska zd.Panasiewicz i daleki kuzyn Władysław Zaklekta. Chrzestnej nie pamiętam. Zmarła gdy miałem 5 lat. Natomiast chrzestny był częstym gościem w naszym domu. Przy tuszy, jowialny, na Władysława biegałem z kwiatkami i dostawałem na cukierki. Mieszkaliśmy razem z dziadkiem, ciotkami i wujem. Dom był niewielki z sienią pośrodku i z pomieszczeniami mieszkalnymi każdej strony. W sadzie stał spichlerz z bali. W środku pamiętam na ścianach w rzędzie wymalowane były numerki, pozostałość z okresu I wojny światowej. Stacjonował w sadzie oddział wojska austriackiego i spichlerz był ich kwaterą. Przed wojną w części domu mieszkała rodzina żydowska. Opowiadały ciotki jak mały wówczas wujek Ziutek w sobotę w czas szabatu / kiedy żydzi modlili się/, wchodził do ich mieszkania i wynosił przygotowane wcześniej do jedzenia słodkie mace. Modlący się żydzi nie oponowali. Z jedną z Żydówek przyjaźniła się moja matka, ta przyjaciółka zginęła w pierwszych dniach września 1939 roku podczas nalotu bombowego. W czasie tego nalotu zburzony został także dom Mikołaja Lebedowicza. W tym miejscu stoi obecnie „Manhattan”. Przed naszym domem stała pompa z najlepszą wodą w mieście. Woda ta rzeczywiście w smaku była bardzo dobra ale jak powstała w wiadrze przez noc robiła

się rdzawa. Miała dużą zawartość żelaza i to żelazo dawało jej niepowtarzalny smak. Pita bezpośrednio z pompy była tak zimna że „łamała” zęby. To była frajda pić taką wodę. W latach pięćdziesiątych w Hrubieszowie nie było jeszcze wodociągów i ludzie na potrzeby domowe nosili wodę wiadrami. Do dwóch wiader niezbędne było tzw „kormysło”. W tym czasie spotykało się nawet zawodowych nosiwodów. Pamiętam Mikołaja i Kazia. Kazio prawie wszystkie zarobione pieniądze wydawał na książki i gazety. Jak się po latach dowiedziałem Kazio i jego bracia pochodzili z Ukrainy i po wojnie osiedlili się w Hrubieszowie. Nosili nazwisko Zubrzycki. W Zubrzycy zostawili rodzinny majątek. Nie tylko woda gasiła pragnienie. Dzieciarnia w upalne lato ganiała na lody do Duławskiego /za mostem/ albo Lewickiego w Rynku. Lody od Duławskiego to były pyszne mieszane lody śmietankowe z karmelowymi. Tego smaku się nie zapomina. Najczęściej kupowało się większą porcję za dwa złote. Duża porcja w szklanym pucharku kosztowała pięć złotych i kupowało się w szczególnych okolicznościach. Lody Lewickiego były inne. Było to lody smakowe owocowe, lekkie. Ale nie zawsze szło się do Lewickiego na lody. Złośliwi mówili że Lewicki robi lody z koziego mleka. Smak, zapach, konsystencja to były prawdziwe lody. Kręcone w lodzie, z mleka, jajek i cukru. Dzisiaj takich lodów już nie ma. Wszędzie w sklepach, kawiarniach królują lody z proszku, nie tyle smaczne co bezpieczne. Po zjedzeniu nie zagraża salmonella. W trochę późniejszym czasie pojawiły się lody Bazylewicza. Najpierw była to mała budka pomiędzy cerkwią a plebanią, (nie było wtedy ulicy Bolesława Prusa).

Później właściciel przeniósł sklepik pod galerijkę obok liceum. W końcu lodziarnia wyłudowała i funkcjonuje do dzisiaj na ulicy Piłsudskiego. Z dawnych lodziarni to właściwie funkcjonuje tylko Bazylewicz. U Duławskiego coś tam próbują robić. Po lodach popijało się oranżadę albo lemoniadę. W lecie rodzice czasami zamawiali skrzynkę lemoniady u Lenarda. Produkował ją w domku obok cmentarza na skrzyżowaniu ulic Kolejowej i 1 Maja. Druga wytwórnia lemoniady to firma Czesława Bajurki na ulicy Kilińskiego u Szperalskiego. Rodzice żony przyjaźnili się z Bajurkami a dawniejsze przyjaźnie skutkowało wzajemnymi niedzielnymi odwiedzinami. Wspomina czasami żona jak w niedzielny poranek pojawiali się Bajurkowie. Czesław obowiązkowo ze skrzynką oranżady czy lemoniady na ramieniu. Soboty, niedziele również święta obfitowały we wzajemne odwiedziny. Wspólne wyprawy do lasu Dębinka czy też nad wodę stanowiły stały element towarzyskich spotkań. Z dzieciństwa pamiętam że w lecie bardzo często były wyprawy do lasu Dębinka. Ludzie z kocami, koszykami z prowiantem spotykali się tam i biesiadowali. Był nawet taki czas, że urządzano tam festyny z różnych okazji. Po latach bezmyślni ludzie wycięli kilkusetletnie przepiękne dęby. Podobno komuś z zamojskich kacyków zachciało się dębowych mebli, miejscowa spolegliwa władza nie potrafiła się przeciwstawić. Posadzono topole i zniszczone przepiękny kawałek starego dębowego lasu pewnie pamiętającego Jagiełlonów. W samym mieście zniszczono szereg starych zabytkowych budowli, zniszczono unikalny układ starego rynku. Zniszczono także najładniejszą część zabytkowych „Sutek”. W miejscu gdzie dzisiaj rosną sosny i stoi w święta neonowy aniołek, stał przepiękny budynek, spinający Sutki jako całość.

Górą szła galerijka z której wchodziło się do sklepików i fotografów. Dołem w części piwnicznej również były sklepiki i sodówka Zielińskiego. W miejscu gdzie dzisiaj stoi supersam „Stokrotka”, ohydna szpecąca bryła, stały kamieniczki. Mieszkania na górze, sklepy na dole, od tyłu zajazdy. Po prawej stronie ulicy Staszica stał piękny z potężnymi przyporami budynek, siedziba Spółdzielni Wielobranżowej a później klubu „Kozacki Róg”. Od północnej strony rynku stoi jeszcze dzisiaj wypalony stary budynek z zajazdami, w budynku tym w XIX wieku nocował przyszedł car Aleksander. Również w tym budynku w początkach XIX wieku urzędował Kacper Bromirski, uczestnik wojen Napoleońskich, major 2 Pułku Ułanów. Odznaczony przez cesarza Napoleona, Krzyżem Legii Honorowej. Budynek jest spalony i od kilku lat władze nie potrafią przywrócić budynku do życia. Jest

to kawał historii Hrubieszowa i o tym trzeba pamiętać. Przy skromnych hrubieszowskich zabytkach, budynek ten aż się prosi o tablice upamiętniające te wydarzenia. Jakaś dziwna polityka urbanistyczna panowała w tamtych czasach w Hrubieszowie. W innych miastach nowe osiedla lokowano na obrzeżach, naturalnie powiększając obszar miasta. W naszym Hrubieszowie bloki sytuowano w centrum często niszcząc zabytkową skromną substancję. Przed kościołem św. Stanisława Kostki były rabaty i klomby z kwiatami. Do kościoła szło się wirydarzem kwiatowym. W latach pięćdziesiątych zlikwidowano to i postawiono betonowe klocki. Również tak walczono z kościołem. Inne stare stosowne do układu urbanistycznego starego miasta budynki stały w miejscu dzisiejszego kompleksu ABC, podzielone skwerem sąsiadowały z dawnymi zajazdami sklepami i restauracją „Pod kasztanami”. Wyburzono wszystko, zniszczono stary zabytkowy układ śródmieścia. Zajęto cały kwartał między ulicami, Narutowicza, Partyzantów, Kościelną i 3 Maja.

Nie neguję potrzebę budowy mieszkań, ale równie dobrze budynki spółdzielcze można było ulokować na obrzeżach miasta, pozostawiając śródmieście takie jakie wówczas było.

Wystarczy popatrzeć co zrobiono w Chełmie, Zamościu, Włodawie czy Krasnymstawie.

Tam nikt nie wyburzał budynków w zabytkowym centrum. Osiedla mieszkaniowe powstawały na peryferiach. Powiększał się obszar miasta. Był to naturalny czynnik miastotwórczy. Nam zabrakło rozumnej władzy i ochrony ze strony konserwatora zabytków.

Wiele zabytków zniknęło bezpowrotnie. Często zniszczone bezmyślnie a niektóre z premedytacją. Tak było z zabytkowym zajazdem na ul. Partyzantów.

Pomimo usilnej ochrony tego obiektu przez prof. Wiktora Zina, zajazd będący prywatną własnością spłonął w okolicznościach nie do końca jasnych. Władza odetchnęła z ulgą i ulokowała tam kolejne betonowe cudo, budynek PKO.

Ale jest nadzieja że Hrubieszów wzorem innych miast postawi na zabytki i potrafi je z pożytkiem dla miasta zagospodarować. Młody hrubieszowianin doktorant archeologii Marek Poznański zajmujący się specyficzną archeologią, otóż na podstawie zdjęć lotniczych rozpoznaje miejsca gdzie należy szukać śladów naszej przeszłości. Pan Marek zainteresował się hrubieszowskimi lochami. Powołał stowarzyszenie „Podziemny Hrubieszów „. Od dawna mówi się że Hrubieszów stoi na lochach a nawet że prowadzą aż do Horodła. Starzy hrubieszowianie mówią także o lochach łączących dworek Du`Chateau ze skarpą przy kościele św. St. Kostki. Dworek stoi w miejscu dawnego zamku. Spenetrowano dostępne lochy w śródmieściu. Ich obudowa wykonana jest z czerwonej cegły ceramicznej. Tam gdzie dotarł stwierdził doskonały stan murów, na tyle dobry, że nie wymagają żadnej naprawy. Twierdzi że cały rynek, zieleniec przy kompleksie ABC i „Kozacki Róg”, posadowione są na lochach. Próbował zainteresować tym lokalne władze ale bez skutku. Zorganizował ostatnio spotkanie na temat hrubieszowskich podziemi chcąc zainteresować lokalną społeczność tym tematem.

Uważa, że w odkrytych podziemiach można wzorem innych miast ulokować, galerie, sklepy, kafejki. Stały by się magnesem przyciągającym turystów a gdyby tak jeszcze połączyć to z Gotanią i zabytkami Kryłowa byłby to przedsięwzięcie obliczone na sukces. Na początku listopada 2011 roku, ekipa telewizji lubelskiej z udziałem redaktora Sikorskiego, pasjonata historii, przy pomocy georadaru dokonała pierwszych badań. Badania jak się okazuje finansowane były ze środków własnych członków stowarzyszenia. Siłą rzeczy były to środki bardzo ograniczone, co również ograniczało zakres badań. Władza jak zwykle czeka aż wydarzy się coś do czego będzie można bezpiecznie dołączyć. Na razie z dystansu bez entuzjazmu obserwuje.

Niewiele osób pamięta w tej chwili jak wyglądała w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku zabudowa śródmieścia. Dawna ulica Pańska, później Dzierżyńskiego a obecnie 3 Maja, zmieniła się i to znacznie. Ulica ta rozpoczyna się skrzyżowaniem ulic, Ciesielczuka, Kilińskiego i 3 Maja. Jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia na pustym już dzisiaj placu kończącym ulicę Kilińskiego stał długi dom przylegający prawie

do chodnika. W domu tym w latach dwudziestych ubiegłego wieku mieszkał poeta Bolesław Leśmian wykonujący w Hrubieszowie zawód rejenta. Dom wyburzono szykując teren pod spółdzielcze budownictwo mieszkaniowe. Bloków nie wybudowano a zniszczono kolejnyznaczony historią budynek. Idąc od „Domu Strzelca” w kierunku kościoła św. Mikołaja, tuż za pomnikiem Staszica /stoi podobno na wejściu do lochów/, w dole w miejscu dzisiejszego „Domu Nauczyciela „ był strzelnica Związku Strzeleckiego. Pamiętam wyłożoną deskami ścianę strzelnicy. W okresie II wojny było to miejsce straceń. Po drugiej stronie ulicy na tzw „Popówce” stały drewniane domki z ganeczkami należące do parafii prawosławnej.

Po tej samej stronie pod kasztanami stał długi drewniany budynek, przed wojną siedziba Resursy -Klubu Ziemiańskiego. W tej chwili tylko kępa starych wyniosłych kasztanowców i obszerny plac,dają świadectwo że w miejscu tym coś się kiedyś działo.To tak jak z pozostałościami alei lipowych, kasztanowych czy dębowych, świadczących o tym, że kiedyś ocieniały drogę do dworu lub pałacu. Są niemymi świadkami historii.

Budynek ten sąsiedował z willą Lejmana, stojącą do dzisiaj. Za domem Lejmana w głębi ogrodu z dosyć długa dróżką od ulicy stał drewniany parterowy domek. Mieszkała tam przez jakiś czas rodzina Pilipczuków. Stasio Pilipczuk starszy chyba o rok, równolatek moich kolegów i sąsiadów Seweryna Kunca i Helmka Kucia. W rozmowach zawsze mówił że zostanie lotnikiem. Los pokierował inaczej i Stasio został lekarzem weterynarii. Już w nowej rzeczywistości politycznej po 1989 roku został radnym pierwszej demokratycznie wybranej Rady Miasta. Po drugiej stronie ulicy stoi długi budynek będący w 1900 roku własnością Feliksa Czarkowskiego,sędziego. Żoną Feliksa Czarkowskiego była Józefa Golakowska. Ich córka Irena jest bohaterką książki napisanej przez Jana W. Karcza „Pierwsza Dama Szwoleżerów”. Jest to książka opisująca dzieje rodów Czarkowskich , Golakowskich mieszkających w XIX i początkach XX wieku w Hrubieszowie.

Mijając dom Czarkowskich dochodzimy do pałacyku Kiesewetterów. Klasycystyczny pałac, kilka lat temu został przebudowany na mieszkania komunalne. Jest więc dalszy ciąg nie liczenia się ze skromnymi zabytkami jakie zostały w mieście. Stan dzisiaj jest taki , że pałacyk straszy ponurą elewacją, obsypującym się tynkiem,liszczami grzyba. W tym samym rzędzie w podwórzu za długim parterowym budynkiem mieszkalnym były w latach 50 ubiegłego wieku warsztaty szkoły mechanicznej-tak niegdyś nazywanej. A na zapleczu warsztatów z wjazdem przy starej aptece wybudowano uliczkę i dwa rzędy baraków. Mieściły one różne instytucje. Wydział oświaty, PCK , ZHP , organizacje młodzieżowe, ZUS, Liga Kobiet, Miejski Handel Detaliczny i wiele innych. Po latach część baraków wyburzono a w części po adaptacji powstały tymczasowe lokale mieszkalne. Trwające już tak samo długo jak baraki na Pobereżanach, Wyzwolenia czy przy dawnej cegielni.Po drugiej stronie ulicy gmach przedwojennego syndykatu rolniczego, po wojnie siedziba PZGS, obecnie Fundacja Du`Chateau. Za budynkiem, tam gdzie obecnie są bloki mieszkalne, 22, 20, 12a, znajdowało się szereg różnych magazynów z zaopatrzeniem dla wiejskich Gminnych Spółdzielni. Całkowicie odmienna od pałacyku Kisewetterów jest sytuacja stojącego nieopodal dworku Golakowskich tzw. „starej apteki”. Trafił w prywatne ręce,ludzi kochających zabytki i historię.Obecni właściciele Maryla i Stanisław Mielniczukowie przywrócili dworek do życia. Jest ozdobą w ciągu zabytkowych obiektów ulicy 3 Maja. W miejscu dzisiejszego parku, był ogród parafialny. Od ulicy oddzielał go wysoki szczelny parkan z desek. Dwór – pałacyk Du` Chateau w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia pełnił prozaiczną funkcję. Mieszkali w nim właściciele a także hrubieszowski adwokat czeskiego pochodzenia Otokar Jun, ożeniony z córką Feliksa Czarkowskiego.W dworku urodziła się i mieszkała znana krakowska aktorka Irena Jun, córka Otokara.Pamiętam charakterystyczną postać Otokara Juna. Stateczny Pan w płaszczu pelerynie często spotykany w okolicach sądu i dworku. W czasach PRLu wokół dworku Du`Chateau urządzono ogródki działkowe. Dzisiaj jest taka sytuacja że wokół budynków mieszczących instytucje kultury uprawia się kartof-

le, pietruszkę i marchewkę. Plenerowe imprezy pojawiające się z różnych okazji organizowane są na ulicach Hrubieszowa. Teren za dworkiem to wspaniałe miejsce do urządzenia amfiteatru z pięknym widokiem na nadhuczwińskie łąki i las. Idealne miejsce do organizowania imprez plenerowych.

Tuż za dworkiem Du Chateau był „Ogródek Jordanowski”. Nieduży placzyk z karuzelami, zjeżdżalnicami, piaskownicami, drabinkami itp. sprzętem do zabaw dla dzieci. Miejsce to ogrodzone i otoczone zielenią drzew i krzewów było oazą dla dzieci. Tuż za ogródkiem wąska dróżka prowadziła do kilku domów. W jednym z nich był Młodzieżowy Dom Kultury. Pamiętam jak w 1957 roku Pan Józef Han, nauczyciel, organizował dla młodzieży klas siódmych pieszy rajd wakacyjny z Częstochowy do Krakowa. Pieszy to on był tylko do Myszkowa. Z Myszkowa pociągami do Krakowa i po noclegu znowu pociągami tym razem do domu. Trud marszu przerósł możliwości młodzieży. Młodzieżowy Dom Kultury w 1965 r. został przeniesiony do Domu Strzelca przy ulicy Ciesielczuka. W zamian w tym budynku w 1965 r. otworzono pierwsze w dziejach Hrubieszowa „Muzeum Ziemi Hrubieszowskiej”. Dyrektorem została w 1969 roku moja kuzynka Helena Bojarczuk. W miejscu dzisiejszego Domu Kultury, był duży ogród parafialny. W głębi ogrodu stał parterowy budynek mieszczący kancelarię parafialną i mieszkanie organisty. Za tym budynkiem w dużym drewnianym domu stojącym prawie na skarpie nadrzecznej, mieszkał kościelny Antoni Kozielski z dość liczną rodziną. W miejscu nowej plebani stał długi budynek drewniany z salą katechetyczną. Z południowej strony sali był dom zakrystiana, w którym mieszkała jego córka Zofia Szczupakowska, polonistka, nauczycielka miejscowego liceum.

Po mojej pierwszej komunii właśnie w tej sali mieliśmy przyjęcie urządzone dla dzieci przystępujących do komunii. Był duży kubek kakao i słodka bułka. Proboszczem wówczas był ksiądz Florian Gąsiorowski a do komunii przygotowywali nas księża, Stanisław Rogalski i Jan Kowalczyk.

Spore zmiany dotknęły dzisiejszą ulicę Narutowicza. Róg ulicy Partyzantów i Narutowicza od strony południowej zabudowany był długim budynkiem. Środkiem budynku od strony wschodniej do zachodniej przebiegał zajazd z bramą z jednej i drugiej strony. Wewnątrz były mieszkania, mieszkała tam Oparowska, koleżanka babki Ciesielczukowej. Pamiętam niesamowicie długą czeluść i kuchenne zapachy z dominującym zapachem kapusty jakie wypełniały przestrzeń zajazdu. Z zewnętrznej wschodniej strony wzdłuż ulicy ulokowano różne sklepy. Między innymi sklep zielarski. Po tej samej stronie przy fragmentarycznej już ulicy Kościelnej po której pozostał tylko ślad i dwa ostatnie domy przypisane jeszcze do tej ulicy, dworek Trzosów i dom Steckich stał bardzo ładny drewniany dom. Niewiele już zostało w mieście takich typowych kresowych drewnianych domów z rzeźbieniami, ganeczkami i szalowaną drewnianą elewacją. Jeszcze tylko część ulicy Kilińskiego zachowała takie domy. Takie same domy stały wzdłuż ulicy Narutowicza aż do granicy dzisiejszego parku. Po drugiej stronie tej od banku pierwszy stał dom adwokata Zderkiewicza z sadem i ogrodem w głębi posesji. W budynku stojącym na rogu ulicy Narutowicza i Hubala był Hotel Miejski. W hotelu tym całkowicie incognito w pierwszych powojennych latach nocował profesor Chrzanowski, były właściciel niedalekiego Moroczyna. Po reformie i parcelacji w 1945 roku dawni właściciele majątków ziemskich mieli zakaz zbliżania się do swoich posiadłości. Z sobie znanych powodów przyjeżdżał i fakt ten musiał utrzymywać w tajemnicy ze względu na grożące sankcje.

Właściciel majątku Metelin, Pan Tomasz Milowicz wyjechał aż do Olsztyna. Jurek Krzyżewski odwiedził go tam. Mówił mi że starszy Pan samotnie mieszkał w bloku w małym mieszkanku na czwartym piętrze. W budynku dawnego hotelu są dzisiaj mieszkania komunalne. Skrzyżowanie Narutowicza i Partyzantów od strony północno wschodniej wieńczył budynek szkoły krawieckiej. Na parterze tego budynku w podwórzu mieściła się stacja pogotowia ratunkowego.

Dzisiejszy skwer naprzeciwko domu handlowego „Stokrotka” był dużym wybrukowanym

„kocimi łbami” placem targowym. Wzdłuż całego placu w dwóch rzędach stali handlujący czym się dało. Przeważały produkty spożywcze własnej produkcji. Można było kupić masło często z kartoflem lub burakiem w środku. Mleko, śmietanę, jaja, słowem wszystko co produkowało w tym czasie każde gospodarstwo chłopskie. Na obrzeżach placu stały stragany z czapkami, guzikami i innym drobiazgiem niezbędnym w każdym domu. Właścicielami straganów byli, Cybulski, Kamiński, Janeczek i Izydor Kisielewski. W dni targowe w miasteczku zjawiali się ludzie ze świata z rewelacyjnym towarem. A to cudowna folia do zamykania słoików a to forma do smażenia fikuśnych ciasteczek lub jedyne lekarstwo na kurczaki i brodawki. Dzieciarnia wracająca ze szkoły z ciekawością oglądała te cuda i wysłuchiwała głośnych rymowanych reklam. Rynek w latach późniejszych zabudowany został długimi drewnianymi pawilonami handlowymi. A „zielony rynek” przeniesiono na plac Staszica. Po latach wyburzono pawilony ostatecznie likwidując handlowy charakter placu, nadając mu dzisiejszy wygląd i przeznaczenie.

Naukę rozpocząłem w filii Szkoły Podstawowej nr 2 przy ul. Partyzantów. Długi drewniany budynek, usytuowany na terenie dawnego przy cerkiewnego cmentarza. W budynku były dwie sale dla klasy pierwszej i klasy drugiej. Klasa trzecia do siódmej były w głównym budynku szkoły przy ul. Żeromskiego, dużej szkole na koszarach, jak się wówczas mówiło. Kierownikiem szkoły był Pan Wiktor Domaradzki, nazywany przez uczniów „Pomidorem”. Był również nauczycielem śpiewu. Dzisiaj ten przedmiot, to wychowanie muzyczne.

Był rok 1952. Pierwszą moją nauczycielką i wychowawczynią była Pani Zofia Cybulska. Wysoka, kostyczna Pani, bez uśmiechu na ustach, trzymająca żelazną ręką dyscyplinę.

Lekcje zawsze rozpoczynała modlitwą, „Duchu święty który oświecasz serca i umysły nasze...”. W drugiej klasie przyszedł nowy nauczyciel Pan Jastrzębski. Człowiek tak jak to widzę teraz z perspektywy czasu o cechach sadysty. Satysfakcję sprawiało mu zadawanie bólu dzieciakom. Walenie po głowach, ciągnięcie za uszy było normalnością. Numerem popisowym tego Pana było wsadzanie dwóch chłopaków pod stół przy którym siedział i kopanie na przemian raz jednego raz drugiego. Spotkałem go po latach w Lublinie. Pracował jako wychowawca w internacie Szkół Budowlanych. W tym miejscu pracy ulubionym jego zajęciem było wypełnianie wolnego czasu wychowankom nauką dobrych manier.

Faceta po pół roku wywalono ku zadowoleniu wszystkich. Miałem to szczęście że rok szkolny kończył się odebraniem świadectw i wakacjami. Starsze roczniki obowiązywał coroczny końcowy egzamin podsumowujący rok i najważniejszy końcowy egzamin po ukończeniu siedmiu klas. Nam oszczędzono tego stresującego elementu. Był to czas reform w systemie oświaty. Egzamin zdawaliśmy idąc do szkół średnich. Ostatnie po podstawówce wakacje. Rozmowy gdzie kto idzie, liceum, szkoła mechaniczna, krawiecka to były możliwości miejscowe. Ja i Stasio Firczuk wybraliśmy Technikum Przemysłu Cukrowniczego w Toruniu. Wytrzymałem pół roku. Byłem bardzo zżyty z domem, Hrubieszowem, kolegami. Wróciłem, trochę na siłę z uporem ale postawiłem na swoim. Dzisiaj myślę że dużo przykrości zrobiłem rodzicom a szczególnie matce która zawsze uważała że nauka jest najważniejsza i determinuje przyszłe dorosłe życie. Ale stało się i pojawił się problem co dalej. Pół roku to dosyć długi czas na podjęcie decyzji. Były różne pomysły, między innymi Liceum Techniki Teatralnej ostatecznie stanęło na tym że od września rozpocząłem naukę w Szkołach Budownictwa w Lublinie. Trochę zaważyło na tej decyzji to że uczniem PSB był mój sąsiad Andrzej Panasiewicz.

Bliskość Lublina i możliwość częstych przyjazdów do Hrubieszowa do domu za którym bardzo tęskniłem pozwalała dotrzeć do ukończenia szkoły.

Bardzo lubiłem Lublin ale Lublin moich czasów to też inne miasto niż obecnie.

Od strony Zamościa i Chełma wjeżdżało się do Lublina Droga Męczenników Majdanka obok koszar wojskowych. Po minięciu ZOR Bronowice, dojeżdżało się do przejazdu

kolejowego zamykanego szlabanem . Zaraz za szlabanem w prawo była ulica Łęczyńska i jednostka wojskowa. Jadąc dalej mijano się skwer i dojeżdżało do „Klina”. Rozjazdu ulic , w stronę dworca kolejowego , stadionu i do centrum miasta ulicą Buczka. Tak dojeżdżało się do katedry. Z nowych osiedli w tym czasie to ZOR Bronowice , LSM i kompleks uczelniany. W miejscu obwodnicy ,rzeczka , łąki i górki czechowskie, miejsce wypadów wagarowych lubelskiej młodzieży. Lubartowska , Kalinowszczyzna , Stare Miasto Kunickiego to miejsca gdzie wieczorem nie należało się pokazywać. W Lublinie chodziłem do Państwowych Szkół Budownictwa na Alejach Racławickich .W tym czasie była to wśród budowlanek lubelskich szkoła elitarna . Na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia , naukę w tej szkole podjęli przyszły aktor Bogdan Łazuka i syn Wandy Kaniorowej , szefowej Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej. Niezbyt chlubnie zapisali się w pamięci nauczycieli. Pamiętam jak jeden z profesorów mówił , „chodził tu taki "Łazuga" , ale zamiast się uczyć to zapuszczał długie włosy”. Oczywiście ani jeden ani drugi szkoły nie ukończyli . Mieli bowiem inne aspiracje.

Do tej szkoły w tym czasie uczęszczali również inni hrubieszowianie , Tomek Wilczyński , Adaś Pilarczyk. A mój kolega i sąsiad z Podgórze Jasio Zderkiewicz był w tym czasie uczniem technikum budowlanego na ul. Słowiczej też w Lublinie. Mieszkałem razem z Jasiem na stacji u samotnego dziadka Leszczyńskiego na ulicy Ochotniczej /boczna Narutowicza/. Dziadek był stolarzem zajmował się klejeniem ramek do obrazów.Mieliśmy do dyspozycji mały pokój z oknem na podwórze . Zamiast łóżek dziadek pozbijał krzyżaki i na nich umocował podłogowe chodniki. Były to spania wąskie , niewygodne i ciągle rozwalające się. Nie raz lądował któryś z nas na podłodze.

Jak każdy młody chcieliśmy ubierać się modnie.Kombinowało się z piąteczkami na stację. Pamiętam, że modne były buty bitlesówki z kwadratowymi albo wydłużonymi noskami. Tak chciało mi się tych butów , że kupiłem o numer za małe , po prostu nie było mojego numeru a bardzo chciałem je mieć. Były ciasne ,ktoś poradził żeby do butów wlać denaturat i włożyć na nogi to się rozchodzą. Wlałem ćwiartkę denaturatu i wcisnąłem na nogi.

Pochodziłem trochę , buty rzeczywiście rozeszły się ale ze stóp zeszła skóra ,schodziła całymi płatami. Ten czas to był czas koszul non iron i płaszczy ortalionowych. Koszule były bardzo drogie i do kupienia tylko w komisach , tak samo jak płaszcze. Głównym kierunkiem przywozu tego towaru do Polski były Włochy. Zawartość dzisiejszych ciuchlandów,byłaby szczytem marzeń. Ciuchami z paczek handlowano na bazarach warszawskich.

Na bazar Różyckiego ciągnęły tłumy młodych ludzi. Widywało się na ulicy młodzież w dzinsach, ale był to widok nie zbyt częsty. Dzinsy w tamtych czasach mogły pochodzić tylko z zachodu . Jak ktoś miał tam rodzinę to mógł w paczce dostać taki ciuch albo kupić na bazarze za duże pieniądze. Strasznie zazdrościliśmy tych spodni. My mogliśmy kupić ordynarne podróbki zwane teksasami. Modne czapki w tamtych latach to były tzw degolówki , czapki robione na wzór francuskich wojskowych kepi ,wysokie ze sztywnym długim daszkiem. Z Jasiem mieszkałem tylko rok , bo Jasio przeniósł się do siostry.

W Lublinie mieszkała jego najstarsza siostra , inżynier rolnik po Wyższej Szkole Rolniczej. Ja od nowego roku szkolnego zamieszkałem na stacji u Państwa Winiarskich przy ulicy Przodowników Pracy. Razem ze mną zamieszkał Tomek Wilczyński i nie żyjący już Jasio Kuropatwa z Prehoryłego koło Kryłowa. Na tej stacji nie można było sobie pozwolić na większe wybryki . Pani Winiarska nie pracowała , zajmowała się domem , gotowaniem obiadów , również dla nas , bo była to stacja z wyżywieniem. Zajmowała się także nami , kontrolowała lub starała się kontrolować nasz czas i wyjścia. Dzisiaj myślę że miała rację dyscyplinując nas. Ale wtedy odbieraliśmy to jako ingerencję w nasze sprawy prywatne. I od nowego roku szkolnego postanowiliśmy zmienić stację. Ja zamieszkałem na ul. Godebskiego u Państwa Komorowskich. Tam było fajnie . Zaprzyjaźniłem się z Jurkiem synem Komorowskich. Rodzice jego prowadzili na targu pod zamkiem mały kiosk warzywny i całymi dniami tam przebywali . Pojawiali się w domu późnym wieczorem. Domem rządził

Jurek i my . Mieszkał tam jeszcze kuzyn Jurka ,syn sadownika z okolic Opola Lubelskiego też Jurek , Kalinowski. Kalinowski chodził do Liceum Plastycznego , miał kupę pieniędzy od rodziców sadowników. A wydawał je na słodycze i alkohol. Razem podciągaliśmy staremu Komorowskiemu nalewkę porterówkę , która była specjalnością domu . Jurek uszczuplony w butelce trunek uzupełniał piwem . Czy stary Komorowski orientował się w tym podbieraniu nalewki nie wiem , ale chyba nie bo nie było nigdy awantury. Przyszedł rok 1967 i matura ,poszła mi nadzwyczaj dobrze. Matura w technikum różniła się tym od matury w liceum tym ,że dochodziły przedmioty zawodowe .Nauki było więcej . Język polski , matematyka i dodatkowy przedmiot , ale z czego nie pamiętam , poszły dobrze ,zresztą tak samo przedmioty zawodowe. W 1967 roku z dyplomem technika budownictwa wodnego wróciłem do Hrubieszowa . Zaczynała się era człowieka dorosłego. Ale o tym później.

8 lipca 1947 roku , urodziła się moja siostra , Elżbieta Anna. Pszeniczny kolor włosów ,zmieniała jak już była dorosła .Całe dzieciństwo pamiętam jasne włosy siostry krótko przycięte z grzywką. Oczywiście później pojawiły się warkocze i kokardy. Kierowniczką przedszkola miejskiego przy ulicy Nowej była koleżanka mamy , Pani Szyfer Wanda. Uradziły wspólnie że ja i siostra pójdziemy do przedszkola. Radości było wiele . Szykowanie , chwalenie się przed rówieśnikami no i wielki niewypał , przynajmniej z mojej strony.Owszem podobało się ale tak siedzieć kilka godzin bez ganiań po sadach z kolegami , to nie dla mnie. Byłem w przedszkolu tylko jeden dzień i żadna siła więcej nie zmusiła mnie do pójścia. Siostra owszem chodziła,ale ona była bardziej pragmatyczna niż ja. Zresztą w wielu sprawach , jej łatwiej przychodziło zaoszczędzenie pieniążków, ja nie potrafiłem. I tak już zostało. Dorastaliśmy w domu pełnym ludzi . Razem z nami mieszkały ciotki , Stanisława i Maria , wujek Józef i dziadek Jan Lebedowicz. Dziadek prowadził gospodarstwo. Zналиśmy i byliśmy zżyci ze zwierzętami jakie zwykle bywają w gospodarstwach. Psy i koty zawsze były w naszym domu , nawet przybłądy wiedzione instynktem i wyczuwające przytulisko szły do nas a nie do sąsiadów . Nigdy nie były odpędzone czy nie nakarmione.

Którejś jesieni mieliśmy nawet bociana Kajtka. Pewnie okaleczony lub chory nie odleciał jak inne. Przetrwał całą zimę w kurniku w ptasim towarzystwie. Na wiosnę spacerował po podwórzu , nikogo się nie bał , był bardzo przyjazny i nagle zniknął.Dzisiaj myślę że pewnie dołączył do powracających pobratymców. Ale wówczas ja i siostra moja , byliśmy święcie przekonani że ktoś go ukradł , zrobił krzywdę , podejrzewaliśmy różnych ludzi o ten niecny czyn. Ale rzeczywistość chyba była bardzo prozaiczna.Przy domu był sad, maliny,olbrzymia rosnąca przy ścieżce za ogrodem czereśnia .Obok niej stara wierzba tak szeroka że w jej konarach swobodnie bawiło się kilkoro dzieci. Pod wierzbą przechodziła ścieżka i nie raz straszliśmy przechodzących bezpiecznie schowani w konarach wierzby. Po naszej posesji pozostał jeszcze ślad w postaci jedyne go kasztanowca rosnącego przy ulicy Listopadowej , około 3-4 m od tego drzewa na południe była ścieżka zagumienki.To drzewo jeszcze jako dziecko osobiście pielęgnowałem. Zawsze jak je mijam , coś ściska za serce. Obok był sad Kraszkiewiczowej , kuzynki dziadka . Kraszkiewiczowa z Hapońskich była babcią Irenki Gronowskiej mojej szkolnej koleżanki. Łupiliśmy niemiłosiernie ten sad , tym bardziej że właścicielka mieszkała w drugim końcu miasta i rzadko przychodziła. Paczkę do zabaw tworzyły dzieci mieszkające wokół nas . Panasiewiczze , bliźniaki Witek i Waldek , ich starsi kuzyni Andrzej Panasiewicz i Wiesiek Warchulski . Nasze kuzynki Teresa i Bogusia Ciesielczuk .Sąsiadka przez płot Jadzia Tutkaj a przez ulicę Jadzia Franke . Oraz rodzeństwo Urszula i Zdzych Adugalscy. Jadzia Tutkaj w 1960 roku wyjechała do Wrocławia , ściągnęła ich tam rodzina. Pamiętam , kiedyś z Witkiem Panasiewiczem bawiliśmy się butelką z obtłuczonym dnem . Głupia zabawa ,przywiązaliśmy sznurek do szyjki , przrzuciliśmy przez gałąź i przeciągaliśmy raz do góry raz do dołu . Moja siostra mająca wtedy około trzech lat podeszła i podniosła głowę do góry a butelka zjechała prosto na nos. Zobaczyliśmy krew, przerażeni schowaliśmy się w ubikacji Panasiewiczów. Całe szczęście że skończyło się na niegroźnym skaleczeniu bez poważniejszych urazów, ale

blizna jest do dzisiaj. Z tym samym Witkiem pod koniec którychś wakacji resztkami farb pozostałymi po malowaniu straganu, chyba to była zielona farba, namalowałem na ścianie stodoły od strony „Zagumienek” /dzisiejsza ulica Listopadowa/ napis „Niech żyje USA i NRF” – tak się wtedy nazywały Niemcy Zachodnie. Mieliśmy kolegę którego siostra i szwagier pracowali w bezpiece. Kolega ten jak się za parę lat okazało również poszedł w ich ślady. Ale wtedy o tym napisie wypaplał szwagrowi. Zrobiła się awantura. Ja już byłem w Lublinie początek września a tu bezpieka robi dochodzenie. Skończyło się na tym że ciotka Stanisława zmywała i zeszkrobywała ten napis, ale wpisy w ubecji ciągnęły się za mną do upadku komuny. Ojciec nasz pracował wówczas w PZGS w Hrubieszowie, na święta przynosił zakupione słodycze i pomarańcze. Ten zapach pomarańczy pamiętam do dzisiaj. Nigdy nie były takie dobre jak wtedy. Często kupował czekoladki „Danusie”, próbowałem odnaleźć smak tych czekoladek wiele lat później. Niestety były to „Danusie” tylko z nazwy. Mama nasza pracowała w Miejskim Handlu Detalicznym. Była zatrudniona jako agent sklepu tzw łokciowego. Były to wszelkiego rodzaju materiały ubraniowe sprzedawane z metra. Początkowo był to sklep na rogu ul. Rynek i Targowa a potem wzorem innych agentów mama przeniosła handel do nowo wybudowanego kiosku w Rynku od strony zachodniej. Pamiętam jak towarzyszyłem mamie do banku, gdzie trzeba było odnosić codzienny utarg. Wypełniała lub ja to robiłem specjalny druk wpłaty bankowej gdzie była dokładna specyfikacja wpłacanych banknotów i monet. Do banku wpuszczano tylko po jednej osobie, dlatego przed drzwiami bankowymi ustawiała się zawsze kolejka pracowników sklepów obowiązkowo odnoszących dzienny utarg. Za przetrzymanie utargu w sklepie lub w domu narażano się na przykre konsekwencje. A były to lata 50. Jedyna filia Narodowego Banku Polskiego znajdowała się w budynku dzisiejszego Urzędu Miejskiego a dokładnie w pomieszczeniach Wydziału Komunikacji Starostwa. Lubiałem wracając ze szkoły przesiadywać w sklepiku i przyglądać się czynionym zakupom. Handel był szczególnie ożywiony w dni handlowe, tj wtorki i piątki. W te dni miasto zapełniało się przyjezdnymi z okolicznych miejscowości. Na rynku pojawiali się sprzedawcy, mleka, śmietany, masła, jaj. Widać było niosących w siatkach lub wręcz pod pachą, żywe kury czy też inny drób. Przeznaczenie ptactwa było oczywiste, rosół, niedzielne danie w wielu domach. Chłopi byli i producentami i sprzedawcami swoich produktów. Zaletą kupowania u bezpośredniego producenta była gwarancja świeżości i oczywiście niższe ceny niż u tradycyjnych przekupiek. Szczególna atmosfera dotyczyła zakupów świątecznych. Już na początku grudnia wyczuwało się podniosłość zbliżających się świąt Bożego Narodzenia. Szczególnie przeżywaliśmy to jako dzieci. Niesamowitą radość sprawiał zakup choinki. Ojciec szykował własne, swojskie wyroby. Kielbasa, wyrabiana w domu i wędzona u Pana Stadnickiego na końcu ulicy Kruczej, łączącej się już właściwie z Gęsią. W domu pieczono w piecu chlebowym szynkę, ale taką prawdziwą szynkę z kością, od której w święta i jeszcze po świętach odcinano płyty szynki, dochodząc w końcu do kości. Prawdziwa szynka bez polepszaczy. Kto nie jadł takiej szynki, ten nie wie jaki miała nie powtarzalny smak. W domu wieczorami robiliśmy ozdoby choinkowe. Lepiliśmy z kolorowego papieru łańcuchy, z wydmuszek robiliśmy koszyczki, oblepiając je kolorowym papierem umiejętnie nacinanym w kilku miejscach aby wyszedł koszyczek. Prezenty otrzymywaliśmy tylko w dniu św. Mikołaja. W naszym domu nie było zwyczaju wkładania prezentów pod choinkę. Zwyczaj ten pojawił się dopiero w naszym wspólnym z Grażyną domu. Czekaliśmy na te prezenty mikołajowe z niecierpliwością. Mieliśmy już z siostrą świadomość, że św. Mikołaj to bajka i dlatego w okolicach tego dnia, przeszukiwaliśmy wszelkie możliwe miejsca by wcześniej dowiedzieć się co dostaniemy. W tym dniu ktoś z domowników lub znajomych, przebierał się za Mikołaja. Nakładał odwrócony baranicą na zewnątrz kozuch i taką czapkę. Obowiązkowym wyposażeniem był worek. Ale zanim prezenty z worka zostały wręczone, byliśmy wypytywani o to czy byliśmy grzeczni, czy umiemy pacierz i czasami przepytywano nas z pacierza. No właśnie nie przypominam sobie by ktoś negował potrzebę uczenia pacierza, czy modlitwę

w szkole . To było naturalne i oczywiste. Dobrze wiedzieliśmy , że to ktoś z domowników przebrany , ale mimo tego pewna doza niepewności pojawiała się. Otrzymywane prezenty to z reguły coś praktycznego jak , rękawiczki , ciapy , szalik , książka no i oczywiście to czego oczekiwano się najbardziej , słodycze i inne smakołyki , których na co dzień raczej się nie jadało. Ale największym wydarzeniem , dającym niesamowitą radość nam dzieciakom , była choinka. Nie jakiś tam plastikowy wytwór , ale prawdziwe pachnące lasem drzewko. Pamiętam coroczne zmagania z kupieniem choinki , nie było stałego punktu sprzedaży, każdego roku zmieniano miejsce. Któregoś roku choinki sprzedawano na placu przy piekarni mechanicznej , obrzeża miasta . Przytarganie choinki z tamtego miejsca było niesamowitym wyczynem. Trzeba pamiętać że z transportem w tamtych czasach nie było najlepiej . Najpopularniejsze były wozy konne którymi wożono wszystko , węgiel ,meble a nawet przemieszczano się na niewielkie odległości . Choinkę zawsze ubieraliśmy w dzień wigilijny , ten zwyczaj jest również w naszym obecnym domu. Papierowe łańcuchy wcześniej klejone wieczorami razem z mamą i ciotkami , czy też koszyczki lub inne własnej roboty ozdoby. Były szklane kolorowe bańki , często pamiętające lata międzywojenne . Śnieg imitowała rozłożona wata a do gałązek przypinane były metalowe małe lichtarzyki w których umieszczano kolorowe choinkowe świece. Za oknami siarczysty mróz i zwały śniegu a pachnąca choinka i domowe ciepło stwarzały nie powtarzalny nastrój . Do kolacji wigilijnej zasiadała cała rodzina ,dziadek , rodzice , rodzeństwo matki i my . Pod stołem siano które było zawłaszczane przez nas jako miejsce do spania. Po kolacji jak zwykle dziadek rozpoczynał swoje opowieści i jak zwykle uciszany był przez ciotki czy mamę że to już mówił i wszyscy to znają . Co wcale nie przeszkadzało dziadkowi w snuciu swojego opowiadania , często sobie a muzom. Po świętach oczekiwano się na wizytę księdza. Wszyscy szykowali się do tego wydarzenia. W niektórych domach po wcześniejszym uzgodnieniu szykowano poczęstunek dla wzmocnienia sił kapłana. Dostępną długą ulicą , sporo domów , wymagało to więc trochę wysiłku. Już jako szkolna dziatwa i uczęszczająca na lekcje religii szykowaliśmy zeszyty z religii i zdarzało się że kapłan przepytywał i stawiał parafkę w zeszytach. Z okazji świąt zawsze mieliśmy dwutygodniową przerwę w nauce– ferie świąteczne. Po świętach , w miesiącu styczniu , czekaliśmy się na zabawy choinkowe i prezenty od zakładów pracy rodziców. Zabawa choinkowa organizowana była w świetlicy zakładu . Pięknie przystrojona sala , duża choinka , przyjęcie dla dzieci i najważniejszy dla dzieci moment wejście św. Mikołaja i paczki choinkowe. Zawierały mnóstwo słodyczy , owoców i tych najbardziej oczekiwanych , pomarańczy. Pomarańcze pokazywały się sklepach tylko w miesiącu grudniu i styczniu i nie zawsze można było je kupić. W czasie świąt i po świętach , tak do święta Trzech Króli, po domach chodziły grupki młodzieży z kołędowaniem, z Piaseckim z gwiazdą i dawały spektakle związane tematycznie ze świętami bożonarodzeniowymi.Święta Bożego Narodzenia to święta rodzinne , radosne , pełne ciepła i serdeczności. Od dzieciństwa zawsze kojarzyły mi się właśnie z takim ciepłym , przytulnym i bezpiecznym domem do którego podążało się z ufnością . Myślę , że ten stosunek do rodzinnego domu tworzony przez pryzmat świąt przejęły również nasze dzieci , dla nich spotkania przy opłatku i choince to mocne spoiwo rodziny. Całkowicie odmiennie przeżywałem jako dziecko święta wielkanocne. Te święta bardziej kojarzyły mi się z wiosną która przychodziła po długiej i mroźnej zimie. Wiosna pojawiała się nagle. Śnieg się topił , ulicami płynęły potoki wody , pojawiał się zapach ziemi. Święta te były w moim dziecięcym odczuciu poważniejsze , jakby smutniejsze . Dopiero poniedziałek wielkanocny dawał nam dzieciakom radochę. Przeżywałem te święta inaczej niż dorośli.

Czas zimy , to czas białego szaleństwa. Jazda na łyżwach po zlodowaciałej rzece ,która miejscami była tak płytka że widziało się zamrożone ryby pod taflą lodu. Rozgrywałem mecze hokejowe , jakaś zgnieciona puszka po rybach , wyłamane i z grubsza obrobione kije to cały nasz sprzęt do hokeja. Ślizgaliśmy się po rzece od dawnego „Proboju” aż po mały i duży Ostrów. Nieraz wracaliśmy przemoczeni bo ktoś wpadł do przerębli albo zwyczajnie

załamywał się lód. Zdarzały się tragedie z tego powodu. Na zjazdy na nartach chodziliśmy na mały Ostrów , pod niewielką górką robiliśmy z ubitego śniegu miniaturę skoczni i ćwiczyliśmy zjazdy. Proste narty , przypinane paskami do butów dawały nam wiele frajdy. Starsza młodzież chodziła szusować trasami na Tatarskiej Górze.

Dla nas było to za daleko, za to chętnie słuchało się opowieści o wyczynach na tych trasach. Górka do zjazdów saneczkami znajdowała się za domem Heflichów a przed domem Podkowików. Zjazd kończył się na rzeczce albo na przeciwległym jej brzegu. Do późnych godzin wieczornych szusowaliśmy po tym stoku. Uprawialiśmy również niebezpieczny jak teraz widzę sport , ale to chyba za dużo powiedziane sport. W okresie zimowym po nie odśnieżonych ulicach jeździło bardzo dużo zaprzęgów konnych,ciągających sanie. My z przypiętymi do butów łyżwami czepialiśmy się sań i tak szusowaliśmy ulicami. Po ulicach poruszały się również pojazdy samochodowe i traktory. Łatwo było o nieszczęśliwy wypadek , zdarzało się nam również jechać uczepionym wolniejszych samochodów czy traktorów.

Nasze dzieciństwo jak na tamte czasy było szczęśliwe , nie było bogato ale zawsze mieliśmy to co pragnęliśmy mieć . Od najwcześniejszych lat matka kupowała nam pisemka dla dzieci , „Swierszczyk”, „Płomyczek” , „Płomyk” i później „Świat Młodych”. Siostra raczej nie zaczytywała się, ale ja pochłaniałem je dosłownie. Znajoma Gaja, pracownica biblioteki miejskiej mieszczącej się przy ulicy Podzamcze zapisała mnie do niej. W krótkim czasie okazało się że jestem najlepszym czytelnikiem . Miałem na koncie najwięcej przeczytanych książek. Wyróżniono mnie , umieszczając moje imię i nazwisko na tablicy z różnymi informacjami dla czytelników. Byłem bardzo dumny. Wkrótce okazało się ,że w bibliotece nie ma już dla mnie książek , te dla dzieci i młodzieży przeczytałem.

Sięgnąłem po literaturę trudniejszą i tak rozpoczął się romans z historią , literaturą faktu , reportażami , który trwa do dzisiaj. Siostra moja po szkole podstawowej kontynuowała naukę w nowo powstałym w Hrubieszowie Technikum Ekonomicznym . Była to nowość jak na warunki Hrubieszowskie. Szkoła mieściła się w baraku na zapleczu dawnego młyna przy ul. Żeromskiego. Ze względu na trudne warunki w jakich funkcjonowała szkoła , ciągle organizowane były czyny na rzecz szkoły i zbiórki pieniężne. Po jakimś czasie zbiórka pieniędzy zakończyła się aferą i chyba sprawą sądową z odsiadką dla kogoś. W miarę upływu lat poprawiały się warunki . Postawiono nowy budynek . Po latach utworzona tam drugie w mieście Liceum Ogólnokształcące , które ukończyła nasza średnia córka Dagmara.

Jak już wcześniej pisałem w 1967 roku wróciłem do Hrubieszowa po ukończeniu technikum budowlanego o specjalności budownictwo wodne . Właśnie ta specjalność podczas nauki dawała możliwości niesamowitych praktyk. Z trójką kolegów zostałem wysłany przez szkołę na miesięczną praktykę do Puławskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Wodnego na ulicy nomen omen Wodnej w Puławach. W zarządzie Pstwa przeszkolono nas i wysłano na budowę gdzieś na Wiśle pod Dęblinem , chyba Brzeście. Biuro kierownika budowy to był mały stateczek zwany „koszarką „. Na stateczku było wszystko co jest niezbędne do normalnego funkcjonowania, kabiny mieszkalne , sanitariaty , kuchnia , jadalnia , pomieszczenia gospodarcze i oczywiście biura kierownictwa. Stateczek zacumowany był do nabrzeża przy sosnowym lesie . Kierownik nadzorował dziesięciokilometrowy odcinek na którym budowano kamienne ostrogi spowalniające nurt Wisły. Na czas kontrolowania poszczególnych obiektów , stateczek był odcumowywany i wypływał na Wisłę. Co dwa trzy dni wysyłani byliśmy kilka kilometrów do sklepu po chleb i inne artykuły spożywcze. Na „koszarce” był kucharz i on zajmował się karmieniem załogi i nas .Tam jadłem po raz pierwszy smażone na maśle węgorki , niezapomniany smak. Oczywiście nie obyło się też bez alkoholu , ale alkohol nie był inicjatywą załogi koszarki. To my w podziękowaniu na koniec praktyki zorganizowaliśmy pożegnalny wieczór , myślę że nie był to najlepszy pomysł . Niewiele brakowało a z praktyk wrócilibyśmy o jednego mniej . Podpity kolega wracając od ogniska po trapie na koszarkę wpadł do wody , szczęście

że nurt dosyć szybki nie wciągnął go pod koszarę . Błyskawicznie wyciągnął go z wody kucharz i tak się zakończyły nasze praktyki , które w zasadzie niczego nowego nas nie nauczyły , były to miesięczne fajne wakacje.

Pierwszą pracę rozpocząłem w Nadzorze Technicznym w Hrubieszowie . Firma ta nie miała nic wspólnego z klasycznym budownictwem. W zasadzie do pracy tej namówił mnie syn mojej chrestnej matki Zbyszek Warchulski, który był kierownikiem tej firmy. Zajmowała się budową i konserwacją linii telefonicznych i sieci radiowej dosyć powszechnej w tamtych czasach. Pracując w tej firmie poznałem przyszłą żonę. Któregoś dnia a było to w zimie, drobniutka dziewczynka w czapce zimowej zawiązanej pod brodą i bordowym płaszczku , przyszła zgłosić awarię telefonu domowego. Tak to się zaczęło i trwa do dzisiaj. W nadzorze przepracowałem równo rok i podjąłem pracę w szkole budowlanej jako nauczyciel zawodu. Praca nawet niezła , dawała lepsze zarobki niż firmy budowlane . Ponadto wakacje no i nie ukrywam jakiś niewielki prestiż. Dyrektorem był człowiek traktujący szkołę jak własny folwark , nie znosił dyskusji w żadnej sprawie . On i tylko on miał patent na wiedzę , mądrość i rację. Później po utworzeniu karłowatych województw został nawet kuratorem , ale na krótko. Był bardzo dyspozycyjny wobec władzy. Zastępcą był Pan Zygmunt Tuczapski , pełen kultury, taktu i przychylności dla ludzi. W szkole przepracowałem dwa lata. W roku 1969, 23 sierpnia, wziąłem ślub z Teresą Grażyną Techmańską. W owym czasie bardzo trudno było dostać jakiegokolwiek mieszkanie , kwaterek a więc z zasobów komunalnych było nieosiągalne. Natomiast spółdzielcze, wkład , oczekiwanie , to perspektywa dziesięciu lub piętnastu lat . Ale pojawiła się możliwość podjęcia pracy w Przedsiębiorstwie Budownictwa Rolniczego , bardzo w tym czasie prężnego przedsiębiorstwa , które jako jedyne w Hrubieszowie budowało dla pracowników mieszkania. Na początek dostaliśmy pokój w hotelu przy ul. Bożniczej. Ja pracowałem w PBRol przy ul. Kolejowej , żona w PKS przy ul. Nowej . Do jednej i drugiej firmy było jednakowo daleko. Miasto nie posiadało komunikacji miejskiej, do pracy szło się na piechotę. O godzinie 6.00 rano najpóźniej trzeba było być na nogach , toaleta , śniadanie i półgodzinny marsz do firmy. Spóźnienie powodowało przykre konsekwencje. Kadrowi czatowali na spóźnialskich i przed nosem zabierali listę obecności . Bywały i tak jak opowiadała żona , że razem z kadrową szła do pracy , razem wchodziły do budynku a była już jedna lub dwie minuty po godzinie siódmej .Kadrowa podpisała i najzwyczajniej w świecie zabrała listę. Delikwent który nie podpisał listy musiał stawić się u szefa i wymyślać powody spóźnienia. Pamiętam pracujący w dziale technicznym Jan Rządkowski , człowiek relegowany z uczelni za działalność polityczną, jeden z mądrzejszych ludzi w przedsiębiorstwie i doskonale znający się na budownictwie , notorycznie się spóźniał . Zawsze oczekiwał na okazję by z kimś przyjechać do przedsiębiorstwa, niezwykle zrównoważony , rzecz można z angielską flegmą , nie przejmował się upomnieniami i naganami za spóźnienia. Nie odważono się na wyrzucenie Pana Jana z pracy ze względu na jego autorytet. Szefem mojej firmy był facet przekonany o swojej misji dziejowej. Postawiony na czele firmy znanej z tego że w niej tego pito za swój cel postawił likwidację tego zwyczaju i wyrzucenie pijusów. Trochę czystki kadrowej zrobił , ale zwyczaju nie wykorzenił . Po pierwsze że to firma budowlana a po wtóre w tej i innych firmach pito i to tego. Okazji było sporo , imieniny , urodziny , inwentaryzacja na budowie , wkupne nowo zatrudnionego , pożegnalne odchodzącego, awans , ukaranie itd.

Katalog okazji , powodów , był bardzo długi, a i pracownicy byli bardzo twórczy w tym zakresie. Szef sprzętu i transportu razem z szefem warsztatów w jednym z garaży najzwyczajniej w świecie pędzili samogon . Często z butelczyną pod marynarką chodzili po biurze częstując kolegów tym specjałem. Wesoły autobus zaczął się w firmie po zmianie dyrektora. Był to chyba rok 1974. Przyszedł człowiek całkowicie odmienny od swojego poprzednika . Zaczął od tego że kazał pracownikom ustalać sobie płace . Myślę że był niezłym psychologiem . To ustalanie płac miało na celu samookreślenie swojej wartości

jako pracownika . Dowolność nie była taką dowolnością do końca . Pewne ograniczenia były a i sami pracownicy mieli skrupuły podejrzewając jakąś pułapkę. Dyrektor był człowiekiem czynu , tak można to określić . W przedsiębiorstwie ciągle odczuwano niedobór kadry i fizycznej i umysłowej ,/ tak się kiedyś klasyfikowało/. Pracownicy kadr w soboty i niedziele wyjeżdżali w teren często daleki na werbunek ludzi do pracy. Obiecywano dobre zarobki , przywóz z miejsca zamieszkania i odwóz po tygodniu pracy do domu . Oczywiście wszystko na koszt firmy. Najlepszym magnesem na przyciągnięcie pracowników była budowa mieszkań zakładowych. Chyba o ile dobrze pamiętam w 1975 roku rozpoczęto budowę 30 rodzinnego budynku mieszkalnego na tzw „Popówce”. Wykupiono teren od właściciela, a właścicielem była parafia prawosławna . W Warszawie załatwiano z metropolitą Ablem kupno terenu. W 1977 roku budynek oddano do użytku i tam otrzymaliśmy mieszkanie typu M-3 na drugim piętrze. Radościom nie było końca.

Ale zanim przeprowadziliśmy się do tego mieszkania , mieszkaliśmy jak wspominałem w hotelu na ul. Bożniczej. 21 maja 1971 roku powiększyła się nasza rodzina. Zjawiała się na tym bożym świecie nasza pierwsza córka Agnieszka. Mieszkaliśmy w jednym pokoju poprzedzielanym szafami na miejsca o różnych funkcjach. Była kuchnia , przedpokój , pokój dzienny i sypialnia w zależności od pory dnia i potrzeby. Po urlopie macierzyńskim żona musiała wracać do pracy. W tym czasie nie było jeszcze urlopów wychowawczych a Agnieszką ktoś musiał się opiekować .Dzięki Bogu babcia Wandzia mojej żony mieszkająca w Kopyłowie była sprawna i chętnie zajęła się Agnieszką.

Wstawiliśmy do pokoju jeszcze jedno spanie i tak mieszkaliśmy w czwórkę , mieliśmy komfort że dziecko zostawało pod dobrą opieką a i sami mieliśmy trochę więcej luzu.

W 1974 roku w bloku zakładowym przy tej samej ulicy co hotel zwolniło się mieszkanie. Duży pokój , kuchnia , łazienka z kolumnką . Żeby mieć ciepłą wodę trzeba było w tej kolumnie rozpalić i podgrzewać wodę . Miało to swoje zalety szczególnie w zimie , w łazience było jak w łaźni parowej. W tym mieszkaniu były już warunki całkiem znośne. Urządziliśmy nasze pierwsze mieszkania tak jak pozwalały nam nasze możliwości finansowe . Kupiliśmy komplet mebli pokojowych typu „Jerzy” . Część tego kompletu jeszcze stoi w mieszkaniu , mebelki kuchenne , telewizor , oczywiście wszystko na raty. W tamtych latach cała Polska brała na raty , była nawet specjalnie utworzona ORS , Obsługa Ratalnej Sprzedaży .Osoba tam pracująca była tak skrupulatna sprawdzając dokumenty interesantów że potrafiła za brak kropki lub skrzywioną literkę ganiać ludzi po kilkanaście razy do różnych instytucji po korektę.

Z jakichś powodów , nie pamiętam dlaczego babcia musiała wracać do Kopyłowa.

Na miejsce babci do pilnowania Agnieszki zanim nie poszła do przedszkola , zadeklarował się dziadek Marian Rutkowski, mąż babci Wandzi. Z dziadkiem były różne zabawne historie a nawet chwile grozy. Częstym naszym gościem był inż. Nowak ,miłośnik starych budowli , cmentarzy, książek . Przychodząc wieczorami przynosił małą butelczynę czegoś dobrego. Dziadek takiej okazji nie przepuścił, zresztą bardzo lubił rozmawiać z inż. Nowakiem. Dziadek był bardzo kontaktowym człowiekiem , łatwo nawiązywał znajomości, był przyjaźnie nastawiony do ludzi. Był namiętym słuchaczem wiadomości radiowych i telewizyjnych. Często rozumiał je inaczej i tłumaczył na swój sposób. W związku z tą namiętnością słuchania wiadomości , przestrzegał nas słowami -” słuchajcie co mówią , ja słuchałem i przeżyłem pogrom na Wołyniu i wojnę”. Był również krytyczny , jak coś powodowało że nie godził się z tym co mówią w telewizji to określał to wprost - „breszą , aż wszystko im się rozsypało , i jeszcze palcem grozą”. Ale mieliśmy jak pisałem chwile grozy . Dziadek spał w kuchni , przed snem lubił zapalić papierosa . Palił takie bez filtra w szklanej cygarnicze , niedopałek wydmuchiwał do węglarki. Pewnie nie trafił i niedopałek spadł między stare gazety leżące na półce pod kuchenką gazową. Żonę zbudził blask z kuchni, paliły się gazety , opalony był szlauch od butli gazowej . Szczęście że zauważyła w porę , uratowaliśmy i dziadka i mieszkanie a pewnie i siebie.

RUTKOWSCY - TECHMAŃSCY

Marian, ojciec mojej teściowej Reginy Techmańskiej z domu Rutkowska , przed 1945 rokiem mieszkał na Wołyniu w Krzemieńcu koło Łokacz , pochodził z okolic Torczyna. Miał sześciu braci Franciszka , Ludwika, Konstantego, Antoniego, Józefa , Hipolita oraz siostrę Jadwigę. Trzech braci z rodzinami zamordowali Ukraińcy .Jeden z braci Józef zginął w Powstaniu Warszawskim w 1944 r. Z całej rodziny tylko on , jego brat Hipolit oraz siostra Jadwiga uratowali się z pogromu Polaków na Wołyniu . Na jego oczach Ukraińcy w bestialski sposób mordowali bliskich . Nie chciał nigdy , nawet jak były możliwości pojechać na Ukrainę w swoje rodzinne strony. Wspomnienia były zbyt bolesne. Po wojnie w 1945 roku ,Rutkowscy jak wielu Polaków , musieli opuścić rodzinne strony i przenieść się do okrojonej Polski z granicą na Bugu. W podobny sposób rodziny ukraińskie musiały z terenu obecnej Polski wyjechać za Bug na ziemie darowane przez układ jałtański Ukraińcom. Rutkowscy osiedlili się w Kopyłowie gm. Horodło na gospodarstwie opuszczonym przez Ukraińców. Żoną Mariana Rutkowskiego była Wanda ze Schmidtów, córka Juliana, dworskiego guwenera. To dawało jej możliwość uczenia się z dziećmi z dworu. Ojciec babci Wandzi miał niemiecko francuskie pochodzenie. Tak mówi rodzinna pamięć. W tej chwili trudno jest dotrzeć do dokumentów. Pogranicze na którym mieszkali skutecznie ją zatarło. Bolesne wydarzenia na Wołyniu zniszczyły tę pisaną. W swoim domu w Krzemieńcu pow. Horochów , Julian miał dwa psy . Z jakiegoś powodu nazwał jednego Leninem a drugiego Trockim . 17 września 1939 roku sowieci weszli w granice wsch. Polski i na jej terenach ustanowili republikę Ukraińską . Polacy znaleźli się w sytuacji ludzi drugiej kategorii. Któryś z ukraińskich sąsiadów doniósł nowej komunistycznej władzy o psach i ich imionach. Wściekli czerwonoarmiejcy wpadli do domu i rozstrzelali psy . Szczęście że nie zrobili tego z gospodarzami. Zaczął się realizować ukraiński nacjonalizm który zaowocował mordowaniem ludności polskiej mieszkającej od wieków na tych terenach i przyjaźnie żyjącej z sąsiadami Ukraińcami. Dziadek Sebastiański ze strony matki Wandy był rządcą a babka klucznicą w tym samym dworze u Mijakowskich na Wołyniu gdzie Julian był guwenerem. W czasie rzezi dokonywanej na Polakach przez nacjonalistów ukraińskich ,wielu Polaków w strukturach armii podziemnej walczyło o bezpieczeństwo swoich rodaków. Tak też postąpił brat Wandy Rutkowskiej , Kazimierz Schmidt . Po 1945 roku , jako żołnierz AK nie mógł wrócić na Wołyń po zostawioną tam rodzinę , żonę z synem Edwardem. Przez wiele powojennych lat poszukiwali się wzajemnie , sytuacja polityczna komplikowała poszukiwania. Odnaleźli się zbyt późno . Wcześniej zmarła żona . Wychowaniem syna po śmierci matki zajęła się babka , Hanna Sierocińska. Nie dane było ojcu zobaczyć się z synem. Miało dojść do spotkania w 1971r , niestety Kazimierz Schmidt zmarł w lipcu tego roku. W tym czasie , rodziców żony nie było w Hrubieszowie. Pogrzebem zajęła się moja żona i zakład pracy Kazimierza ,GS w Hrubieszowie. Syn Kazimierza nie zdążył na pogrzeb , biurokratyczne procedury spowodowały że przyjechał następnego dnia po pogrzebie. Matka mojej żony , pomagała przy likwidacji mieszkania i załatwieniu wypłaty należności z ubezpieczenia w PZU. Żorka , bo takie imię miał mieszkający na Ukrainie młody Schmidt , po kilku dniach pobytu z odnalezioną rodziną ze skromnym spadkiem po ojcu wrócił do Zajęczyc na Wołyniu. Od tego czasu zaczęły się kontakty. Pierwsza na Ukrainę pojechała teściowa a następnego roku cała rodzina . Techmańscy z synem Robertem i nas dwoje. Trzeba przyznać , że takiego upokorzenia jakiego doznawali Polacy na przejściu w Przemysłu nie spotyka się w cywilizowanym świecie. Arogancja , chamstwo , traktowanie wszystkich bez wyjątku jak przemytników . Przetrzęsane bagaże , filtrowanie ludzi wzrokiem , wybieranie ofiar do osobistej kontroli . To wszystko czyniło sytuację surrealistyczną. To co wyczyniali polscy celnicy było niczym w porównaniu z wyczynami celników ukraińskich. Oni dawali do zrozumienia , że człowiek jest tylko przedmiotem , że władza może wszystko . Tam byle mundur

dawał poczucie władzy, a oni potrafili z tego korzystać. Dojechaliśmy do Lwowa, tłum wywalił się na peron. Część pasażerów od razu została zabrana przez oczekujące rodziny. Pozostali, ze względu na nocną porę musieli przesiedzieć kilka godzin na poczekalni dworcowej. Przepiękne wnętrza przedwojennego polskiego dworca, upstrzone zostały socrealistycznymi malowidłami i w takim stylu rzeźbami. Do Zajęczyc ze Lwowa było około 100 km. Teściowa znająca miejscowe realia, ponieważ jechała już po raz drugi, wybrała na środek transportu taksówkę. Dogadała cenę i pojechaliśmy. Po wyjechaniu z miasta, kolejne zaskoczenie, pierwsze to drogi żużlowe pełne wyboin i nierówności, drugie to wszechobecna milicja drogowa. Patrolująca jak się okazało bardziej dla łapówek niż dla bezpieczeństwa podróżnych. Zajechaliśmy około południa do Zajęczyc. Powitania i suto zastawiony stół na przyjęcie gości. Jedzenie rzeczywiście wyśmienite, smaczne domowe wędliny i wspaniały w smaku chleb. Na stole również wszechobecny samogon a dla gości alkohole ze sklepu. Wydawało się, że atmosfera jest dobra przyjazna, przyszło wielu sąsiadów, były wspominki o przedwojennej Polsce. Rozczarowanie przyszło wieczorem. Kiedy żona kuzyna, przyszła sprawdzić czy w pokoju w którym śpimy zamknięte są okna. Prosiła również o to aby w nocy nie otwierać okien. Pewnie się czegoś obawiała ale o swoich obawach nie mówiła. Kolejny nieprzyjemny zgrzyt przeżyliśmy w autobusie jadącym do Łokacz. Brat żony Robert, student architektury, tak jak większość ówczesnych studentów, miał dosyć bujną brodę. Jadący autobusem starszy Ukrainiec niezwykle wzburzony krzyczał, że za taką brodę to on swojemu synowi uciął by głowę. Teściowa znająca ukraiński odpowiedziała że to nic nowego, bo to potrafią robić i zrobiła się nieprzyjemna atmosfera. Szczęście że Łokacze były tuż tuż i wyjście z autobusu zakończyło scysję. Podobna sytuacja wydarzyła się również w autobusie jadącym do Nowowołyńska. Tym razem, widząc jadącą grupkę Polaków a odróżnialiśmy się od miejscowych, zaczęto głośno rozmawiać o rzekomych zbrodniach Polaków na Ukraińcach a szczególnie dzieciach, nabijanych na pale płotowe. Incydenty, przykre i niesprawiedliwe, powodowały, że czuliśmy się niezwykle źle, całość dopełniło bardzo nieprzyjemne potraktowanie nas przez urzędniczkę podczas obowiązkowego zameldowania się po przyjeździe. Zostaliśmy pouczeni o obowiązku przebywania w miejscu zaproszenia i nie oddalania się nigdzie pod groźbą kary. Oczywiście nikt z Polaków nie stosował się do tych absurdalnych zaleceń, pewnie i oni mieli świadomość ich nie realności. Przed 1945r w Krzemieńcu gmina Chorów, powiat Horochów, mieszkali nie tylko Rutkowscy, Schmidtowie ale także inne spokrewnione rodziny, jak Sebastiańscy i Piechowie. Szczególnie okrutnie doświadczyli i wojny i władzy sowieckiej, Piechowie. Piechowie blisko spokrewnieni przez Sebastiańskich z Rutkowskimi, bo matka babci Wandy i matka cioci Heni Piech z Radcliffe z Anglii to rodzeństwo. Piechowie, chyba w 1941 roku całą liczną rodziną zostali deportowani pod Archangielsk. Wcześniej dwaj synowie Józef i Zygmunt zostali zamordowani przez Ukraińców. Nieludzka ziemia okrutnie potraktowała przybyszów polskich. Ojciec, legionista Piłsudskiego zginął w lasach pod Archangielskiem podczas wyrębów. Prawdopodobnie rozszarpany przez niedźwiedzia. Babcia Wanda Rutkowska jak mogła tak wspomagała deportowaną rodzinę paczkami żywnościowymi. Podczas podróży do formującej się armii generała Andersa w drodze gubi się jedna z córek, Stanisława. Pozostali docierają do armii i razem przechodzą cały szlak. Henia i pozostałe rodzeństwo podczas pobytu w Afryce kontynuują naukę. Później los rozsypuje rodzinę praktycznie niemal po całym świecie. Osiedlają się w Anglii, Szkocji, Kanadzie. Po latach odnajdują w ówczesnym Związku Radzieckim, zagubioną siostrę Stanisławę. Wyszła za mąż za Rosjanina Naumowa, posiadają dzieci. Stanisława bardzo tęskni za rodziną i za Polską. Na przekór mężowi i nawet wbrew jego woli, zabiera dzieci i wraca do Polski. Osiedla się w Gdańsku. Z Polski może legalnie pojechać do Anglii do matki, siostr i brata. Teściowa moja, Regina Techmańska utrzymywała bliskie kontakty i z cicią Stasią i cicią Henią. Henia wyszła za mąż za Kojdera, żołnierza Armii Andersa. Osiedlili się naj-

pierw w Bury a potem w Radcliffe pod Manchesterem. Siostra Stefania utalentowana plastyczka osiedla się w Pitlochry w Szkocji. Matka z synem Mieczysławem zamieszkała w Londynie. Siostra Petronela osiedla się w Kanadzie. Bardzo rodziński i serdeczni. Odwiedzaliśmy i ciotce Stasię w Gdańsku i Henię w Radcliffe. Jeszcze za komuny Renia Techmańska była u Heni i Stefanii, Agnieszka, tuż po studiach pojechała do Radcliff. My odwiedziliśmy i ciotkę Henię i mieszkającego w Sandeeway niedaleko od ciotki Heni, Christophora Dentona ojca Simona męża Patrycji. Było to podczas odwiedzin Patrycji i Simona w Londynie w listopadzie 2009 roku.

Rutkowscy mieli trójkę dzieci, najstarsza urodzona w 1933 roku Regina, średnia Janina urodzona w 1935 roku i najmłodszy Mieczysław urodzony w 1939 roku.

Moja żona Teresa Grażyna, córka Reginy i Ryszarda, urodziła się 16 października 1950 roku w Hrubieszowie. Po śmierci Ryszarda, Regina w 1953 roku powtórnie wychodzi za mąż za Jerzego Techmańskiego. W tym roku rodzi się brat mojej żony Robert. Mieszkali w domku za młynem przy ulicy Polnej. Polna tamtych lat to rzeczywiście ulica polna w całym tego słowa znaczeniu. Od ulicy Kolejowej odchodziła dróżka częściowo brukowana ale tylko do torów tartacznych. Tuż obok młyna był tartak.

Dalej już była polna droga, z lewej strony obok domu Szyferów i Kaniowskich bagienko porośnięte trzciną. Po drugiej stronie domy, Czerwonki, Klimowicza, Kolano, Grzejdów, Ludasów, idąc dalej Szajdeckich, Bojarczuków, Ciesielczuka zwanego „Garko”, Rządzkowskich, Hryniewiczów, Oliwiaków, Sowińskich, Tarnowskich i Lemańskich na terenie dawnego folwarczku „Kruczkowszczyzna”. Chyba większość wymienionych domów począwszy od Rządzkowskich stała na dawnych gruntach folwarcznych. Nie pamiętam już wszystkich nazwisk. Droga kończyła się obok domu Lemańskich. Za domem Bojarczuków, ciotka Stanisława miała działkę, spadek po ciotce Mariannie zakonnicy.

Działka około 40 arów, część działki to była łąka stale podmokła na wiosnę wyglądała jak staw, były nawet rybki piskorze. Dom Techmańskich sąsiedował z domem Pani Mochnaczewskiej zwanej przez dziadka Mariana Matłaszewską. Byli również inni sąsiedzi. Z jedną z sąsiadek Pani Mochnaczewska była skłócona i ten fakt wykorzystała dzieciarnia.

Grażynka i Robert zawinęli w gazetę coś co zapachem nie przypominało fiołków, żeby było śmieszniej do gazety na której było nazwisko skłóconej z Panią Mochnaczewską sąsiadki. Kiedyś prenumerowano gazety, które listonosz dostarczał do domu. Tak spreparowany gościniec położyli na stole pod drzewem, przy którym w okresie letnim Mochnaczewscy spożywali posiłki. Nie trzeba wielkiej wyobraźni do uzmysłowienia co się działo. Dwoje niewiniątek oczywiście nie dało poznać po sobie autorstwa dowcipu.

Po jakimś czasie sprawa się wyjaśniła w tym sensie że rodzice ale tylko rodzice wiedzieli się o wyczynie swoich latorośli. Oczywiście ten fakt znam z opowieści mojej żony. Na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku przenieśli się do nowego mieszkania w bloku na ulicy Polnej 8. Matka mojej żony Regina Techmańska, Renia, to kobieta bardzo dbająca o więzy rodzinne. Jest również osobą żyjącą w zgodzie z postępem technicznym. Komputer nie stanowi dla niej *terra incognita*. Skype, poczta elektroniczna, wysyłanie wiadomości, zdjęć i ich odbieranie, nie stanowi dla niej żadnego problemu. Niezwykle szybko opanowuje poszczególne czynności. Przyznam się że czasami zmuszam ją do wykonywania napraw poprzez zdalne instruowanie, wychodząc z założenia, że takie samodzielne wykonanie napraw bardziej oswoja z urządzeniem.

Chyba nie wiele koleżanek teściowej potrafi samodzielnie obsługiwać komputer. Myślę, że z telefonami komórkowymi również mają problem, Renia doskonale sobie radzi i z jednym i drugim. Dzięki komputerowi odnowiła kontakty z rodziną zamieszkałą w różnych częściach Polski. Zmarły w 1980 roku, mąż teściowej, Jerzy Techmański, był fanem sportu a szczególnie piłki nożnej. Miejscowa drużyna piłkarska, Unia Hrubieszów, była jego ulubioną drużyną. W tym czasie Unia grała w lidze okręgowej, rozgrywała mecze z takimi drużynami jak Motor Lublin, Stal Poniatowa, Łada Biłgoraj, Chełmianka, Lublinianka.

Jurek nie opuścił żadnego meczu rozgrywanego na miejscowym stadionie. W zaciścu domowym tworzył albumy , rozrysowując w nich każdy mecz , ustawienia zawodników , poszczególne strzały. Teściowa posiadała kilka takich albumów z lat 60 i 70 ubiegłego stulecia. Teraz albumy , będące rodzinną pamiątką i zapisem historii hrubieszowskiego piłkarstwa trafiły do prawnuka , Patryka Kraszkiewicza.

Kuzyn Jerzego Techmańskiego , Stasio Miształ lekarz okulista syn Jadwigi z Techmańskich , wieloletniej nauczycielki w LO , w 1997 roku z ramienia Akcji Wyborczej Solidarność został posłem na Sejm III kadencji. Pamiętam jaki zgrzyt wywołała jego obecność w sejmie .W prasie pojawiały się artykuły mające na celu ośmieszenie Stasia. Wyraźnie odstawiał w sejmie od starych wyjadaczy. Nie pasował do tego towarzystwa. Któryś z dziennikarzy w jednym z artykułów nazwał go „Zelikiem”. Stasio był i jest człowiekiem bardzo uczynnym , chętnie idącym innym z pomocą .Stasiowi zawdzięczamy uratowanie oka naszej najmłodszej córki Patrycji. Jak każdy z nas nie jest pozbawiony wad ,ale i nie ma wśród nas ludzi idealnych . Młodszy brat Stasia , Ignaś , jest profesorem genetyki w University of Georgia w Atlancie w Stanach Zjednoczonych.

Janina, młodsza córka Rutkowskich lub może Rudkowskich , bo w dokumentach rodzinnych spotyka się i tak pisane nazwisko , wyszła za mąż za Kazimierza Kowalskiego z Ciołek leżących nieopodal Kopyłowa. Mają trzy córki , Krystynę żonę Wiesława Pasięki i bliźniaczki Jasię i Grażynę. Grażyna wyszła za mąż za Stanisława Steciuka ale coś tam się nie układało i sama wychowuje syna Jacka. Mąż Jasi, Henio Barańczuk pochodzi ze Ślipcza i tam po ślubie zamieszkali. Syn Krystyny a mój chrześniak Rafał , zginął w tragicznym wypadku drogowym pod Porajem koło Horodła. Pochowany jest na cmentarzu parafialnym w Horodle , tam gdzie leży jego praprababcia Maria Rutkowska , pradiadkowie Wanda i Marian Rutkowsy oraz babcia Janina Kowalska z domu Rutkowska. Najmłodsza latorośl Rutkowskich syn Mieczysław obrał karierę wojskową. Ożenił się Marynią Siekierką z Siekierek na Podlasiu .Mają dwójkę dzieci , Marzannę i młodszego Artura.Brat mojej żony Robert Techmański bardzo zdolny uczeń , mający predyspozycje plastyczne po ukończeniu liceum w Hrubieszowie podjął studia architektoniczne w Krakowie . Kształcił się między innymi pod kierunkiem hrubieszowianina profesora Wiktora Zina. Robert na stałe związał się z Krakowem . Tam założył rodzinę . Żoną jego została Maria Lipińska córka wojskowego , jednego z „cichociemnych” z okresu drugiej wojny światowej. Mają syna Maćka , chrześniak mojej żony. Maciek i jego żona Kasia z domu Wojciechowska , również ukończyli architekturę i pracują jako architekci. Mają córeczkę Amelkę. Ojciec Kasi , Józef Wojciechowski , doktorant historii , znawca epoki Piłsudskiego , był burmistrzem Bochni. Rodzina teścia , Jurka Techmańskiego od lat związana jest z Hrubieszowem . Nazwisko Techmański , to nazwisko hrubieszowskie jak tutaj się mówi. Ojciec Jurka pracował po wojnie w samorządzie miejskim . Zmarł nagle na zawał serca w 1952 roku w wieku 49 lat. Pochowany jest na miejscowym cmentarzu parafialnym gdzie pochowana jest zmarła przed wojną jego córka Alina. Matka teścia razem z młodszym synem Stanisławem po śmierci męża wyjechała na Śląsk do Brzegu. Nie żyje już babcia Justysia , nie żyje Stanisław i jego żona Ania . Pochowani są na miejscowym cmentarzu w Brzegu. Synowie Staszka i Ani , Tomek i Grzesiek mieszkają w Brzegu. Ania pracowała w bibliotece miejskiej, jej synowa natomiast pracuje w muzeum . Kustoszem w tym muzeum był mój szkolny kolega Wiesio Skibiński który trochę krętą drogą stał się znawcą historii sztuki. Najpierw ukończył technikum pszczelarskie a dopiero potem podjął na KULu studia na wydziale historii sztuki. Po latach , będąc już na emeryturze /2009r/, Wiesio wrócił do Hrubieszowa i osiadł w rodzinnym domu.

WAWRZECCY ELŻBIETA I WALDEMAR
dzieci Jana i Stefanii z Lebedowiczów Wawrzeckich

Na Wielkanoc 1969 roku moja siostra Elżbieta wyszła za mąż za Juliusza Barańskiego . Znajomość ich trwała dosyć długo. Po ślubie przenieśli się do domu rodziców swojego męża . Rodzice Julka byli nauczycielami. Najstarsza siostra Urszula Cieślik mieszka w Lublinie. Mąż jej Włodzimierz , zmarł kilka lat temu .Jedną z ich córek , Aneta mieszka w Szwecji a druga Iwona Sygowska historyk sztuki , w Warszawie.

Mąż Urszuli, był dyrektorem zakładów przemysłu drzewnego w Nałęczowie. Brat Donat ożeniony z Ireną ,rodowita ślązaczka mieszkał w Katowicach. Zmarł w 2009r. Z rodzicami oprócz Julka , mieszkała jeszcze najmłodsza siostra Dziusia. Nauczycielka , kontynuatorka tradycji rodzinnej. Dziusia kilka lat temu już będąc na emeryturze , przenieśli się wraz z mężem Stanisławem Poziomkowskim do Lublina. Julek tak jak i ja pracował w PBRol. Wcześniej pracował w zakładach prefabrykacji w Werbkowicach , później przeniósł się do działu zaopatrzenia w PBRolu. Ja do przedsiębiorstwa przeszedłem w 1969 roku , rezygnując z pracy w szkole budowlanej. Do przejścia namówił mnie dyrektor przedsiębiorstwa , znajomy teściów. Pokusą była możliwość otrzymania mieszkania. Przedsiębiorstwo prowadziło działalność głównie w terenie i głównie na rzecz przedsiębiorstw związanych z rolnictwem a więc PGR i Rolnicze Spółdzielnie Produkcyjne.

Południowa część powiatu hrubieszowskiego to właśnie przede wszystkim państwowe gospodarstwa rolne .Setniki , Białystok , Myców , agromiasteczko Lipina ze szkołą podstawową i dużym domem kultury. Tam głównie koncentrowało się budownictwo rolnicze a także niezbędna infrastruktura socjalna. Były to budynki mieszkalne, domy kultury, hotele robotnicze. Służbowe wyjazdy w teren to były całe wyprawy .Dołhobyczów leżał 40 km od Hrubieszowa a z Dołhobyczowa do Lipiny było około 30 km. Po drodze mijało się słynne żartobliwe nazywane „trójmiasto”, Hulcze ,Żniatyn i Chłopiatyn. Pamiętam jak na budowie w Mycowie , robotnicy na terenie dawnej posiadłości dworskiej podczas robót ziemnych, dokopali się do ukrytych wcześniej przez właścicieli, „skarbów”. Były tam sztućce, naczynia i rzecz niezwykle antałek z winem o konsystencji galarety. Jak opowiadał kierownik budowy Rysio Gniatkiewicz, antałek opróżnili natychmiast a i wykopane przedmioty dostały „nóg”. Podobno przyjeżdżała milicja , rozpytywała ale niczego się nie dowiedziała.

Na tamtym terenie , ziemia obfitowała w zakopane skarby . Gdzieś pod koniec lat siedemdziesiątych wydarzyła się taka historia.

Ostatni właściciel dóbr Dołhobyczowskich mieszkający w Warszawie , Świeżawski , wczesną jesienią 1975 roku zwrócił się do ówczesnego ministerstwa kultury i sztuki z propozycją . Wskaże gdzie zakopane są wartościowe przedmioty z pałacu w Dołhobyczowie pod warunkiem, że część wykopanych przedmiotów zatrzyma dla siebie. Władza przystała na propozycję. Przedstawiciel ministerstwa , były właściciel ,w asyście milicji i pracowników Muzeum na Zamku w Lublinie przyjechali do Dołhobyczowa . W piwnicach pałacu w miejscu wskazanym przez właściciela wykopali kilka skrzyń wartościowych przedmiotów. Były to srebra stołowe i porcelana. Najciekawsze w tej historii jest to , że strażnikiem zakopanych skarbów był dawny pałacowy stangret o nazwisku Kapusta stale mieszkający w Dołhobyczowie .Tylko on i właściciel znali miejsce ukrycia. W latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia ,pałac Dołhobyczowski został kompletnie wyremontowany przez PKZety zamojskie. Przyszły nowe czasy , pałac odzyskali dawni właściciele a właściwie ich spadkobiercy. Pewnie ze względu na to że mieszkali w Kanadzie sprzedali pałac nowobogackiemu . Ten ktoś pewnie przecenił swoje możliwości bo pałac „poszedł” mówiąc trywialnie w ruinę. Pod nieobecność właściciela ,lud dawnym zwyczajem zdewastował obiekt. Od kilku lat właściciel bezskutecznie usiłuje sprzedać pałac z przyległościami.

Gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku , Julek został w przedsiębiorstwie

dyrektorem ds ekonomicznych . Był to najmłodszy dyrektor w całym lubelskim zjednoczeniu budownictwa rolniczego . Po dwóch lub trzech latach został dyrektorem takiego samego przedsiębiorstwa w Lublinie i już wtedy widać było , że Julek ma większe aspiracje.

Ojciec mój Jan Wawrzecki po długiej chorobie, zmarł /1972/ w następnym roku po urodzeniu się Agnieszki. Ojca już w bardzo złym stanie do szpitala zawiozła matka i moja siostra . Do dzisiaj pamiętam reakcję młodej doktor na izbie przyjęć , bardzo nieetycznie zareagowała na widok chorego . Powiedziała kilka przykrych słów. Ta lekarka znana była właśnie z kontrowersyjnych zachowań . Oczywiście znam to z relacji siostry. Była to pierwsza śmierć w bliskiej rodzinie. Już w tym czasie wywłaszczano nas z ziemi na ul. Piłsudskiego, za jakiś czas matka otrzymała kawalerkę w bloku spółdzielczym przy ul. Polnej 24.

Starsza schorowana kobieta otrzymała przydział na czwartym piętrze , rzadko tam bywała . Niesamowity cynizm , bezdusność władz miasta i spółdzielni mieszkaniowej . Nie liczo no się z człowiekiem .Pamiętam jak jeden z lokalnych kacyków na działce łączącej ulicę 1 Maja , dzisiaj Piłsudskiego z obecną Listopadową i będącą własnością mojej matki , kazał wysypać żużlem by mieć dobre dojście do swojego mieszkania w bloku na Polnej.

Później działkę zabrano pod budowę „Manhattanu” za śmieszłą cenę , na rower było za mało. Żeby było śmieszniej ,spreparowane dokumenty mówiły o dobrowolnej sprzedaży działki rolnej. Dlatego niska cena , ale przeznaczono ja pod budownictwo mieszkaniowe . Na tym właśnie polegała perfidia ówczesnej władzy. Według której wszystko było *lege artis*. Mama częściej mieszkała u mojej siostry , czasami u nas .Do innych chorób , przyplątała się ta najgorsza . To był wstrząs dla wszystkich , tym bardziej że mama bardzo długo ukrywała chorobę . Był już taki stan że konieczna była interwencja chirurgiczna. Po powrocie z lubelskiego szpitala przebywała w mieszkaniu swojej córki a mojej siostry. Opiekowaliśmy się nią na zmianę .Przychodziły również ciotki , siostry matki. Julek w tym czasie dostał mieszkanie w Lublinie w bloku zakładowym i powoli przewoził drobne sprzęty.

Przewoził je swoim pierwszym samochodem „maluszkim”. W tym czasie ten samochód był marzeniem milionów Polaków .Julek chyba jako pierwszy w Hrubieszowie był posiadaczem tego cuda. Boże jak wszyscy wkoło zazdrościli mu tego samochodu . Popularne w tym czasie Syrenki , Trabanty bladły przy tym samochodziku. Pamiętam jak Antoś Kuszmiruk za niemożliwość odpalenia swojej Syrenki tak długo kopał ja w drzwi aż wykopał dziurę. Wartburgi , duże fiaty , polonezy , to już były samochody z górnej półki .

Samochodami z górnej półki jeździło także towarzystwo z górnej półki .Wysoka administracja partyjna , prywatna inicjatywa i Miecio Nosko , „warszawą” odkupioną od dyrektora PBRolu. Barańscy tak jak my mieszkali początkowo w małym budynku zakładowym na ulicy Bożniczej . Obecnie zmieniono nazwę na Pogodną . Szkoda , bo stara nazwa upamiętniała fakt kilkusetletniego pobytu Żydów w Hrubieszowie. Obecnie tylko stary cmentarz żydowski na ulicy Kruczej przypomina o tym. Pamiętam ostatni pochówek na tym cmentarzu. Było to gdzieś w połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Zmarła żydówka , mieszkała w budynku dzisiejszego PSS od strony podwórza. Pamiętam kondukt pogrzebowy idący ulicą Prosta , Ludną i Targową na kirkut. Na przodzie konduktu szedł duchowny żydowski i mieszkający w Hrubieszowie Żyd Gaist , który wykonywał na cmentarzu czynności grabarza. Grób zlokalizowany był na samym dole kirkutu tuż przy łące Polaczka , około 70 do 100 m od ogrodzenia PGKiM. Pamiętam to wydarzenie , bo wiele dzieciaków i dorosłych z ciekawości brało w tym udział .Barańscy mieszkali na pierwszym piętrze, od strony południowo zachodniej. Miłosz urodził się kiedy mieszkali na Bożniczej , Ania już po przeprowadzce do nowego budynku mieszkalnego PBRol na „Popówce”-obecnie ul.3 Maja , wówczas Dzierżyńskiego.Zamieszkali w ładnym trzypokojowym mieszkaniu na pierwszym piętrze od strony południowej.W tamtych latach bardzo popularny serial „Cztery pancerni i pies” , przyciągał do telewizorów i starszych i dzieci. Miłosz był zafascynowany Jankiem Kosem , którego grał Gajos . Gdzie tylko się dało to pozował na Janka

Kosa. Nawet na zdjęciu zrobionym w Kazimierzu na Górze Trzech Krzyży, Miłosz jest w pozycji na Janka Kosa, leży na boku z podpartą głową. Miłosz miał szalone pomysły, pamiętam jak rozpalił w pokoju pod stołem ognisko po jakimś programie o biwakach dla młodzieży. Przyszedł rok 1980, tragiczny rok dla naszej rodziny. Na początku grudnia zachorowała teściowa Renia Techmańska i trafiła do szpitala na oddział wewnętrzny. 12 grudnia na ten oddział z rozległym zawałem serca trafił teść Jurek Techmański. Pomimo szybkiej pomocy lekarskiej nie udało się uratować jego życia. W dzisiejszych warunkach medycznych ratunek byłby skuteczny. W tamtych czasach zawał często oznaczał śmierć. W tym samym miesiącu 31 grudnia o godz. 18.00, namaszczone świętymi olejami przez ks. Stanisława Chomicza umiera moja matka, Stefania z Lebedowiczów Wawrzecka.

Po śmierci matki, Barańscy likwidują mieszkanie w Hrubieszowie i przenoszą się na stałe do Lublina. Zamieszkali w bloku zakładowym przy ul. Skautów. Po kilku latach przeprowadzili się do własnego domu przy ulicy Kochanowskiego. Na niewielkiej działce stanął ładny dom z bardzo gustownym wnętrzem. Z domu wychodziło się do małego ogrodu przez domowy zimowy ogród pełen zieleni. Jeszcze mieszkając na Kochanowskiego, Ania wyszła za mąż za Marcina Sobczaka. Ślub odbył się w pobliskim kościele a ślubu udzielał zaprzyjaźniony jeszcze z Hrubieszowa ksiądz Stanisław Chomicz. Za kilka miesięcy odbyło się wesele Miłosza i Sylwi Motylewskiej z Żyrardowa. Ślub odbył się w przepięknym starym kościele w Żyrardowie. Pamiętam tylko przenikliwy chłód tego kościoła. Przyjęcie zorganizowano w pałacyku pod Żyrardowem. Młodzi Barańscy po ślubie zamieszkali w Warszawie. W tym czasie Julek i Elka kończyli adaptację domu przy ulicy Beliniaków gdzie wkrótce się przeprowadzili. Ulica Beliniaków to równoległa uliczka do ulicy Godebskiego, przy której mieszkałem chodząc do szkoły w Lublinie. Przy tej ulicy w swoim domu mieszka hrubieszowianka Basia Laskowska z Grodyńskich.

Muszę się cofnąć do roku 1977, 18 kwietnia rodzi się nasza średnia córka Dagmara Joanna. Mieszkaliśmy jeszcze w budynku zakładowym na „popówce”. Wówczas był tam tylko ten jeden budynek. Wokoło stały jeszcze stare drewniane budynki parafii prawosławnej. Takie typowe dla kresów parterowe domy z ganeczkiem i ławeczkami. Ławeczki były bardzo ważnym elementem wyposażenia. W okresie letnim przy ładnej pogodzie, po obiedzie starsze Panie zasiadały i lustrowały spacerowiczów.

A był to czas kiedy hrubieszowskie ulice pełne były ludzi. Spacerowały były czymś normalnym. To była okazja do wyjścia, pokazania się i później rzecz jasna plotkowania na temat spotkanych osób. Młodzież do późnych godzin nocnych, spacerowała, przesiadywała w parku, umawiała się na randki. Lokale gastronomiczne a było kilka w Hrubieszowie, stanowiły miejsce spotkań przy kawie i nie tylko. Wieczorem na wolny stolik w kawiarni w Rynku trzeba było czekać albo umawiać się z siedzącymi o której zwolnią. Tłok był zawsze. Tak samo działo się w restauracjach „Kresowiance”, „Kasieńce” czy „Staropolskiej”. Bywało, że wracające z pracy towarzystwo zaczynało biesiadować w Staropolskiej i poprzez Kasieńkę, Kresowiankę, kończyło biesiadę w kawiarni. Życie towarzyskie kwitło w Hrubieszowie. Ludzie spotykali się nie tylko w lokalach ale również odwiedzali się w domach, spotykając się przy suto zastawionych stołach a okazji było wiele. Na stołach nie brakowało niczego, wędliny w tamtym czasie miały rzeczywiście smak wędlin, można było odróżnić, szynkę od baleronu czy schabu, dzisiaj jest z tym problem.

Mieszkaliśmy na drugim piętrze od południowo wschodniej strony, na tym samym piętrze w kawalerce mieszkali Alka i Leszek Buczkowscy. Wcześniej mieszkali również w hotelu a także tam gdzie my przy ul. Bożnicznej w kawalerce na drugim piętrze. Pamiętam taki śmieszny incydent u Buczkowskich. Ich córeczka z jakiś powodów miała odstające uszko czy uszy i Leszek po to aby nie odstawały poprzyklejał je plastrem do głowy, chcąc pewnie poprawić naturę. Oczywiście to nic nie dało, poza bolesnymi zapewne doznaniem dziecka.

W mieszkaniu obok na tym samym piętrze mieszkali Marciniukowie. Wandę i Józefa Marciniuków ściągnął do Hrubieszowa dyrektor Jarosz. Pochodzili oni z tego terenu.

Wanda z Moniatycz , a Józek z Mircza. Mieszkali w Świdniku . Józek był sportowcem koszykarzem , absolwentem Politechniki Lubelskiej . Z racji umiejętności sportowych dostał pracę i mieszkanie w PZL Świdnik . Dyrektor Jarosz ściągał sporo ludzi do przedsiębiorstwo za mieszkanie i wyższe płace. Józek pracował w terenie na budowie agromiasteczka w Lipinie. Był kierownikiem budowy a Wanda pracowała w nowo utworzonym punkcie ZUS . Początkowo sama a później doszła jeszcze jedna osoba . Załatwiała nie mniej spraw niż obecnie załatwia wieloosobowe placówka zusowska w Hrubieszowie. Marciniukowie pobudowali się na Sławęcinnie przy ul. Batalionów Chłopskich. Jakieś tragiczne fatum zawzięło się na tę rodzinę. Zachorowała Wanda , po operacji głowy ,chyba guz ,po kilku miesiącach zmarła . Józek po śmierci Wandy nie odzyskał równowagi .Próbował prowadzić własne przedsiębiorstwo budowlane ale wiadomo że człowiek jest istotą słabą i ulega namiętnościom. Zaczęły się kłopoty , to wszystko spowodowało , że któregoś dnia Józek poszedł za żoną /2003/.

Piętro niżej , pod Marciniukami , mieszkali Teresa i Stanisław Chilewscy. Ten budynek stanął między innym dzięki Stasiowi . Jako inwestycyjny w przedsiębiorstwie , załatwiał wszystkie sprawy związane z budową . Otrzymali najładniejsze mieszkanie w budynku , pierwsze piętro . Mieli trzy córki Martę , młodszą Ankę i najmłodszą Asię. Teresa pracowała w PCK w Hrubieszowie . Firma zajmowała się rozdzielnictwem zachodnich darów żywnościowych i odzieżowych pomiędzy ubogich i potrzebujących. Kot Chilewskich nie mógł już patrzeć na sardynki. W 1981 roku Stasio zaangażował się w nowy ruch polityczno społeczny „Solidarność” . Został nawet członkiem władz regionalnych w Lublinie co było powodem jego internowania w grudniu 1981 roku. Po powrocie z internowania za czas jakiś , chyba w październiku 1983 roku wyemigrowali do Kanady. Teraz mieszkają w Edmonton . Podczas ostatniego pobytu w Hrubieszowie w 2010 roku , Stasio sarkastycznie stwierdził że wyjeżdżając do Kanady , przegrali swoje życie.

W tym samym budynku , tylko od zachodniej strony mieszkali również Barańscy , na pierwszym pięttrze , sąsiadując przez ścianę z Chilewskimi. Chyba wzajemnie nie darzyli się sympatią.

Po urodzeniu Dagmary ,Grażyna korzystała nie tylko z urlopu macierzyńskiego ale także z urlopu wychowawczego. Problemy z Dagmarą zaczęły się gdy zachorowała i dostała pierwszy zastrzyk . Straciła przytomność a pielęgniarka dająca zastrzyk straciła głowę . Ja złapałem dziecko i zacząłem instynktownie wdmuchiwać powietrze w usta , to był odruch . Złapała powietrze i zaczęła oddychać , wezwaliśmy pogotowie .Okazało się że Dagmara cierpiała na bezdech emocjonalny , pod wpływem strachu, bólu , traciła przytomność. Trzeba było bardzo uważać , żeby w czasie zabawy czy chodzenia nie uderzyła się. Oczywiście nie można było się wszystkiego ustrzec , kiedyś zabawką przycisnęła palec i wystąpiło to samo. Z Dagmarą jak była mała nikt nie chciał zostawać , bali się że nie poradzą sobie jak coś się stanie .Dagmara była fajnym grubiućkim bobasem , zawsze uśmiechnięta i zadowolona . W następnym roku po urodzeniu się Dagmary ,gdzieś koło miesiąca lipca przeprowadziliśmy się do nowego mieszkania na tym samym osiedlu ul.3 Maja 12a. Było to już nasze spółdzielcze mieszkanie oddane przez PBRol za mieszkanie na Polnej , które otrzymaliśmy od spółdzielni dwa lata wcześniej i zrzekliśmy się na rzecz PBRolu. Mieszkanie to od PBRolu otrzymał Romek Sadło. Mieszkanie które otrzymaliśmy, było na pierwszym pięttrze ,szumnie zwane M-5 , 57m kwadratowych powierzchni ,cztery pokoiki . Dla nas było to duże mieszkanie . Po pierwszym jednopokojowym , drugim dwupokojowym ,to wydawało się olbrzymie. Trzeba było mieszkanie przygotować do zamieszkania . Malowanie robiliśmy sami. Do malowania jednego pokoju wzięliśmy malarkę po OHP . Okazało się że dziewczyna nie ma pojęcia o malowaniu w dodatku całe wiadro wapna wylała na niezabezpieczony niczym parkiet .Musieliśmy kończyć sami a później walczyć jeszcze z okropnie wykonanym dębowym parkietem .Parkiet był wykonany bardzo źle , brzydkie luźne klepki. Zresztą wiele elementów tego mieszkania to był przykład jak nie

należy budować .Parapet w dużym pokoju potraskany i zespojony zaprawą cementową. W jednym z pokoi zamiast ściany między mieszkaniowej , postawiona była ścianka działowa . W tym pokoju urządziliśmy pokój dzieci . Było tak że słyszeliśmy co się dzieje u sąsiada a sąsiad co u nas. Podłoga w kuchni miała spad do okna i to bardzo wyraźny .Tłumaczeniem partackiej robotę było to ,że jest to budynek budowany w ramach patronatu organizacji młodzieżowych . Tak , tak , było coś takiego . Młodzież z zakładu energetycznego robiła instalacje w mieszkaniach. Nie ma chyba w tej chwili mieszkania w tym bloku w którym nie wymieniono instalacji elektrycznej . Instalacje robili młodzi elektrycy nie zbyt biegli w swoim fachu . Zaraz po zamieszkaniu siadł nam jeden obwód ,zawołałem człowieka który w naszym mieszkaniu robił instalacje i on nie potrafił tego naprawić. Budowlankę robiła grupa chłopców z OHP pod nadzorem instruktorów .Tak krzywych tynków , podłóg , źle poosadzanych drzwi i okien nawet w tamtych czasach nie spotykało się tak spartańczonych jak w tym budynku. Ale to wszystko bladło w obliczu szczęścia jakim było otrzymanie mieszkania. Sąsiadami naszymi na piętrze są Ewa i Michał Bolkowie. Ewa pracownik ZOZ i Michał pracownik ówczesnego PBRolu. Na parterze zamieszkali Stasiukowie , Romek sąsiad z ulicy 1 Maja i jego żona Jadwiga , moja koleżanka z dzieciństwa a także siostra męża, mojej ciotki Marii Franke. Razem z Jadzią trzymałem do chrztu ich syna Jarka Franke. Obok nich na parterze zamieszkali Państwo Grodyńscy. Pani Grodyńska lekarz dermatolog i Pan Grodyński radca prawny w PZGS w Hrubieszowie. Razem z rodzicami mieszkała ich córka Hania , koleżanka szkolna mojej żony. Nad nami w takim samym mieszkaniu jak nasze zamieszkali Pawelcowie , Henia pracownik PBRol i Henio pracownik PRIMBRol. A jeszcze wyżej w tym samym pionie Jan i Urszula Pirogowiczywie.Zaraz po wprowadzenie się do mieszkania ,ochrzciliśmy Dagmarę .

Rodzicami chrzestnymi byli , mąż mojej siostry Julek Barański i Elka Jędruszczak ze Świdnika żona kuzyna. Wtedy jeszcze mieszkali w Piaskach . Chrzest odbył się w kościele w Trzeszczanach. W tamtych czasach , wiele tego typu uroczystości religijnych lepiej było organizować poza miejscem pracy i zamieszkania głównie z powodu mało przychylnego spojrzenia władzy. Byli przecież ludzie usłużni którzy uprzejmie donosili ,że taki to a taki był w kościele . Podobnie chrzcili , bierzmowali , brali śluby kościelne ludzie związani w jakiś sposób z ówczesną władzą. Takie były czasy. Dzisiaj wielu z nich udaje bohaterów opowiadając o swojej rzekomej działalności opozycyjnej. A prawda była taka że sporo ludzi było bardzo spolegliwych wobec władzy . Tej władzy dużo można było zawdzięczać ,mieszkanie , miejsce na studiach , talon na samochód, zakup dolarów na wyjazd zagraniczny czy też przychylne spojrzenie w przypadku popełnienia drobnych świństwewek. Powstanie Solidarności w zakładach spowodowało że garneli się do niej wszyscy. Zarówno autentyczni działacze jak i ludzie za którymi ciągnęły się nie zawsze przejrzyste sprawy. Szukali parasola , co nie przeszkadzało im w przyjaźniach z miejscowymi działaczami partyjnymi. Odwiedziny , biesiady i to rzeczywiście skutkowało bo pozwalało uniknąć internowania w stanie wojennym. Znam takie przypadki. Wprowadzenie stanu wojennego przeżyliśmy bardzo. Była sobota 12 grudnia , dosyć późno oglądaliśmy jakiś włoski film. Nagle emisja została przerwana i pokazał się zaśnięzony ekran .Jakoś tak machinalnie podszedłem do okna w kuchni i spojrzałem na budynek komendy milicji . Zaskoczyło mnie to że cały budynek był oświetlony. W pomieszczeniu na piętrze odbywała się narada. Widać było bardzo dużo mundurowych siedzących przy stołach. Coś im wręczano i po kolei wychodzili , za chwilę było widać jak odjeżdżają. Mówię do żony, że coś dziwnego się dzieje, o tej porze , w nocy , tylu ludzi . Zgasiliśmy światło w mieszkaniu bo zaczął się ruch przy budynku sąsiadującym z nami . W budynku tym mieszkało sporo funkcjonariuszy więziennictwa .

Ktoś wchodził do poszczególnych klatek , zapalało się światło w mieszkaniu i po chwili pracownik więziennictwa wychodził przed blok otwierał kopertę i czytał . Nie mieliśmy pojęcia co się dzieje. W telewizji i radio cisza . Telefony przestały działać . Gdzieś tak po

trzech kwadransach , łomotanie do drzwi . Żona otworzyła , przyszła roztrzęsiona Teresa Chilewska , sąsiadka z poprzedniego mieszkania. Mówi, że Staszka zaarrestowali i zabrali na komendę. Z kuchennego okna widać było budynek komendy milicji i główne wejście . Jak się później okazało , milicja zwoziła aresztowanych na podwórze a od nas wjazdu nie było widać. Do rana siedzieliśmy w napięciu i niepewności bo nikt nie wiedział o co w tym wszystkim chodzi .Domyślaliśmy się, że aresztują solidarnościowców ale w tym czasie w zakładach pracy w zasadzie wszyscy należeli do solidarności . Bez względu na to czy ktoś był partyjnym , wierzącym lub nie. Po prostu był to ruch społeczny, jednocył wszystkich. Ludzie oczekiwali zmian i politycznych i gospodarczych. Rano około godziny dziesiątej , w telewizji wystąpił generał Jaruzelski i powiedział że na terytorium Polski , Rada Państwa wprowadziła stan wojenny . Nie wiedzieliśmy tak do końca na czym ten stan wojenny polega. Widać było niektórych naszych sąsiadów ubranych w mundury ormowskie , była ta ochotnicza rezerwa milicji . Zgrupowali ich w budynku komitetu miejskiego PZPR. Tam spali , jedli i wychodzili patrolować ulice miasta. Miasto zaroilo się od pojazdów wojskowych i umundurowanych żołnierzy. Pamiętam jak dzisiaj , mroźny, śnieżny poniedziałkowy poranek . Szedłem do pracy jak zwykle na skrót przez pola od ulicy Polnej przez Basaja . Wychodziło się obok bazy STW przy ul. Kolejowej. Zazwyczaj kilkanaście osób przechodziło tą ścieżką , wtedy było pusto . W pracy poruszenie . Okazało się że z całego dużego przedsiębiorstwa jakim był PBRol ./zatrudniał prawie 400 osób /, władza internowała tylko Staszka Chilewskiego. W przedsiębiorstwie pracowała wówczas pewna kobieta, postać dosyć kontrowersyjna z wielu względów. Razem z mężem włączyli się w ruch solidarnościowy i trochę działali . Mąż jej jeździł w teren do PGRów i pouczał pracowników jak mają rozliczać swoich dyrektorów. On sam w tym czasie miał podobno jakieś zarzuty natury gospodarczej , tak przynajmniej mówiono . W tak wielkiej zbiorowości i do do tego bardzo spontanicznej musiały się znaleźć różne osoby. Był również jakiś incydent w biurze Solidarności w noc wprowadzenia stanu wojennego , podobno również związany z tymi ludźmi. Piszę podobno bo sprawę znam tylko z relacji innych. Również Staszek Chilewski nie o wszystkich lokalnych działaczach miał dobre zdanie. Niektórym do dzisiaj nie podaje ręki. W firmie wprowadzono dyżury nocne . Mieliśmy pilnować przedsiębiorstwa i oczekiwać na ewentualne telefony od władz stanu wojennego. Pojawiło się wiele utrudnień w codziennym życiu . Stan wojenny ograniczał swobodę w poruszaniu się . Reglamentowano wszystko , żywność , buty , papierosy , alkohol, słodycze. Pamiętam jak przed Bożym Narodzeniem pojechaliśmy autobusem na wieś do moich kuzynów do Korytyny. W tym czasie popularnym był handel wymienny. Buty gumowe i ubranie robocze wymieniliśmy na kawałek świni . Targaliśmy się pieszko z mięsem kawał drogi do przystanku autobusowego przez dosyć duży śnieg no i potem emocje w autobusie . Zatrzymają do kontroli czy nie? Szczęśliwie dojechaliśmy nie kontrolowani do Hrubieszowa.

Nasze najmłodsze dziecko Patrycja Karolina urodziła się 8 czerwca 1980 roku . Właśnie ten osiemdziesiąty rok ,rok szczególny w wydarzenia. O ile pierwsza połowa roku była szczęśliwa bo przyniosła Patrycje o tyle końcówka roku była bardzo smutna o czym pisałem wcześniej. Pamiętam chyba w sierpniu matka po wlewach w Lublinie , leżała w oddziale wewnętrznym w Hrubieszowie . Zanieśliśmy małą Patrycję , bo chciała ją zobaczyć. Pewnie sama zdawała sobie sprawę ze stanu swojego zdrowia i z tego co mogło nastąpić . Chciała zobaczyć najmłodszą swoją wnuczkę. Trzy córki i trzy różne charaktery. Agnieszka zawsze odważna , wszystkowiedząca , potrafiła w przedszkolu natłuc chłopaka , Dagmara zadowolona , uśmiechnięta ale można ją było przestraszyć czymkolwiek. Pamiętam żona stawiała w drzwiach sypialni łyżkę do butów zakończoną główką pantery i Dagmara już nie odważyła się przejść . Natomiast Patrycja była płaksywa . Ciągłe przy mamie ,bez mamy źle się czuła .Typowa mamy córeczka i tak zostało do dzisiaj.

Agnieszka rozpoczęła naukę w szkole podstawowej nr 1 przy ul. Polnej. W tej samej szkole do której chodziła jej mama i wujek Robert. Zresztą siostry Dagmara i Patrycja również poszły do tej szkoły. Wychowawczynią klasy Agnieszki była Wiesia Stankiewicz, pedagog w każdym calu. Bardzo wymagająca i konsekwentna. Dzięki takim pedagogom ukształtowana przez nich młodzież w sposób odpowiedzialny podchodziła do nauki. Potrafiła zachęcić, zmusić i nauczyć, ale również potrafiła być mamą wtedy kiedy była taka potrzeba. W pierwszej klasie pod koniec roku szkolnego w maju a dokładnie dwudziestego pierwszego w dniu swoich urodzin Agnieszka bez wcześniejszych zapowiedzi, przyprowadziła całą swoją klasę wraz z Panią Wiesią do domu na swoje urodziny. Mama miała trochę kłopotu jak ugościć taką ponad trzydziestoosobową gromadę. Pamiętam jak dzisiaj sadwienie na podłodze pod ścianami w największym pokoju tych ważnych gości. Natomiast wychowawczynią Dagmary była Pani Leszczyńska. Całkowite zaprzeczenie Pani Wiesi Stankiewicz oczywiście w zakresie metod pedagogicznych. Była to druga mama w szkole, użalała się nad każdym uczniem, wybaczała wszystko i na wszystko pozwalała. Dzieciarnia na jej lekcjach swobodnie przemieszczała się po klasie, wychodziła, wchodziła. Pani Leszczyńska tolerowała wszystko bo to przecież takie jeszcze maleństwa. A te maleństwa bardzo szybko wyczuły co wolno i to bezkarnie wyczyniać. Do tej samej klasy chodził syn naszej znajomej, Konrad. Chłopak który miał tysiące szalonych pomysłów. Potrafił wysmarować stół na katedrze kredą od spodu. Nauczyciel historii Pan Kiszko Tadeusz siadając za stołem wymazał spódnie na biało. Temuż nauczycielowi potrafił szpilką do pleców marynarki przyczepić kartkę z czymś śmiesznym. Był zwyczaj, że uczniowie przechodzili z klasy do klasy w zależności od przedmiotu i chyba to było pod salą fizyki, Konrad w zamek wsunął szpilkę i zablokował możliwość otworzenia i wejścia do sali. Oto właśnie chodziło, była godzina laby. Konrad potrafił włożyć na głowę damską perukę i tak pójść do fryzjera na podcięcie włosów. Oczywiście fryzjer popędził go wulgarnym s.... Pamiętam te historie, bo mówiła o nich i mama Konrada i Dagmara. Mama Konrada Basia Zielińska była nauczycielką w tej samej szkole. Samotnie z pomocą swoich rodziców wychowywała syna. Po jakimś czasie w trakcie wyjazdów wakacyjnych do pracy w Niemczech, poznała Niemca, pobrali się i tam wyjechała. Konrad po pierwszym niefortunnym ożenku w Hrubieszowie, rozwiódł się i wyjechał gdzieś pod Warszawę. Dagmara bardzo lubiła swoją nauczycielkę, zapraszała do domu a że miała zmysł praktyczny, często do szkoły nosiła różne słodczyce którymi obdarowywała swoją Panię.

W 1974 roku rozpocząłem studia na wydziale prawa i administracji UMCS w Lublinie. Ukończyłem je w 1981 roku otrzymując tytuł magistra administracji. Moja praca magisterska nosiła tytuł „Odpowiedzialność cywilnoprawna jednostki projektowania i wykonawcy budowlanego za materialne następstwa wad dokumentacji projektowej”. W lipcu 1983 roku, prawie po czterech latach pracy w PBRolu, odszedłem do pracy w Lubelskim Przedsiębiorstwie Ceramiki Budowlanej, Zakład w Hrubieszowie. A tym zakładem była Cegielnia przy ul. Żeromskiego. Zostałem kierownikiem zakładu produkującego materiały budowlane. W sezonie letnim była to produkcja cegły ceramicznej, klasycznej pełnej a po sezonie, po zakończonym wypale cegły ruszała produkcja pustaków żużlowych. Jeden i drugi materiał schodził bardzo szybko. Cegła hrubieszowska może nie była najładniejsza ale była bardzo wytrzymała. Załogę tworzyli mieszkający w pobliskich dwóch barakach ludzie. Baraki jak mówiono zostały zaraz po wojnie przywiezione z Majdanka. Zostałem zakład w nie najlepszym stanie. Brak utwardzenia placu, nie rozproszona po terenie zakładu woda pomimo posiadania własnego ujęcia. W następnym roku doprowadziłem do utwardzenia placu płytami monowskimi i skończyło się wszechobecne błoto. Rozprowadziłem wodę na terenie zakładu i doprowadziłem wodę do baraków. W kolejnym roku rozszerzyłem działalność zakładu o usługi remontowo-budowlane i sprzedaż materiałów budowlanych, blacha, glazura, tarcica i inne. Pod koniec lat

osiemdziesiątych zaczęto w lubelskiej ceramice mówić o zmianach jakie mogą i muszą nastąpić. Zaczęła się pierwsza prywatyzacja. Część ceramiki zamojskiej „wziął” były dyrektor oddziału zamojskiego, Malinowski. Facet tak się zachłysnął tą swoją własnością że przestał dostrzegać ludzi, spadły zarobki. Pan Malinowski kupił francuskie auto i szpanował prędkością. To szpanowanie zakończyło się tragicznie na drzewie pod Tomaszowem. Razem z nim zgiął jego młody sąsiad, 15 letni chłopak którego wziął na przejażdżkę. Firmę po nim przejęła jego żona, nie znająca się na specyfice produkcji i co najważniejsze na zarządzaniu i tak kończyła się firma. Ja w 1989 roku zachorowałem i musiałem przejść operację nerki w lubelskiej klinice. W tym roku zaczęła się likwidacja przedsiębiorstwa. Odszedłem z firmy z końcem września. Przebywałem jeszcze na zwolnieniu lekarskim do końca roku. W grudniu Urząd Miejski w Hrubieszowie ogłosił konkurs na kierownika Wydziału Techniczno-Inwestycyjnego. Przystąpiłem do konkursu, wygrałem i od 1 stycznia 1990 roku rozpocząłem pracę jako urzędnik samorządowy.

W tym czasie w Polsce rozpoczynały się wielkie przemiany i polityczne i gospodarcze. Prywatyzowano państwowe przedsiębiorstwa, następowały zwolnienia ludzi z pracy. Pojawiło się nieznanne w Polsce socjalistycznej bezrobocie. W tej pierwszej fazie nie było ono groźne dla ludzi. Na zasiłki dla bezrobotnych szli nawet tacy którzy nigdy nie pracowali. Wysokość zasiłków pozwalała na skromne życie. Wówczas nie obowiązywały jeszcze obostrzenia dla bezrobotnych jakie pojawiły się z czasem. Pierwszym zakładem który został w Hrubieszowie zlikwidowany był „Hakon”. Jedyny w mieście zakład przemysłowy. Wielu ludzi wówczas jak i teraz twierdzi, że był to błąd. Zakład przerabiający konopie i len w rolniczym rejonie był jak się wydawało ulokowany w dobrym miejscu. Likwidacja, prywatyzacja przedsiębiorstw miała być panaceum na uzdrowienie gospodarki. Część majątku Hakonu sprzedano, dużą część rozkradziono.

Bloki mieszkalne i kotłownię zakładową przejęło miasto. Kotłownia stała się z czasem miejską. Ulokowana w dużej odległości od odbiorców ciepła była sporym kłopotem dla władz miasta. Koszt wytworzonego ciepła był wysoki, bo przesył na dużą odległość drogi. Zmieniano paliwo w pierwszej fazie na olej opałowy, później na gaz ale koszty ciepła ciągle były i są wysokie. Najwyższe w województwie lubelskim. Wysoki koszt ciepła powodował że odbiorcy zaczęli tworzyć własne źródła ciepła. Pierwszy wyłączył się zespół budynków ABC w śródmieściu i okazało się to dobrym posunięciem. Wytworzone własne ciepło kosztowało 1/3 ceny ciepła z ZECu. Mieszkańcy „Popówki” płacili ZECowi w tym czasie 4, 60 zł za ogrzanie jednego metra kwadratowego powierzchni mieszkalnej. W ABC w tym samym okresie wytworzone we własnej gazowej kotłowni ciepło kosztowało 1,50zł na taką samą powierzchnię /rok 2011/.

Rozpoczynałem pracę w samorządzie miejskim. Była to nowość wprowadzona po upadku komuny. Rada Miejska pierwszej kadencji liczyła chyba 24 osoby. Pierwszym przewodniczącym rady został inż. geodeta Wiktor Lemański, niezwykle prawy i zaangażowany w sprawy miasta. Zresztą tak można było powiedzieć o większości radnych. Diety radnych były symboliczne. Przewodniczący za okres całej kadencji swoją dietę przekazał na rzecz dzieci, biednych dzieci. Widać było wielkie zaangażowanie tych ludzi w poprawę bytu mieszkańców miasta w jego rozbudowę. Pierwszym Burmistrzem Miasta został Jan Stempka jego zastępcą Jarosław Kędziera. Młodzi ludzie, autentycznie przejęci sprawami miasta. W tym czasie wybierano jeszcze spośród radnych zarząd miasta. Ciało kolegialne pomocne burmistrzowi. Ta pierwsza rada rzeczywiście pracowała z pasją bez upatrywania korzyści osobistych, skoków na stołki itp. profitów. Pamiętam gorące dyskusje na sesjach rady miejskiej, ciągnące się bardzo często do późnych godzin nocnych. Radni dosyć często w prowadzonych dyskusjach nie przebierali w słowach, zdarzały się i obraźliwe. Dyskusje te miawały czasami finał w sądzie. Wchodziły nowe przepisy regulujące pracę samorządów. Wszyscy właściwie uczyli się samorządności, atmosfera w pracy była bardzo dobra. Współpraca wydziałów, komunikatywność z radą i burmistrzami, zarządami osiedli

była wprost wzorcowa. Życzliwość , uprzejmość , zrozumienie , to były cechy nowego samorządu. Burmistrzowie mieli zwyczaj pod koniec urzędowego dnia odwiedzać wydziały , gdzie na luzie w przyjaznej atmosferze przegadywano najważniejsze problemy . Ludzie ci a mówię o ówczesnym burmistrzu i zastępcy potrafili słuchać , rozmawiać , doceniać swoich pracowników . Rozpoczęły się najważniejsze inwestycje dla miasta.

Cała północna część Hrubieszowa nie posiadała kanalizacji ściekowej a woda docierała tylko do osiedla Jagiellońskiego. Doprowadzono wodę do ul. Dwernickiego , Przemysłowej , Słowackiego , Wesołej , Cichej , Rubinowej . Rozpoczęto kanalizowanie Osiedla Jagiellońskiego. Oddano do użytku przepompownię ścieków dla części północnej. Zrealizowano drugostronne zasilanie miasta w wodę , tworząc pierścień . Rozpoczęto i zakończono budowę wysypiska odpadów na ulicy Gródeckiej. Rozbudowywano oczyszczalnię ścieków. W tym czasie oddano do użytku przebudowany zbiornik wodny „Śluza” i osadnik wód deszczowych na ul. Zamojskiej .W tej chwili kompletnie zdewastowany , pozbawiony ogrodzenia , dojazdu , konserwacji i najważniejszego dozoru i właściciela. Kontynuowano budowę odziedziczonej po poprzedniej władzy hali sportowej przy stadionie miejskim. Miasto porządkowało gospodarkę lokalami i budynkami w mieście. Tutaj chciałbym podkreślić że o przyjęciu do pracy decydowały nie znajomości i układy ale posiadane kwalifikacje i umiejętności. Kadencja rady i burmistrzów kończyła się w 1994 roku. Wybory do samorządu miejskiego wygrała lewica. Ta formacja pokazała jak można korzystać z posiadanej władzy . Stało się bardzo oczywistym , że jak się jest radnym to można szybko zostać pracownikiem samorządowym i na takim stanowisku jakim się chce. Zamrożono płace urzędników ,uważając je za wysokie i wyrażono nadzieję że inflacja je „zeżre” , tak wyraził się jeden z notabli .Porwano dobrze funkcjonujące sieci międzyludzkie , stworzono atmosferę wzajemnej nieufności.

To co poprzednicy budowali i tworzyli przez cztery lata , legło w gruzach. Pomimo wielu zmian , mentalność socjalistyczna nie uległa metamorfozie. Decyzje urzędników, czasami bywały rodem z minionego okresu. Górę brała szczególnie cecha „zawiść i wówczas prawo stawało się mało istotne. Chyba w 1992 roku , Rada Nadzorcza HSM podjęła uchwałę o zbyciu działki przy ul. Listopadowej. Część przeznaczona do zbycia nieruchomości była własnością mojej matki .Przepisy stanowiły ,że w przypadku ustania celu na jaki nieruchomość została wywłaszczana , nieruchomość taka podlega zwrotowi właścicielowi lub spadkobiercom. W związku z tym zwróciłem się zarówno do zarządu HSM jak i władz miasta o zwrot nieruchomości stosownie do obowiązujących przepisów prawa. W zarządzie spółdzielni pracowało wówczas dwóch ludzi związanych z urzędem. I co się okazuje , że przeznaczenie nieruchomości do zbycia było dobrym interesem dla HSM ale żądanie zwrotu przez właściciela chyba zdenerwowało decydentów i zadziałała zwykła zawiść. Zmiany polityczne i gospodarcze nastąpiły ale mentalność socjalistyczna pozostała w ludziach. Rada nadzorcza natychmiast zmieniła uchwałę i przeznaczyła teren pod zabudowę mieszkalną. Był to już taki czas , że nie wchodziły w grę kredyty bankowe i trzeba było pozyskać chętnych z gotówką. Trochę chyba się znalazło bo rozpoczęto budowę i po dojechaniu do drugiej kondygnacji budowa stanęła. Zabrakło funduszy na dalszą realizację a kredytów bankowych nikt nie brał. Skończyło się to przejściem terenu i rozpoczęciem budynku przez firmę budowlaną zamojską jako wynagrodzenie za wykonane i nie zapłacone roboty budowlane i materiały. Takie zachowania nie służą budowaniu społeczeństwa obywatelskiego. Moim zdaniem sprawa powinna mieć finał w prokuraturze .Zbyt często zawiść , niechęć czy też zwykła zazdrość , co jest cechą ludzi „małych” ,zastępują prawo.

AGNIESZKA
córka Waldemara i Teresy z Techmańskich

Agnieszka , zgodnie z zapowiedziami jeszcze ze szkoły podstawowej , podjęła naukę w Akademii Medycznej w Lublinie. Z jej rocznika , klasy do której uczęszczała w liceum , po maturze wyjątkowo dużo młodzieży zdawało i dostało się na medycynę. Razem z Agnieszką w Lublinie studiowały cztery koleżanki i kolega. Siostry Magda i Anka , dwie Gośki i Tomek. W Szczecinie studiowała Iwona ,w Bydgoszczy Jolka a w Białymstoku Renata. Jeden z kolegów , Tomek studiował w Lublinie stomatologię. Tutaj trzeba podkreślić wyjątkowość tej klasy , niesamowita rywalizacja w nauce , sięganie po akademickie poręczniki aby tylko więcej wiedzieć niż nauczyciel i koleżanki. Mówiono , że niektórzy nauczyciele obawiali się zajęć z tą klasą , prowadzona przez młodzież dyskusja sprawiała im kłopot. Zakwaterowanie w akademiku , inauguracja roku i się zaczęło. Mieszkała w akademiku ale stołowała się w domu. To stołowanie w domu , polegało na tym ,że mama szykowała raz na dwa tygodnie, bo tak przyjeżdżała do domu , wałówkę na kolejne dwa tygodnie. Podobno raz spróbowała zjeść obiad na stołówce studenckiej i skończyło się to wyjściem ze stołówki z jedzeniem w ustach którego nie mogła przełknąć. Agnieszka , trzeba przyznać była i jest niesłychanie wybredna z jedzeniem. Jeszcze jak była w domu potrafiła mięso z obiadu albo chować w książkach albo cichcem karmić psa. Zawsze dziwiłem się , skąd w takiej drobnej dziewczynie tyle samozaparcia w dążeniu do celu , odporność na widoki z jakimi będzie się w pracy zawodowej spotykać .Drobna delikatna dziewczyna , okazała niezwykle twardy silny charakter. Staż odbywała w szpitalu w Lublinie na Alejach Krańskich. Po stażu wróciła do Hrubieszowa, podjęła pracę najpierw w ZOZ Hrubieszów gdzie starała się o specjalizację . Mimo czynionych przez dyrekcję trudności w sprawie otrzymania zgody na wybraną specjalizację , zrobiła ją. Upór i determinacja w dążeniu do wybranego celu to cechy Agnieszki , z obranej drogi nie sposób ją zawrócić. Na skutek czynionych trudności i niezbyt przychylniej atmosfery przeszła do pracy w Dziekanowie , starając się cały czas o podjęcie pracy w klinice otolaryngologii w Lublinie u profesora Gołąbka . Po roku , otrzymała wymarzoną pracę ale jako wolontariusz , bez wynagrodzenia. Po pewnym czasie otrzymała etat i wkrótce potem zdała egzamin specjalizacyjny , otrzymując tytuł specjalisty otolaryngologa. Dzisiaj, po obronionym doktoracie jest pracownikiem Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, prowadzi zajęcia z anglojęzycznymi studentami. Pracuje także w uniwersyteckiej klinice.

Tak jakoś się składa , że jak wracam do pisania po dłuższej przerwie , zjawia się temat smutny. Tak jest i tym razem ,dzisiaj byliśmy na pogrzebie Zofii Gierbienis, nauczycielki biologii , wychowawczyni Agnieszki w czasie nauki w liceum im. St. Staszica . Młoda osoba , zmarła w wieku 52 lat , po długiej i ciężkiej chorobie. Byliśmy nie tylko z racji że była wychowawczynią Agnieszki , znaleźmy również rodzinę jej męża. Ponadto na pogrzebie okazało się że matka Zofii Gierbienis , pochodzi z rodziny Chomickich , mieszkających na naszej dawnej ulicy 1 Maja a więc również dawne sąsiedztwo , chociaż dalekie.

Okazały pogrzeb , mnóstwo młodzieży licealnej , msza odprawiana przez pięciu kapłanów, nie przesłoniło to jednak tragedii rodziny.

DAGMARA JOANNA Wawrzecka Kraszkiewicz
córka Waldemara i Teresy z Techmańskich

Dagmara kontynuowała naukę w Liceum Ogólnokształcącym im. T. Kościuszki przy ul. Żeromskiego w budynku Technikum Ekonomicznego . Dyrektorem był Pan Włodzimierz Szadowski , nasz sąsiad z ulicy 1 Maja obecnie ul. Piłsudskiego. Wychowawczynią była , Pani Szadowska , synowa dyrektora. Chemii uczyła Pani Bożena Baran kiedyś razem pracowaliśmy w PBRol.

Pani Baran z wykształcenia mgr inż. chemik pracowała przez krótki czas tuż po studiach w PBRol . Dagmara miała i ma silny akcent przywódczy. Była w szkole organizatorem wielu nieformalnych akcji. Grupowała wokół siebie grono koleżanek i kolegów. Zawsze była w ruchu i zawsze wszelkie inicjatywy i w szkole i w życiu poza szkolnym wychodziły od niej. W klasie maturalnej przytrafiła się przygoda /nie pierwsza w tej rodzinie i jak znam życie chyba nie ostatnia/. Maturę zdawała razem z Patrykiem. Wcześniej w październiku 1995 r był ślub z Mariuszem Kraszkiewiczem i wesele w sali konferencyjnej dawnego komitetu partyjnego. /W tym czasie w budynku funkcjonowała szkoła specjalna./

Gości weselnych było dużo szczególnie młodzieży , koleżanki i koledzy Dagmary i Mariusza. Młodzież bawiła się wspaniale, zresztą wszyscy dobrze się bawili i czuli na tym weselu bo wspomnienia były długie , częste i bardzo dobre. Młodzi po weselu zamieszkali razem z nami. Dagmara po maturze od nowego roku szkolnego zaczęła studiować w Lublinie w Studium Kosmetycznym. Nauka trwała dwa lata i kończyła się uzyskaniem dyplomu. Młodzi w międzyczasie przeprowadzili się do mieszkania w ABC , które wynajmowali od Maćka Kulczyckiego. A po jakimś czasie , krótkim , przeprowadzili się do mieszkania na ul. Piłsudskiego. Była to kawalerka , która Agnieszka dostała w spadku od zmarłej ciotki , Stanisławy Lebedowicz. Mieszkanie na parterze , w zimie bardzo zimne pomimo uszczelnienia a ponadto licznik energii w tym mieszkaniu chodził jak szalony. Wzywani elektrycy nie potrafili ustalić przyczyny tego zjawiska . W tym samym bloku , trzy klatki dalej , na czwartym piętrem mieszkali teściowie Dagmary. Mając dyplom ukończenia studium , Dagmara postanowiła otworzyć zakład kosmetyczny. Mariusz, zarejestrowany w Urzędzie Pracy jako bezrobotny mógł wziąć z tego urzędu kredyt na działalność gospodarczą. Tak też zrobili. Otrzymany kredyt zainwestowali w lokal i sprzęt niezbędny przy tej działalności. Większość prac adaptacyjnych w lokalu wykonał Mariusz . Trzeba powiedzieć , że Mariusz , przy swoim wyczuciu estetyki i smaku , potrafił z tego pomieszczenia zrobić całkiem ładny lokal. Mariusz w tym czasie pracował w Londynie , wykonując tam tego typu prace. Zakład , oceniając go z perspektywy czasu , funkcjonował chyba całkiem dobrze. W tym czasie w Hrubieszowie było trzy zakłady kosmetyczne. Były to usługi jak na Hrubieszów , nowe. Trzeba było starać się o klientów w większości nie przyzwyczajonych i nie znających tych usług. Patryk w tym czasie chodził do przedszkola nr 5 na ul. Listopadowej . Rano Dagmara odprowadzała Patryka do przedszkola. A ja po godzinie piętnastej przyjeżdżałem i zabierałem Patryka do dziadków to znaczy do nas. Dagmara cały ciężar wychowania Patryka wzięła na siebie. Mariusz pracował w Londynie i odwiedziny ze względu na odległość i koszty , były sporadyczne. Pewnie dlatego rekompensował Patrykowi brak codziennej swojej obecności zakupem zabawek i sprzętu elektronicznego. Patryk dostał od ojca konsolę playstation z grami , nowość w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Po pewnym czasie tak opanował umiejętność operowania dżojstikiem , że nie miał sobie równych . Startował nawet w zawodach zorganizowanych na stadionie w czasie jakiegoś festynu. Mariusz z Londynu zwoził i Dagmarze i Patrykowi nie tylko sprzęt i gry , ale również najmodniejsze ciuchy. Do przedszkola nr 5 , Patryk chodził do końca roku szkolnego. A od nowego roku szkolnego Dagmara przeniosła Patryka do przedszkola nr 2 , gdzie dyrektorem była Pani Sabina Kolasa. Do tego przedszkola rano

zawoziłem Patryka a wieczorem odwoziłem do domu . Chyba po dwóch latach funkcjonowania zakładu kosmetycznego postanowili zamknąć działalność. Dagmara zajęła się wychowywaniem Patryka. Zaszła potrzeba zmiany mieszkania , rozglądali się za mieszkaniem do kupienia. Wspólnie znaleźliśmy na ul. Polnej , osiedle Basaja , pierwszy blok od strony boiska szkolnego. Mieszkanie na parterze ponad sześćdziesiąt metrów , bardzo ładny rozkład , trzy pokoje , duży przedpokój i kuchnia. Mariusz ze swoimi umiejętnościami zrobił z tego bardzo ładne i funkcjonalne gniazdko , zresztą duży udział jest w tym Dagmary która lubi bawić się aranżacją wnętrz.

Patryk rozpoczął naukę w szkole podstawowej nr 1 przy ul. Listopadowej . Wynikły jakieś kłopoty i nieporozumienia na linii rodzic – nauczyciel i Patryk ostatecznie wyłądował w trójce na ulicy Zamojskiej. Szkoła przez boisko sąsiadowała z budynkiem w którym mieszkali . Patryk okazał się dobrym , zdyscyplinowanym uczniem.

PATRYCJA KAROLINA Wawrzecka Denton **córka Waldemara i Teresy z Techmańskich**

Nasza najmłodsza córka Patrycja Karolina , to drugie imię Karolina po matce mojego ojca- Karolinie z Lempertów Wawrzeckiej. Po ukończeniu liceum , podjęła studia na UMCS w Lublinie na filologii rosyjskiej. Podobnie jak jej siostry , Dagmara i Agnieszka , była i jest uparta w swoich dążeniach. Była bardzo dobrą studentką , świadczyły o tym przyznawane stypendia na studia w Moskwie i Sofii . Oprócz języka rosyjskiego opanowała język bułgarski i angielski. Kierowana przez rodzimą uczelnię brała udział w licznych sympozjach naukowych w kraju. W międzyczasie ukończyła kurs dla pilotów wycieczek zagranicznych i przez jakiś czas pilotowała wycieczki z młodzieżą do Bułgarii. Bardzo szybko po ukończeniu studiów , wraz z grupą koleżanek podjęła decyzję wyjazdu do pracy w Wielkiej Brytanii do Londynu. Początki jak zwykle bywają trudne. Pierwsza praca gdzieś w restauracji hinduskiej i dorywczco przy porządkowaniu dokumentacji naukowej emerytowanego naukowca. Po jakimś czasie poprzez znajomych z Hrubieszowa , Jolę i Bogdana Szadowskich , otrzymała pracę w Starbaksie. Bogdan Szadowski jest synem nieżyjącego już Włodzimierza Szadowskiego , naszego sąsiada z dawnej ulicy 1 Maja. Podczas pracy w Starbaksie , Patrycja poznała swojego przyszłego męża Simona Dentona , który w tej firmie był managerem. Podjęła również w Londynie naukę języka angielskiego na poziomie profesjonalnym. Po jakimś czasie wzięła udział w konkursie na stanowisko producenta konferencji tematycznych w firmie Markus Evans. Wygrała konkurs i została zatrudniona . Okazało się że pomocnym była znajomość języka rosyjskiego. W tym czasie wspólnie z Simonem podjęli decyzję o zawarciu związku małżeńskiego. Ślub i wesele odbyły się w Hrubieszowie. Z Anglii przyjechało na ślub około 30 osób , rodzina Simona oraz przyjaciele Patrycji i Simona. Autokarem z lotniska w Warszawie , przywieziono gości do hotelu „Kasieńka” w Hrubieszowie. Był mały zgrzyt , bo standard hotelu nie wszystkim odpowiadał ale po krótkiej perswazji Patrycji , było już wszystko w porządku. Ślub odbył się 28 czerwca 2008 roku w rodzinnej parafii Patrycji w kościele św. Mikołaja . Ślubu udzielał zarówno w języku polskim jak i angielskim , nowo przybyły do parafii młody ksiądz Grzegorz Szubtarski. Przepiękny wygląd wnętrza kościoła zachwyił Anglików .Również podniosła ceremonia wywarła wrażenie. Uczta weselna odbyła się w odrestaurowanym przez nowego właściciela , pałacu w Czumowie , niezwykle pięknie położonym nad zakolami Bugu wśród morza zieleni. Przepiękna słoneczna pogoda sprzyjała spacerom wzdłuż meandrów Bugu. Do wyłożonej przez właściciela Pana Mariana Pawłaka księgi, wpisali się, Anglicy oraz goście ze Szwecji, Japonii i Chin. 16 lipca 2008 roku w Tygodniku Zamojskim red. Jadwiga Hereta zamieściła relację z tego wydarzenia zatytułowaną „Angielski mąż”, przytaczam fragment tej relacji.

Ona – Polka, organizator konferencji międzynarodowych w londyńskiej firmie „Marcus Evans”. On – Brytyjczyk, finansista spod Manchesteru. Pod koniec czerwca pobrali się w Hrubieszowie.

- Nie wyobrażałam sobie, by mój ślub był gdzieś poza Hrubieszowem. To moje miasto. Tu się wychowałam, do niego tęsknię - mówi Patrycja Wawrzecka. Wybranek jej serca to Simon Denton. Oboje poznali się w Londynie, tam mieszkają i pracują. Patrycja wyjechała na Wyspy 4 lata temu, zaraz po studiach (kończyła filologię rosyjską i bułgarską na UMCS). Najpierw nie miała pracy. Dorabiała to tu, to tam. Szlifowała język w angielskiej szkole. Zamierzała trochę zarobić i wrócić. Ale plany się zmieniły. Pracując w londyńskiej kafejce, zaprzyjaźniła się z ciekawymi ludźmi z różnych krajów świata. Stworzyli paczkę. Wtedy także Patrycja poznała Simona, absolwenta zarządzania. W życiu hrubieszowianki wiele się zmieniło. Dostała nową pracę, właśnie w korporacji „Marcus Evans”. I, co ciekawe, bardzo przydatna okazała się jej znajomość rosyjskiego (z tego m.in. powodu wygrała z grupą wielu młodych ludzi starających się o etat). Firma „Marcus Evans” zajmuje się organizowaniem strategicznych imprez dla międzynarodowej kadry zarządzającej w różnych sektorach gospodarki. Posiada sieć ponad 30 biur na całym świecie. Konferencje (i treningi profesjonalne) poświęcone są kwestiom związanym z finansami, łącznością, technologią przemysłową, naukami przyrodniczymi, transportem, rynkami kapitałowymi i rozwojem biznesu. ME dostarcza klientom informacji związanych z badaniem rynku, prowadzeniem biznesu, możliwością sprzedaży. Pomaga im w ten sposób utrzymać wiodącą pozycję na tle firm konkurencyjnych, przyczynia się do sukcesu na rynku.
J. Hereta



Pałac Pana Mariana Pawlaka w Czumowie nad Bugiem

Ojciec Simona ,Cristopher Bentley Denton mieszka w Sandeeway koło Menchesteru. Prowadzi firmę spedycyjną. W młodości muzyk , członek zespołów muzycznych. Matka Margaret Louisa z domu Egerton-Smith , zmarła dosyć wcześnie . Wychowaniem chłopców , Simona i młodszego Thomasa zajął się ojciec. Simon po studiach wyjechał do Londynu i tutaj podjął pracę. Młodszy brat jako grafik komputerowy podejmuje pracę w Menchester i tam też zamieszkuje. Tak się złożyło, że w okolicach Menchester mieszka również kuzynka teściowej , Henia Kojder z domu Piech . To ich rodzina została brutalnie wywieziona przez Sowieców pod Archangielsk .Cioteczna babcia Simona w Sandeeway miała bardzo ładny stary wiktoriański dom . Ekipy filmowe wynajmowały ten dom dla potrzeb realizowanych filmów , między innymi do filmu grozy „Pies Baskerwilów”.Po śmierci babci sprzedali dom ze względu na duże koszty utrzymania zabytkowego budynku. W okolicach Menchester, Dentonowie posiadają znaczne obszary gruntów rolnych, lasów i łąk, wszystko jest uprawiane przez dzierżawców. Stajnie-boksy również są dzierżawione przez chodowców koni.

Po ślubie , młodzi Dentonowie kupili w centrum Londynu mieszkanie w starej z epoki wiktoriańskiej kamienicy. Patrycja nadal pracowała w firmie Marcus Evans , Simon natomiast zmienił pracę , odszedł z funkcji menegera w Starbaksie i podjął pracę w bankowości. Praca Patrycji polegała na organizowaniu konferencji tematycznych dla biznesu w różnych państwach europejskich. Wiązało się to z dużą mobilnością. Podczas kolejnej konferencji w Moskwie i powrotu do Londynu z Moskwy olbrzymim samolotem rosyjskich linii , samolot wpadł w potężne turbulencje. Bardzo to przeżyła i postanowiła ograniczyć loty samolotem do minimum. Niestety musiało się to wiązać ze zmianą pracy , tak też zrobiła. Otrzymała pracę w agencji rządowej , organizującej szkolenia i konferencje dla angielskiej oświaty. Patrycja jest emocjonalnie bardzo związana z domem i Hrubieszowem . Kilka lat życia w Wielkiej Brytanii spowodowało że coraz ostrzej dostrzega różnice w poziomie życia . Podczas ostatniego pobytu stwierdziła że chyba trudno byłoby w tej chwili przestać się na życie w Polsce. Różnice są zbyt duże i zbyt drastyczne i to w każdej sferze życia i pracy.

Jak już pisałem wybory w 1994 roku wygrała odnowiona lewica a więc ludzie którzy w poprzednim okresie byli u steru lokalnej władzy . A także tacy ,którzy wyczuli dobry klimat dla lewicy ,choć ideologicznie z nią nie związani ,swoim sposobem wjechali na jej plecach na salony władzy. Nie czekając długo zaczęło się parcie na stołki samorządowe . Mój następcą jak powiedziała mi obecna przy rozmowie koleżanka , oświadczył że interesuje go tylko stanowisko na którym ja pracuję. Zaczęły się intrygi , wymuszanie zgody , straszenie i tym podobne świństwka. Opór , szukanie sprzymierzeńca było bezsensowne i jedyną racjonalną postawą było zgodzenie się na przejście do innej pracy. Przeszedłem na kierownicze stanowisko w oświacie samorządowej. Nie był to jedyny taki przypadek , symptomatyczne jest to , że ludzie którzy doszli do władzy zostali w przekonaniu i chyba słusznie że to oni rozdają karty i pociągają sznurki. Nie wykształcenie ,umiejętności , doświadczenie miało decydować o zatrudnieniu ale układ , partyjny , koleżeński i rodzinny. Nepotyzm triumfował. Najgorsze było to , że ten styl władzy się umacniał z każdym rokiem . W końcu stało się to bardzo oczywiste ,że bycie w odpowiednim układzie to właściwie najpewniejszy sposób na otrzymanie pracy . No ale jak mogło być inaczej skoro przedstawiciel najwyższych władz rządowych oficjalnie oświadczył że w zatrudnianiu rodziny nie widzi nic złego.

Od jakiegoś czasu zacząłem mieć dolegliwości sercowe. Okazało się ,że pojawiła się wieńcówka , powszechna dolegliwość ludzi w moim wieku. Ponadto dochodziły zapewne i obciążenia genetyczne. Takie dolegliwości były *sui generis* w naszej rodzinie. Zacząłem brać leki ale w dalszym ciągu paliłem papierosy a i zapewne zwyczaje żywieniowe też miały znaczenie. Efekt był taki że czułem się coraz gorzej. W końcu listopada 2004 roku w

pracy straciłem przytomność i wyładowałem na „ojomie”. Ten fakt zdecydował o rzuceniu palenia papierosów. Pod koniec grudnia tego samego roku musiałem położyć się na oddziale kardiochirurgi w szpitalu papieskim w Zamościu. Przeszedłem badania wraz z zaimplantowaniem stenta w tętnicy wieńcowej. Wyznaczono mi na marzec operację wszczępienia by pasów. Jak każdy człowiek bałem się tej poważnej operacji. Jak poinformował mnie lekarz, operacja odbywa się na wyłączonym sercu to dopełniło i tak już wielkie obawy. Bałem się, po prostu bałem. Przed operacją miałem koszmary sen. Śniła mi się nie żyjąca ciotka Stanisława, zjawiała się we śnie ze słowami, chodź, przyszedłam po ciebie. Z takim obciążeniem psychicznym poszedłem na operację. Dzięki Bogu i lekarzom, operację przeszedłem pomyślnie. Okres rekonwalescencji, sanatorium w Nałęczowie, postawiły mnie na nogi ale nie na tyle aby wracać do pracy. Kilka miesięcy zwolnienia lekarskiego i po komisji zusowskiej przeszedłem w wieku sześćdziesięciu lat na wcześniejszą emeryturę. Zaczęło się kolejne doświadczenie życiowe, czekające każdego pracującego człowieka, chyba że los zdecyduje inaczej.

Święta, a szczególnie Boże Narodzenie to czas szczególny dla wszystkich nie tylko dla naszej rodziny. Świąteczny nastrój pojawiał się gdzieś tak na początku grudnia, kiedy trzeba było organizować „mikołaja”. To zapoczątkowywało cały ciąg działań, który kończył się w „sylwestrowy” wieczór. Choinka tradycyjnie tylko „żywa”, duża i strojona w wigilijny dzień. Ten rytuał przestrzegany był nie tylko przez nas, dzieciarnia również nie wyobrażała odstępstwa od tego zwyczaju i tradycji. Pamiętam wyjazd po choinkę na plantację do Wronowic. Pojechaliśmy nowo zakupioną Corsą Agnieszki. Do małego samochodu wpakowało się kilka osób. Dagmara z Patrykiem i ja z Grażyną, łącznie z Agnieszką pięć osób. Niezwykłe emocje szukania na dużej plantacji, tej jedynej, najładniejszej choinki a właściwie dwóch. Po długich wybieraniach i przebieraniach w końcu udało się. Dwie choinki zapakowaliśmy do bagażnika, połowa wystawała i prawie sunęła po jezdni. Klapa nie domknięta, spaliny zawiewało do wnętrza samochodu, ale radocha i emocje przesłaniały wszystko. Wróciliśmy zadowoleni z choinkami które sami wybraliśmy. Szykowanie specjalów świątecznych to specjalność Grażyny, domowe pieczenie szynki, pasztetu, indyka i innych mięsów. Koniecznie w domu i koniecznie własny od lat tradycyjny sposób przyrządzania. No i bigos -*specialite de la maison*. Najprzeróżniejsze ciasta, często wymuszane przez dzieciarnię, bo na takie jest ochota. Od 1980 roku, kiedy zmarła moja matka i teść Jerzy Techmański, wigilia dla całej naszej rodziny co roku urządzana jest w naszym domu. Wigilijny dzień, to czas wielkiej krzątaniny od rana do czasu kiedy wszyscy zasiądą za wigilijnym stołem. Nigdy nie udało się nam rozpocząć wigilijnej wieszery razem z pierwszą pojawiającą się gwiazdką. Przygotowanie dwunastu potraw na stół wymaga jednak i czasu i pracy. O mrożonkach ze sklepu ułatwiających pracę nie było mowy. Szczególnie przygotowanie uszek do barszczu i pierogów z kapustą i grzybami podawany tradycyjnie z rzepakowym olejem zajmowało sporo czasu. Jest to specjal najchętniej zjadany a jak trochę zostało, to następnego dnia było polowanie kto pierwszy. Do robienia uszek i pierogów zasiadały i Grażyna i jej mam Renia a również Dagmara. Trzeba tego sporo zrobić, do stołu zasiada zawsze dużo osób, teraz już dziewięć. Dziesiąte nakrycie zgodnie z polską prastarą tradycją szykowane jest dla nieznanego wędrowca, aby nie był głodny i samotny w wigilijny wieczór. Wigilijną wieszery rozpoczyna łamanie się opłatkiem i składanie życzeń. Swary, kłótnie, przykrości, pozostają za nami, pokój ogarnia ludzkie serca, ten wieczór wszystko zmienia. Stół zastawiony dwunastoma potrawami. Pilnują tego nasze córki, są bardzo wyczulone pod tym względem. Przyznam, że mamy z żoną satysfakcję z tego że potrafiliśmy zaszcześcić w nich przywiązanie i szacunek dla tradycji. Na stole zjawia się karp różnie przyrządzony, jest smażony, jest karp w śmietanie czy też faszerowany, najsmaczniejszy jest karp przyrządzony z borowikami. Są śledzie również podane na kilka sposobów, są uszka w czerwonym barszczyku, pierogi z grzybami i kapustą – najchętniej

zjadane . Pojawia się też kutia , kluski z makiem , makowiec , marynowane grzybki , różne sałatki , przystawki ,napoje i tradycyjnie białe i czerwone wino wytrawne. W trakcie kolacji wigilijnej , najmłodszy a więc Patryk zerka pod choinkę i przynagla do rozpakowywania leżących tam prezentów . Później są kolędy i wybieranie się na pasterkę , przeważnie do kościoła św. Stanisława Kostki /dawna cerkiew unicka św. Mikołaja , świątynia naszych pradziadów/. Sylwester i następujący po nim czas karnawału , to okres balów i zabaw. W latach 60-tych i 70-tych ubiegłego stulecia , w tym czasie w Hrubieszowie organizowano bardzo dużo imprez. Bale sylwestrowe początkowały czas zabaw. Najbardziej prestiżowym balem był bal w kasynie oficerskim przy miejscowej jednostce wojskowej . W hali sportowej tej samej jednostki, zwanej ujeżdżalnią – lub „ogiernią”-ułańskie reminiscencje , odbywał się bal dla tych wszystkich którzy z różnych względów nie dostali się na inne bale. W centrum miasta wielkim balem , był bal w Cechu , duża sala na piętze mieściła sporo osób a ponadto dogodne położenia lokalu sprawiało że organizowane tam zabawy cieszyły się dużą popularnością. Organizowane zabawy w Domu Nauczyciela ,były raczej kameralne, organizowane dla nauczycieli , wynajmowano także salę zakładom pracy. Większość firm organizowała zabawy we własnym zakresie dla swoich pracowników . Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego dla swoich pracowników organizowało bal i w karnawale zabawy choinkowe dla dzieci w swoim hotelu robotniczym na ul. Bożniczej – dzisiaj mieści się tam Urząd Skarbowy. Był czas że zabaw sylwestrowych na samej dzisiejszej ulicy 3 Maja było kilkanaście. Począwszy od Domu Nauczyciela poprzez firmę „Ruch” mieszczącą się w pałacyku Kisewetterów , budynku PZGSu , gmachu Prezydium Miejskiej Rady Narodowej , Kinie Plon , Sądzie . A takich mniejszych i większych zakładów pracy w Hrubieszowie było całkiem sporo i wszyscy bez wyjątku organizowali zabawy i dla pracowników i zabawy choinkowe dla dzieci pracowników , połączone z nieodłącznym św. Mikołajem i paczkami dla dzieci.

Były również bale sylwestrowe organizowane poza Hrubieszowem. Pamiętam bal w przepięknym pałacyku myśliwskim w Maziarni. Był to chyba sylwester w roku 1968. Wybraliśmy się na ten bal całą paczką , ja , Jasio Zderkiewicz i Mirek Sadło , oczywiście ze swoimi wybrankami serca. Do Maziarni dojechaliśmy autobusem kursowym , jak zresztą większość balowiczów. Piękna aleja starodrzewu prowadziła do drzwi pałacu. Wrażenia i atmosfera nie zapomniane . Przepiękna sala z ogromnym kominkiem ozdobionym herbem Zamoy-skich. Spacer korytarzami pałacu z podglądem na salę balową z góry. Na powrót zamówiliśmy taksówkę z Hrubieszowa , Tadzia Migasa. Przyjechał o 6,00 rano . Nie wyobrażalne ale do poczciwej „Warszawy” wsiadło 9 osób i tak obciążonym samochodem dojechaliśmy do Hrubieszowa. Do taksówki nie wsiadł Mirek Sadło . Oburzony nadmierną ilością pasażerów postanowił pójść piechotą do Hrubieszowa. Pamiętam , że do południa nie zjawił się w domu i organizowaliśmy jakieś poszukiwania , ale wszystko skończyło się dobrze. Mirek miał szalone pomysły , już po przeprowadzeniu się do Gdańska postanowił kajakiem wybrać się do Szwecji , oczywiście został zatrzymany i miał z tego powodu jakieś nawet spore kłopoty.

Od kiedy pamiętam w naszym domu zawsze były zwierzęta. W domu rodzinnym kręciło się kilka psów i gromadka kotów. Olbrzymi łaciaty Rabek , chodzący luzem , potrafił z nocnej wycieczki przyciągnąć garnek smalcu albo jakąś wędlinę. W tym czasie trzymano mięso , wędlinę czy też smalec w piwniczce, albo w ganku domu. Rabek mając dobry węch często coś w nocy wytropił i przyciągnął do domu. Potrafił zniknąć na tydzień lub dwa a potem pokiereszowany zmęczony , ubłocony zjawiał się po zaliczeniu kolejnego psiego wesela. Rabek był synem Ciapy , również dużej o brązowo białym umaszczeniu. Utykająca na tylną łapę , trzymała się domu , bardzo przyjazna z pokora przyjmowała nasze dziecięce zabawy z nią , nie zawsze pewnie jej odpowiadające.

Odejście zwierząt zawsze było wielkim przeżyciem. Byłem w siódmej klasie kiedy Rabek wpadł pod samochód , płakałem przez kilka dni zresztą cały dom był tym przygnębiony.

Już po naszym ślubie jeden z uczniów przyniósł mi małego szczeniaka mieszańca owczarka niemieckiego i aidler terriera. Rudas z brodą i sierścią niesłychanie twardą. To dopiero był indywidualista, nazwaliśmy go Dingo. Chodził własnymi drogami. Odwiedzał znajomych i rodzinę. Przychodził do naszych miejsc pracy. Roberta, brata żony odprowadzał rano do szkoły do liceum. A kiedy Robert rozpoczął studia w Krakowie, Dingo był odprowadzającym na dworzec kolejowy. Po ruszeniu pociągu biegł jeszcze za nim prawie do Metelina. Bardzo lubił naszego listonosza Pana Bilika. Kiedy listonosz dochodził do naszego domu, dalszy obchód rejonu odbywał się z czworonożnym asystentem. Zginał celowo potrącony przez dwa samochody. Szedł wtedy z ciotką Stachą, mówiła że kierowcy jakby się zmówili wzięli go między mijające się samochody. Co się dzieje z psychiką człowieka, który właściwie z nieznanых pobudek z radością zabiera życie niewinnemu stworzeniu. Kilkanaście lat później nasza najstarsza córka Agnieszka uparła się mieć psa. Kupiła za swoje oszczędności szczeniaka owczarka niemieckiego podpalanego rudasa z hodowli Pana Okarskiego z ulicy Ludnej. Wcielony diabeł i niszczyciel. Zgryzione, powyrywane do sprężyn świeżo kupione w Warszawie fotele. Próby napraw kończyły się doprowadzaniem do stanu przed naprawą. Kiedyś został sam w mieszkaniu, po powrocie zastaliśmy w pokoju gdzie się jakimś sposobem zamknął obraz totalnego zniszczenia. Zerwany karnisz z firankami, przepołowiony dywan, uszkodzone drzwi i wylaniający się z tego pobojuwiska merdający kulejący Ares. Ares potrafił karać za brak zainteresowania nim i pozostawianie go samego. Agnieszka miała świeżo sprawiony kożuszek, wkurzony Ares że poszła bez niego, porwał kożuszek. Zniszczenia pozwalały na naprawę. Drugie podejście Aresa do kożuszka skończyło się wyrzuceniem kożuszka. Kożuszek pocięty został w drobne paski o pozszywaniu nie było mowy. Podobny los spotkał kapelusz żony. Zgryzione książki czy buty były normalnością. Któregoś lata wybraliśmy się wszyscy na parę dni do Starosielu. PSS w którym pracowała żona miał kilka domków i jeden wynajęliśmy, Razem z nami pojechał oczywiście Ares. Chodził swobodnie po terenie ośrodka, nie był agresywny nikogo nie atakował. Pewnego dnia, po południu, sąsiedzi z domku naprzeciwko przyszykowali sobie kolację. Z restauracji przynieśli chyba pieczonego kurczaka i zostawili na stole w domku, sami poszli przed kolacją popływać. Ares pewnie zwabiony zapachem wszedł przez otwarte drzwi i zżarł kolację. Widzieliśmy akcję Aresa z naszego domku ale było już za późno aby cokolwiek zrobić. Żal nam było ludzi pozbawionych kolacji i bardzo zabawnie z naszego punktu widzenia wyglądało szukanie kurczaka wokół domku a nasza bestia leżała i trawiła sutą kolację. Nie było mowy o pozostawieniu Aresa samego. Któregoś dnia wybieraliśmy się autobusem do Dubienki. Ares miał zostać w domku, żeby chodząc swobodnie znowu czegoś komuś nie zżarł. Pozamykaliśmy okna i drzwi i poszliśmy wszyscy na przystanek. Jeszcze dobrze nie doszliśmy jak zjawił się Ares. Okazało się że jakimś sposobem otworzył czy wyrwał górny lufo i tak wydostał się z domku. Pobyt w Starosielu okazał się bardzo bolesnym w skutkach. Nasza najmłodsza córka Patrycja podczas krojenia chleba ugodziła się nożem w oko. Natychmiast udaliśmy się do okulisty w Chełmie, który jak się okazało zbagatelizował sprawę twierdząc że nic groźnego się nie stało. Dobrze że żona jest osoba bardzo ostrożną w takich sprawach. Razem z nami w Starosielu przebywali nasi znajomi Haczykowscy. Stasio jest adwokatem i następnego dnia miał sprawę w Zamościu. Żona wykorzystała okazję i pojechała razem z nim do Zamościa. W Zamościu mieszka i prowadzi praktykę lekarza okulisty kuzyn żony, Stasio Misztal. Późniejszy poseł na sejm i radny sejmiku wojewódzkiego. Stasio obejrzał oko i natychmiast skierował do kliniki okulistycznej w Lublinie. Niezbędna była natychmiastowa operacja, przeprowadzona zresztą podobno w ostatniej chwili. Jesteśmy wdzięczni Stasiowi za uratowanie oka Patrycji. Także dla Aresa pobyt w Starosielu skończył się źle. Ares przywiózł na skórze mnóstwo kleszczy, zobaczyliśmy to dopiero w domu i pewnie te kleszcze były powodem jego choroby.

Niestety kilkudniowe leczenie Aresa zakończyło się jego odejściem.

Parę tygodni wcześniej kupiłem trabanta , używanego , był to mój pierwszy samochód i nie bardzo wówczas orientowałem się w sprawach technicznych. Okazało się , że należało trochę dołożyć żeby ten samochód mógł wyjechać na drogę. Ale w w tamtych czasach kupowało się samochody na rynku wtórnym. Nowe samochody zarezerwowane były dla elity partyjno administracyjnej . Działał cały system talonowo pożyczkowy ale dostępny tylko dla elity . Mocno powiedziane elity, dla ludzi ustawionych w hierarchii partyjnej i administracyjnej.

Na tym samochodzie przeszedłem dobrą szkołę jazdy. Po pewnym czasie mogłem z zawiązanymi oczami , rozebrać gaźnik , ustawić , wymontować silnik , słowem wiele czynności o których kiedyś nie miałem pojęcia. To była prawdziwa szkoła nauki jazdy. Ares poznawał po pracy silnika jak wjeżdżałem na parking . Biegał od okna do drzwi oczekując mojego wejścia. Przejżdżające ulicą obce trabanty niezmiennie kojarzyły mu się ze mną a jeszcze po powiedzeniu przez żonę albo córkę że tam pojechał tato , potrafił biec ulicą za samochodem. Trabantem bardzo lubiły jeździć Dagmara i Patrycja nie przeszkadzało im to że to „tramppek”. Agnieszka natomiast jak miała jechać to właściwie siedziała na podłodze żeby nikt nie zobaczył że jedzie „skarpetą”. Trampka pozbyłem się jak rozpocząłem pracę w urzędzie miasta. Do pracy miałem bardzo blisko ,właściwie przez płot i samochód był nie potrzebny. Kupił go dosłownie za grosze Romek Sadło i od razu pchnął gdzieś dalej na wieś. I tak skończyła się przygoda z samochodem nazywanym później zemstą Honeckera. Najśmieszniejsze było to że oficjalna nazwa trampka brzmiała , Trabant Limuzyna , ta nazwa oddawała całą śmieszność tego niemieckiego cudu techniki. Byliśmy wszyscy bardzo związani z Aressem. Jakaś dziwna pustka pojawiła się w domu. Próbowaliśmy ją zapełnić , pamiętam przyciągnęliśmy do domu jakiegoś przybłądę osiedlowego. Pies owszem wszedł do domu zjadł ale przyzwyczajony do prawdziwej wolności nie zagrzał miejsca w naszym domu. Na ulicy Sokalskiej mieszkał gość który miał hodowlę psów ,nazywał się Szendrak. I od niego Agnieszka kupiła czarnego owczarka. Owczarek okazał się tylko owczarko podobnym psem ze śmiesznie zakręconym ogonem. Mieliśmy plan obciążyć Kajzerowi , bo tak został nazwany ten pies, ogon czymś ciężkim żeby się wyprostował. Ten niby owczarek to chyba była zemsta Szendraka za Aresa . Kiedyś podczas spaceru z Aressem ,Agnieszka spotkała Szendraka z jego psem , no i zaczęły się popisy ,że on każdego psa potrafi okiełznać i na dowód tego chciał Aresa wrzucić z mostu do wody . W odwecie Ares capnął Szendraka za rękę i zgruchotał mu zegarek. Kajzer okazał się psem wyjątkowym , sprytny jak mało który pies. Nie było w okolicy psa który nie czuł respektu przed Kajzerem. Wszędzie chciał dominować i być najważniejszym. Potrafił wspaniale bawić się z dzieciarnią pod blokiem , szczególnie fajne było ganiecie się z chłopakami po piwnicach , robił zaczajenia za drzwiami i niespodziewanie wyskakiwał na wybiegających. Oczywiście nie robił krzywdy , ale porwane ubrania były dosyć często. W domu usiłował trzymać rygor , nie wolno było głośno mówić a już krzyki były wykluczone. Zdenerwowany potrafił chodzić za mną krok w krok i przydeptywać kapcie. Czuł się przywódcą stada . Dzieciarnia miała kłopoty z wyjściem z domu. Kajzer po prostu nie wypuszczał , szarpał za buty za ubranie , wciągał do domu , warczał , uważał że wszyscy powinni być razem. Ale nie stosował tego do nas , dorosłych, chyba ustawił się w hierarchii domowej tuż za nami a przed dziećmi. Któregoś roku , chyba 1990, późną jesienią , już taką z przymrozkami , Dagmara pod kotłownią osiedlową znalazła małego szczeniaka. Oczywiście jak wszystkie nasze dzieci , postąpiła w jedyny akceptowany przez nie sposób , to znaczy przyniosła psa do domu z nie odwołalnym postanowieniem że pies zostaje . Trochę było przekomarzania się ,że już jest jeden pies w domu i drugi nie potrzebny , ale wszyscy doskonale wiedzieli że pies zostanie. Było to maleństwo wielkości kota , ale po umaszczeniu , grubych łapach i charakterystycznym pysku było wiadome że jest to najczystszej krwi owczarek niemiecki. Wykąpaliśmy w miedniczce , pchły wysypały się niego jak piasek. Jako ,że podejrzenie było ,że pies został przywieziony

z Ukrainy na handel i nie sprzedany porzucony na osiedlu , dostał imię Borys. Borys wyrósł na przepięknego psa , dużo większy od Kajzera , ale miał problemy z oczami . Przez jakieś zaniedbania , być może porzucenie psa , odwodnienie , mróz , głód, spowodowało że Borys miał bardzo ograniczone pole widzenia , podnosił bardzo wysoko głowę i w tej pozycji chyba trochę widział , zawołany zawsze tak podnosił głowę. Kajzer bez problemu zaakceptował przybysza , koty zresztą też. Tak jak Kajzer akceptował wszystkich i domowników i gości , to Borys był nieufny do każdego kto przyszedł. Nie przypominam sobie aby Borys zaakceptował kogoś spoza domowników. Zdarzało się i to nie raz , że odwiedzający nas gość został podgryziony. Był taki moment że oddaliśmy Borysa , jeszcze bardzo małego , Joli, znajomej żony . Każdy z nas miał wyrzuty sumienia i myślał jak zabrać Borysa z powrotem. A i Borys pewnie nie akceptował nowej Pani , owszem jadł ale trzeba było podawać ostrożnie i z daleka i nie pozwolił podejść do siebie. Spędził tam jedną noc , rano znajoma powiedziała że pies chyba się rozchorował. Rzeczywiście , było coś nie tak , miał temperaturę i jak nas zobaczył ożywił się . Z ulgą zabraliśmy psa do domu , kamień spadł z serca a i pies natychmiast wyzdrowiał . Wiedzieliśmy już ,że pies zostanie w domu i nigdy nikt nikomu go nie odda. W domu były dwa koty , szara pręgowana Ciciana i czarno biała Mimi. Mimi została przyniesiona z sąsiadującego z nami sądu , gdzieś tam wykociła się kotka i jedno z małych ,chyba ostatnie z miotu męczone było przez dzieciarnię i któreś nasze dziecko przyniosło je do domu i już została. Ciciana znaleziona była w sąsiednim bloku w podobnych warunkach jak Mimi. Była tak maleńka , że ssła szmatkę umoczona w mleku. Wyniańczyła ja żona i bardzo wzajemnie się zżyły. Mimi była małym karłowatym kotem , wielkością przypominała półrocznego kotka. Dwa psy i dwa koty żyły we wzajemnej przyjaźni , czasami coś tam zazgrzytało ale wtedy albo Kajzer albo Ciciana przywoływali towarzystwo do porządku. Agnieszka i Patrycja ukończyły Liceum Ogólnokształcące im. Stanisława Staszica w Hrubieszowie. Dagmara jest absolwentką Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kościuszki przy ul. Żeromskiego . Doceniam w nich , ambicję i determinację w dążeniu do celów jakie sobie wyznaczyły . Są w tym bardzo uparte i wytrwałe. Wnuk nasz , Patryk jest zdolnym , wrażliwym i uczuciowym chłopcem , na pewno jest w tym duża zasługa Dagmary. Cały trud wychowania spoczął na niej , poświęca mu bardzo dużo czasu , kształtuje jego osobowość i wrażliwość . Patryk nadzwyczaj szybko chłonie wszystko co nowe pojawia się w jego życiu. Jest muzykalny , pianino opanował bardzo szybko , już po kilku tygodniach byliśmy na koncercie bożonarodzeniowym , gdzie Patryk grał równie dobrze a nawet lepiej od kolegów po rocznej czy dwuletniej nauce. W konkursach plastycznych organizowanych przez Dom Kultury zdobywał nagrody. Nawet w zawodach wędkarskich na które jeździł z dziadkiem Mietkiem Kraszkiewiczem zdobywał nagrody i trofea. Wiele słów poświęciłem Patrykowi w różnych wcześniejszych opisach. Jest to nasz jedyny wnuk , bardzo go kochamy. Jest w tej chwili w ostatniej klasie gimnazjum , przed nim liceum i studia. Ojciec Patryka , Mariusz zmuszony sytuacją jak wielu młodych Polaków , aby utrzymać rodzinę musiał podjąć pracę za granicą. Najpierw była to Holandia gdzie z grupą hrubieszowskich kolegów podjął pracę chyba w sektorze ogrodniczym. Holandia nie najlepiej wypadła , były jakieś problemy i z władzami i z kolegami. Dopiero wyjazd do Londynu znacząco poprawił ich sytuację materialną. Ale skutków rozłąki z rodziną spowodowane tą sytuacją nic nie rekompensuje. W podobnej sytuacji jest wielu młodych Polaków. Deklaracje polityków , składane podczas wyborów i mające na celu pozyskanie głosów , nie przekładają się później na konkretne działania . Brak pracy , śmieciowe umowy płaca na najniższym możliwym poziomie , powoduje to że młodzi ludzie bardzo niechętnie podejmują decyzje o powrocie do kraju. Martwi również to ,że nic nie zapowiada zmian które byłyby zdolne nakłonić do powrotu. Czytam na forach internetowych wypowiedzi ludzi , którzy uwierzyli politykom i powrócili. Próba działania na własną rękę w polskich realiach , powoduje że likwidują działalność i

wracają do Irlandii czy Wielkiej Brytanii. Tam łatwiej żyć , tam opieka nad rodziną nie jest pustosłowiem. Ta sytuacja powodująca wiele niedogodności i problemów , ma również i pozytywy , rośnie mobilność szczególnie młodych. Wzrasta znajomość języków obcych i to na dobrym poziomie . Przystawiane są nowe technologie , rośnie znajomość kultur europejskich i mimo wszystko trzeba optymistycznie patrzeć w przyszłość i mieć nadzieję że to właśnie pokolenie zmieni nasz kraj.

Dobiega końca moja opowieść o historii rodzin powiązanych pokrewieństwem i powinowactwem oraz o ciekawych wydarzeniach jakie wystąpiły w tych rodzinach na przestrzeni wieków. Powstała ona z potrzeby utrwalenia przeszłości rodziny o której się często szczególnie podczas spotkań z różnych okazji mówi. Córki moje od jakiegoś czasu nakłaniały mnie do spisania tej jakby sagi rodzinnej. Jak trudny jest to temat uzmysłowiłem sobie dopiero wtedy kiedy zasiadłem do pisania. Nie jest proste zebranie informacji szczególnie kiedy nie ma już kogo zapytać. Mimo tych trudności dotarłem do wielu informacji dzięki rodzinie bliższej i dalszej. Wspomniałem także Hrubieszów moich lat dziecinnych a szczególnie te miejsca z którymi byłem emocjonalnie związany, Mam nadzieję , że ktoś inny dopisze kiedyś dalszy ciąg historii rodzinnych. A jest o czym pisać bo bardzo wiele w rodzinie , szeroko pojętej rodzinie się dzieje. W trakcie pisania , powstało dodatkowo kalendarium wydarzeń rodzinnych , obejmujące 2011 rok. Jest to w zasadzie okres od maja do grudnia.

Chciałem w ten sposób pokazać ile może się wydarzyć w przeciągu kilku miesięcy w kręgu rodzinnym . Kalendarium dołączone jest w formie aneksu do podstawowego opracowania

Hrubieszów , 2011 rok ,grudzień

79
WYDARZENIA RODZINNE
KALENDARIUM
rok 2011

Niedziela komunijna Julki przywitała nas chłodem i deszczem . Wyjechaliśmy o godz.7.30. Kraszkiewiczowie w komplecie i nas dwoje . Przed dziewiątą byliśmy już u Agnieszki , krótki odpoczynek , kawa i poszliśmy do kościoła garnizonowego w Alejach Racławickich gdzie odbywała się uroczystość komunijna. Z tłumu wyłowiliśmy najpierw Poziomkowskich a później Miłosza Barańskiego z żoną i dziećmi. Po uroczystościach kościelnych , samochodami udaliśmy się do Nałęczowa gdzie w restauracji „Patataj „ odbywała się biesiada rodzinna. Rodzina Marcina i Ani oraz zaproszony znany jeszcze z Hrubieszowa przyjaciel rodziny ksiądz Stanisław Chomicz . Julka przeżywała bardzo własną uroczystość , zresztą była tego w pełni świadoma , cieszyły prezenty i obecność gości , zaproszonych tylko dla niej .Dobre jedzenie , atmosfera również, tylko pogoda nie dopisała , deszcz i chłód nie pozwalały na pełniejszy relaks w tym na spacer po Nałęczowie. Około godz.17.00 wyjechaliśmy do Lublina i po odpoczynku u Agnieszki do domu. W Hrubieszowie byliśmy około godz. 21.00

Nieuchronnie zbliżał się dzień szóstego czerwca 2011 roku. Pamiętny nie tylko dla Agnieszki ale również dla całej naszej rodziny , obrona doktoratu . Dobrze przygotowana i praca i obrona , zakończyła się otrzymaniem tytułu doktora nauk medycznych. Chociaż wiedzieliśmy że jest to formalność to jednak bardzo przeżywaliśmy wszyscy ten dzień i czekaliśmy na wynik. Również emocjonalnie przeżywaliśmy koniec roku szkolnego Patryka i pewne komplikacje z oceną z przedmiotu artystycznego. Skończyło się to w miarę dobrze. Pewien niesmak pozostał jednak w związku z tym że nauczycielem tego przedmiotu jest żona kuzyna.

Zostaliśmy zaproszeni przez Roberta , brata Grażyny na uroczystość chrztu jego wnuczki , Amelki. Uroczystość w Krakowie w sobotę 11 czerwca. Z przykrością musieliśmy powiadomić Roberta że ze względu na chorobę Grażyny i konieczność położenia się w klinice lubelskiej nie możemy skorzystać z zaproszenia.

30 czerwca ,Grażyna i Agnieszka poleciały do Londynu do Patrycji i Simona. Tym razem leciały liniami węgierskimi i na lotnisko w Luton a nie Heetrow jak zawsze. Luton oddalony jest od Londynu ponad 100 km i dojazd przy olbrzymim ruchu na drogach angielskich zajmuje trochę czasu. Wyprawa jak zwykle to buszowanie po sklepach , zwiedzanie. Spotkały się również z Mariuszem ,mężem Dagmary , pracującym od kilku lat w Londynie. I Mariusz i Patrycja z Simonem mieszkają w drugiej strefie , praktycznie na tej samej ulicy. Odległość jest tak bliska , że Mariusz do Patrycji przychodzi na piechotę. Wróciły z Londynu 10 lipca. Razem z Patrykiem pojechaliśmy odebrać podróżniczki . Patryk tym chętniej jechał , bo babcia i ciocia wiozły podany Patrykowi przez ojca laptop.

W ubiegłym tygodniu , Julek , mąż mojej siostry Elżbiety przeszedł badania kardiologiczne w klinice w Nałęczowie. Okazało się że stan naczyń wieńcowych jest taki , że musi przejść operację wszczepienia by pasów. Operacja odbyła się czternastego lipca w instytucie kardiologii w Aninie pod Warszawą i zakończyła się pomyślnie. Sporo moich znajomych ma wszczepione by pasy jest to dzisiaj radykalny sposób na poprawę zdrowia a nawet ratowanie życia. Mój teść Jurek Techmański nie miał tego szczęścia w 1980 roku , zabieg ten nie był jeszcze powszechnie wówczas stosowany .

12 sierpnia 2011r , Patrycja i Simon przylecieli z Londynu na kilka dni wakacji w Polsce. 15 sierpnia zrobiliśmy wycieczkę do Krasnobrodu , święto Matki Boskiej Krasnobrodzkiej. Tłumy ludzi , ulicą przy sanktuarium posuwał się bardzo wolno sznur samochodów z najprzeróżniejszymi rejestracjami. Zaparkowaliśmy przy zalewie , tylko tam były jeszcze wolne miejsca. Korzystając ze słońca , młodzież postanowiła popłażować. Ja razem z Grażyną piechotą udaliśmy się do klasztoru. Trochę chyba przeszacowałem swoje możliwości bo z trudem dotarliśmy na miejsce. Od pewnego czasu chodzenie a zwłaszcza intensywne sprawia mi ból nóg. W sanktuarium było już po uroczystościach ale to nie umniejszyło ilości i wiernych i zwiedzających sanktuarium turystów. Wnętrze świątyni , obraz Matki Boskiej Krasnobrodzkiej tworzą atmosferę pełną mistyki. Ludzie w skupieniu klęczeli przed ołtarzem lub na kolanach obchodzą ołtarz dookoła. Wnętrze kościoła , refektarz klasztorny , obiekty przyklasztorne , kalwaria krasnobrodzka zmuszają człowieka do refleksji , zadumy i zastanowienia nad losem człowieka. Późnym popołudniem wróciliśmy do Hrubieszowa.

22 sierpnia pojechaliśmy na zaproszenie Julka do ich domu w Nałęczowie. Udostępnił nam cały dom na kilka dni wakacji. Popołudnie tego dnia to spacer po Nałęczowie i parku zdrojowym. Następnego dnia pojechaliśmy do Kazimierza. Miasteczko dosłownie zapchane turystami , trudno przejść rynkiem i bocznymi uliczkami. Zrobiliśmy eskapadę na górę Trzech Krzyży , miejsce upamiętniające tragiczne i bolesne wydarzenia dla miasteczka. Trzeba było się wdrapać na dosyć wysokie wzgórze ale nagrodą był wspaniały panoramiczny widok Kazimierza , okolic i przepięknej Wisły. Później kawa w kawiarni w Rynku . Grażyna , Agnieszka i Patrycja z Simonem wybrali się okrężną drogą do „Kuncewiczówki”. Ja ze względu na nogi wróciłem i poszedłem do sanktuarium Matki Boskiej Kazimierskiej. Kościół na dosyć wysokim wzgórzu , z ulicy do kościoła prowadziły schody obudowane podobnie jak w kościele w Radecznicy. Kościół i klasztor z XVII wieku z bardzo charakterystycznym obrazem Matki Boskiej zamalowanym na czarno na znak żałoby podczas powstania styczniowego w 1863 roku . Na lubelszczyźnie znajdują się dwa takie zamalowane na znak żałoby obrazy , właśnie jeden w Kazimierzu a drugi w katedrze lubelskiej. Po powrocie z wycieczki do „Kuncewiczówki” nie udanej co prawda , bo nie doszli , ponownie wszyscy poszliśmy do sanktuarium maryjnego. Później z Grażyną przeszliśmy jeszcze refektarzem klasztornym , zajrzeliśmy do sklepika z ziołami , zrobiliśmy zdjęcia przy studni klasztornej i wróciliśmy na kazimierski rynek. Obiad w domowej restauracji ze specjalnością naleśników francuskich i powrót na nabrzeże Wisły. Po Wiśle kursowały właśnie stateczki z turystami , takie rejsy Kazimierz-Janowiec. Postanowiliśmy również skorzystać z tej atrakcji. Podczas rejsu podziwialiśmy przepiękne okolice Kazimierza , zielone otaczające wzgórza i ruiny zamku w Janowcu. Koniec rejsu i powrót do Nałęczowa. Na drugi dzień , 24 sierpnia , wszyscy po śniadaniu pieszo wybraliśmy się z koloni Strzelce , gdzie Barańscy mają dom do Nałęczowa . Trasa około 2 km , po drodze mijaliśmy dom Pani Profesor Marii Szyszkowskiej , posłanki w poprzedniej kadencji sejmowej. Jak zwykle przeceniłem swoje możliwości chodźskie , ale powolne spacerowanie po parku zdrojowym , obiad w „Starej Aptece”, później herbatka w Pałacu Małachowskich , zdjęcia z Panem Prusem , wynagradzały zmęczenie nóg. Tego samego dnia po południu wróciłem do Hrubieszowa ze względu na posiedzenie w dniu następnym rady nadzorczej w HSM , której jestem członkiem. Pozostali to jest Grażyna , Agnieszka i Patrycja z Simonem wrócili następnego dnia , w drodze powrotnej wstępując do Dąbia , gdzie Barańscy remontują kupiony stary zrujnowany dwór. Dzisiaj tj 28 sierpnia Patrycja i Simon odlecieli po południu do Londynu.

W ubiegłym tygodniu z Londynu na krótkie wakacje przyjechał Mariusz , mąż Dagmary. Jak zwykle pierwsze zajęcia to różne prace domowe oczekujące na mężczyznę. Chyba w tym roku wakacje spędzą na krótkich wypadach za miasto , większość czasu przeznaczając na

załatwianie spraw domowych. I gdzieś w okolicach czwartego września planuje powrót do Londynu. Ostatecznie Mariusz wrócił do Londynu 10 września autokarem z Zamościa.

Powoli kończy się lato i czuć powiew jesieni. Jak co roku o tej porze polskie katolickie społeczeństwo pozbywa się psów i kotów. Widać to na osiedlach gdzie nagle pojawiają się nowe zwierzęta a także na parkingach przy marketach, szczególnie Lidlu i Biedronce. Trudno zrozumieć to bogobojne społeczeństwo postępujące w taki bestialski sposób ze swoimi braćmi mniejszymi jak je określa św. Franciszek z Asyżu. Przygarnęliśmy do domu małego rudego kocurka, mamy teraz czwórkę, dwie kotki w tym persicę Fionę i kockę leśną Małą oraz dwa kocurki starszego kastrata Patłatego i małego Rudka. Dagmara również powiększyła swoją gromadkę kotów, przygarnęła małą czarną kotkę. Natomiast Agnieszka wzięła do Lublina małego kocurka dla kogoś tam, ale szybko przywiązała się do niego i już chyba nie odda, no i ma dwa koty. Jakoś w naszej rodzinie powszechna jest miłość do zwierząt, Barańscy mają Sabę, sukę zakochaną w Julku. Robert Techmański w Krakowie, wozi w samochodzie karmę dla kotów i psów i gdzie tylko widzi bezdomne zwierzęta to je dokarmia. Matka żony Renia Techmańska ma czarnego kocurka, Kotusia jak go nazywa i ciągle zamartwia się jego zdrowiem a Kotuś wychodzi na spacer, walczy z innymi kotami i wraca do domu z nadszarpiętym zdrowiem.

24 września 2011 roku dawna szkoła średnia mojej siostry, pierwotnie technikum ekonomiczne a obecnie zespół szkół obchodziła 50 lecie. W dzień poprzedzający uroczyste obchody przez miasto przeszedł barwny pochód uczniów i pracowników szkoły, pochód poprzedzała młodzieżowa orkiestra z Bychawy. Niesiono niebieskie baloniki i całość pochodu zdominowana była niebieskim kolorem. Siostra moja przyjechała z mężem 24 września była na części oficjalnej i pewnie ze względu na Julka, niedawna operacja, zrezygnowała z części tzw rozrywkowej. Wieczorem wrócili do Lublina.

Tego dnia, w Londynie Simon i Patrycja pomagali Mariuszowi przeprowadzić się do nowego mieszkania, musiał je z pewnych względów zmienić. Ale ma to i dobre strony, z poprzedniego mieszkania dojazd do pracy trwał około dwóch godzin, teraz około pół godziny. Są również minusy, ze starego mieszkania do domu Patrycji spacerem szedł piętnaście minut teraz z nowego niestety jest o wiele dalej.

W środę 28 września pojechaliśmy z „Patłatym” do lecznicy dla zwierząt w Sitańcu k/Zamościa. Stan jego zdrowia pogorszył się na tyle że trzeba było szukać pomocy lekarskiej. Podstawowe badania łącznie z analizą krwi, lekarstwa i kot wyraźnie ozdrowiał. Dalsze leczenie w Hrubieszowie w lecznicy na ul. Polnej. Wydaje się że była to pomoc niezbędna i chyba w odpowiednim czasie.

Dzisiaj tj 30 września Patryk pojechał ze swoją klasą na pokazy chemiczne do Lublina, pokazy organizuje Uniwersytet Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie.

Stan zdrowia „Patłatego” pogorszył się na tyle, że po raz drugi zawieźliśmy go do lekarza w Zamościu, Sitaniec-Błonie. Dlaczego tam, ponieważ leczenie na miejscu było bezskuteczne a ponadto obiegowa opinia o lecznicy w Sitańcu była bardzo dobra dlatego taka decyzja. Po badaniu niezbędny był zabieg i trzeba było kota zostawić w szpitaliku na kilka godzin. Ponieważ w Sitańcu była dosyć liczna społeczność kolonistów niemieckich, wykorzystaliśmy ten czas na odwiedzenie miejscowego cmentarza i szukaniu śladów. Wśród licznych grobów Szpringerów, Tukendorów, Thorów i innych odnaleźliśmy grób rodziny Lempertów. Z napisów wynikało że pochowani tam są Piotr Lempert / identycznie

nazywał się mój pradziad i ojciec Karoliny żony Jana Wawrzeckiego/ i jego żona Julia Lempert ze Szpringerów. Z Panią Julią rozmawiałem telefonicznie pod koniec roku 2009 , umawiałem się na rozmowę i nie zdażyłem , Pani Julia zmarła w 2010 roku w wieku 98 lat. Jej mąż Piotr Lempert żył 55 lat zmarł w 1965 roku. Właśnie ona powiedziała mi o tym zwyczaju w rodzinie Lempertów a mianowicie nadawaniu chłopcom imienia Piotr. Była to niespodziewana wizyta i nie miałem aparatu fotograficznego aby uwiecznić te stare nagrobki , następna wizyta będzie już z aparatem , bo jest co fotografować.

Poniedziałek , 3 październik 2011r , jedziemy po raz kolejny do lecznicy w Sitańcu. Jedzie również z nami Dagmara. Zostawiłem towarzystwo w lecznicy a sam pojechałem do Sitańca. Piękny słoneczny dzień , chodzę między starymi grobami kolonistów i fotografuję nagrobki. Szczególnie dużo jest nagrobków Szpringerów , Klauzelów , Bernadów , właściwie to cała prawie lista nazwisk występujących przy podpisywaniu kontraktu z Andrzejem Zamoyskim pod koniec XVIII wieku. Chodząc alejkami cmentarnymi zauważyłem znajomą postać. Był to Czesław Panasiewicz od lat mieszkający w Zamościu , najstarszy brat Witka Panasiewicza. Ja znałem go z przyjazdów do Panasiewiczów i z pogrzebu Wieśka Warchulskiego , tzn wiedziałem kto on jest, on mnie nie znał. W czasie gdy wyjeżdżał z Hrubieszowa , byłem małym dzieckiem. Podszedłem , przedstawiłem się i okazało się że doskonale pamięta moją matkę , ciotki a szczególnie ciotkę Jankę z Korytyny . Powspominaliśmy wspólnych znajomych , Hrubieszów.

Wyżej wspomniałem nazwisko Bernad , właśnie za Bernada wyszła Jadwiga siostra Mariana Rutkowskiego , ojca mojej teściowej. Nazwisko Bernad występuje na liście kontraktowej o której piszę wyżej. Przeglądając nagrobki kolonistów a szczególnie Szpringerów , zresztą nie tylko , wyłania się obraz mocnej integracji tych ludzi z ziemią na której przyszło im żyć . Czuli się Polakami do tego stopnia że nosząc czysto niemieckie nazwiska ginęli w obozach koncentracyjnych w powstaniu warszawskim w Katyniu. Synowie mojej babki Karoliny z Lempertów Wawrzeckiej , Władysław zginął podczas walk w Puszczy Solskiej pod Osuchami a Wincenty chcąc uniknąć wysyłki na roboty do Niemiec zmarł na skutek zbiegu nieszczęśliwych okoliczności.

Dzisiaj 13 października 2011 r , tuż po północy odszedł „Patłaty”. Kilkukrotne wyjazdy do Zamościa-Sitańca do rzekomo najlepszych lekarzy przychodni dla zwierząt nie dały żadnego rezultatu poza wyłożeniem pieniędzy. Nawet nie potrafili zdiagnozować choroby mimo wykonanych drogich badań . Dochodzę do wniosku że , leczenie zwierząt jest mitem , placówka nastawiona jest na robienie mówiąc trywialnie szmalu i nic więcej. Być może gorycz ta spowodowana jest sytuacją jaka zaistniała , niestety mamy smutne doświadczenia.

17 października , po ciężkiej chorobie zmarł Mieczysław Rutkowski , najmłodszy z rodzeństwa Reginy Techmańskiej , matki mojej żony. Miecio był zawodowym wojskowym . Po wielu garnizonach w których służył , ostatnim , najdłuższym miejscem w którym mieszkali i gdzie przeszedł na emeryturę był Nowy Dwór Mazowiecki. Rutkowsy mają dwoje dzieci, starszą Marzannę , która wyszła za mąż za Marka Rogalskiego i mieszkają w Łomży . Syn Artur po ślubie zamieszkał w niedalekim Nasielsku. Pogrzeby są smutną okazją na której spotyka się rodzina niewidziana latami. Uroczystości pogrzebowe odbyły się 21 października w Nowym Dworze Mazowieckim. Pojechalśmy wynajętym autobusem razem z rodziną z Kopyłowa , razem sześć osób , Grażyna Steciuk z synem Jackiem i Jania Barańczuk jej siostra. Po drodze w Lublinie dosiadła się nasza córka Agnieszka . Do Nowego Dworu Mazowieckiego zajechaliśmy po godzinie 13,00. Msza pogrzebowa miała rozpocząć się o godzinie 15,30. Wśród uczestników tej smutnej uroczystości był także Robert Techmański , przyjechał z Krakowa sam . Na wspólnym obiedzie , poznaliśmy bliżej rodzinę Miecia. Nie było jakoś okazji do wcześniejszych spotkań. Marzanna , córka Maryni i Miecia , po

ślubie z Markiem Rogalskim zamieszkali w Łomży. Mają czwórkę dzieci , dwie córki i dwóch synów. Artur po ślubie zamieszkał w rodzinnej miejscowości żony , w Nasielsku. Pracuje natomiast w Warszawie, jest administratorem sieci informatycznej w jednej z firm warszawskich . Żona Artura pracuje w Nasielsku. Mają dwoje dzieci , starszą córkę i młodszego syna. Jedno trzeba stwierdzić , Miecia widać prawie w każdym z wnucząt. I wnuczki i wnukowie mają coś z rysów charakterystycznych dla dziadka , nie trudno rozpoznać w nich jego potomków. Po obiedzie około godz. 19,00 wyjechaliśmy do domu , w Hrubieszowie byliśmy dziesięć minut po północy.

Dzisiaj tj. 27 października 2011 roku ,razem z Helą Bojarczuk , wybrałem się na umówione spotkanie z Panią Lucyną Mosiądz , prawnuczką Antoniego Hapońskiego. Spokrewnioną z nami przez wspólnego przodka jakim był Antoni Hapoński. W spotkaniu uczestniczył też zięć Pani Lucyny , Stanisław Mielniczuk , hrubieszowski notariusz. Tak jak przewidywałem , Pani Lucyna posiada bardzo dużo wiadomości o Antonim Hapońskim swoim pradziadku a moim prapradziadku i o swoim dziadku również Antonim Hapońskim , którego dla rozróżnienia nazwaliśmy -juniozem. Wyszliśmy z tego spotkania bogatsi o jej wiedzę . Umówiliśmy się wstępnie na kolejne spotkanie wzbogacone o stare fotografie , które postara się przywieźć ze swojego mieszkania w Lublinie .

Koniec października to czas porządkowania grobów bliskich na cmentarzach. Jak co roku obowiązek ten spada tylko na nas . Zaczęliśmy sprzątać około 22 października. Pierwsze to zgrabienie opadłych liści , usunięcie starych roślin, zniczy i oczywiście wyniesienie tego do kontenera. Potem już tylko umycie , przyozdobienie i spokój. Rano , 1 listopada wyjazd ze zniczami , kwiatami i wędrowną praktycznie po całym cmentarzu . Groby rodziny są i przy kaplicy i przy wejściu od ul. Nowej , na nowym cmentarzu i na cmentarzu przylegającym do wojskowego. Powrót do domu szybka kawa , przebranie i z powrotem na cmentarz by zdążyć na mszę o godz. 12,00. Boli mnie to że , groby naszych dziadków odwiedzane są przez nas i przez moją siostrę z rodziną. Dopiero od 2 lub 3 lat ktoś tam się pokazuje z rodziny rodzeństwa mojej matki. Owszem ciotka Maria jest co roku razem z mężem , ale tego nie można powiedzieć o pozostałych dzieciach i wnukach. Od jakiegoś czasu zajmujemy się również grobami moich pradziadków i prapradziadków /zmiana pokoleniowa/ ktoś musi to robić.

To moralny obowiązek wobec naszych przodków. Staramy się wpajać to naszym dzieciom i mam satysfakcję że to rozumieją i wspólnie z nami w tym uczestniczą. W tym roku przepiękna słoneczna pogoda w czasie mszy i po mszy pozwoliła na pełne uczestnictwo w tych uroczystościach.

Dzisiaj zobaczyłem klepsydrę zmarłego 4 listopada 2011r . Franciszka Migasa ze Sławęcina. Podczas bytności mojej i Halinki Bojarczuk u Pani Lucyny Mosiądz , ustalając wzajemne relacje rodzinne , usłyszeliśmy od niej że ciotecznym bratem jej jest właśnie Franciszek Migas . Antoni Hapoński senior , jest dla niej i dla niego pradziadkiem. Ja i Hela Bojarczuk jesteśmy praprawnukami z linii Pelagii , córki Antoniego , natomiast oni są z linii Antoniego juniora brata Pelagii. Franciszek Migas zmarł w wieku 66 lat , pogrzeb odbył się 6 listopada. Na spotkaniu u Pani Lucyny Mosiądz padła także deklaracja ze strony Pana Mielniczuka pożyczania starych fotografii właśnie od Franciszka Migasa. Posiadał on fotografie stare , wykonane jeszcze w Rosji podczas pobytu tam Antoniego Hapońskiego -juniora. Teraz dotarcie do tych fotografii będzie chyba utrudnione.

TVP Info o godzinie 15.00 w dniu 26 listopada 2011 roku , wyemitowała program Adama Sikorskiego z telewizji Lublin specjalizującego się w zagadkach i ciekawostkach historycznych , poświęcony podziemnemu Hrubieszowowi. Wiadomo nie od dzisiaj że Hrubieszów

posiada sieć podziemnych korytarzy , częściowo już dzisiaj zasypanych i niedostępnych. Georadar w trakcie eksploracji tylko części Placu Wolności , pokazał dziewięć korytarzy zorientowanych północ – południe. Pokazano również pod budynkiem PSS przy Placu Wolności część doskonale zachowanych korytarzy oraz arterfakty znalezione podczas wstępnych eksploracji. Jest nadzieja , że korytarze w nieokreślonej bliżej przyszłości staną się atrakcją Hrubieszowa . Miejmy nadzieję , że tak się stanie. Od dzieciństwa ,jak pamiętam w różnych opowieściach w domu i u znajomych przewijały się sprawy lochów hrubieszowskich.

Mój Hrubieszów robi się coraz pущеjszy , tylko w roku 2010 i 2011 odeszło wielu moich znajomych i kolegów. W listopadzie 2010 roku zmarł Marian Kozielski – Repa. W styczniu odszedł mój dawny sąsiad i kolega , syn mojej chrzestnej matki , Wiesław Warchulski . W tym samym czasie zmarła w Lublinie Hania Grodyńska , koleżanka szkolna mojej żony a również nasza dawna sąsiadka. W maju zmarł tragicznie Jasio Kuźmiński – Siupaj. W jesieni , w połowie grudnia zmarła Grażyna Wójcik , siostra mojej szkolnej koleżanki Barbary i mój szkolny kolega Józio Haręziak , emerytowany nauczyciel zawodu. Piszę o kolegach i znajomych , urodzonych i wychowanych w Hrubieszowie , żytych z tym miastem i stanowiących jego część.

Dzisiaj , 30 grudnia 2011 roku o godzinie 14,10 , zadzwonił Witek Panasiewicz mówiąc , że godzinę wcześniej zmarł jego brat bliźniak Waldek. Po kilkutygodniowej ciężkiej chorobie zmarł w szpitalu w Zamościu.

Byli moimi sąsiadami , całe moje dzieciństwo i lata młodości praktycznie spędziłyśmy razem. Byliśmy bardzo zżyli , Waldek był bardzo wysportowany , pamiętam on jeden z całej naszej paczki potrafił zrobić stojkę na głowie i gwiazdę. Wspaniale skakał do wody na główkę , miał do tego niesamowite predyspozycje. Ożenił się z Marylą Lenard, naszą wspólną znajomą z tej samej ulicy. Maryla zmarła bardzo wcześnie zostawiając go z czwórką synów . Matką Maryli była Zofia Lenard z Ostrowskich , drobna dubieniecka szlachta. Pamiętam jak z dumą mówiła o herbie jaki był umieszczony na ich dubienieckim domu. Życie go nie pieściło , kolejne małżeństwa nie przynosiły mu spokoju i radości. I teraz przyszło to najgorsze , odszedł , żal mi Waldka , nic nie możemy w tych sprawach zdziałać poza prośbą „wieczny odpoczynek racz mu dać Panie”.

Kończy się rok , brzemenny w wydarzenia dobre i złe . Można to stwierdzenie odnieść i do wydarzeń w kraju i wydarzeń w rodzinie. Jesteśmy jako rodzina małą częścią wielkiej społeczności i dotyka nas wszystko to co się dokonuje . Nie zawsze jest to akceptowane przez nas , szczególnie wtedy , kiedy ten dotyk coś nam ujmuje , zabiera . Tłumaczenie , że władza musi wybierać między złem a dobrem , nie zawsze do nas trafia , szczególnie po przykrych doświadczeniach. Tłumaczenie o takiej konieczności i roztaczanie wizji lepszej przyszłości słyszę od chwili , kiedy rozumiałem już co to oznacza. Rzadko spełniały się obietnice polityków , przeważnie bywało gorzej niż poprzednio . Chciałoby się zawierzyć kolejnym deklaracjom , ale po tym jak często zawiedliśmy się , jest o to coraz trudniej. Mimo to z wiarą patrzę w przyszłość , bo człowiek musi mieć wiarę i tym optymistycznym akcentem kończę rok 2011.